ROKITA:
TO JUŻ NA CAŁEGO JEST WOJNA ZACHODU

MARGUERITTE:
FRANCJA O WŁOS OD KATASTROFY

MACIEJEWSKI:
CZY UNIA LUBELSKA 2.0 JEST MOŻLIWA?

WIKŁO:
JAK DZIAŁA SOJUSZ DUDY I ZEŁENSKIEGO?

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 17 (491) 2022
25 kwietnia–1 maja 2022
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

TAK KRADNĄ ROSJANIE

ŁUPIĄ I PLĄDRUJĄ UKRAINĘ, ALE SWÓJ KRAJ TRAKTUJĄ PODOBNIE.

JAKIE SĄ ŹRÓDŁA TEGO BARBARZYŃSTWA

INDEKS 287393 ISSN 2544-2694

Do czytania i słuchania

e-prenumerata

SIECI

50% taniej

+3 audiobooki GRATIS!

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl b54370957a

Jaka jest perspektywa papieża Franciszka?

Wojna zawsze przynosi głębokie zmiany. Umiera to, co jest przestarzałe, nieadekwatne, błędne. Widzimy to także tej wiosny. Niemiecka polityka wschodnia kona w bolesnych, pełnych wstydu konwulsjach. Rosyjskie złudzenia co do własnej potęgi już leżą na dnie Morza Czarnego. Ale dezaktualizuje się coś jeszcze: pozakontekstowa linia papieża Franciszka. Wybrzmiało to szczególnie mocno w kwestii wojny na Ukrainie.

My widzimy to tak: odwieczny wróg wolnych ludzi znów chce zniewolić swoich mniejszych sąsiadów. Znów gwałci, morduje, rabuje. Nie zmienił się ani trochę, bo zmienić się nie chciał. Założył jedynie inne przebranie, jeszcze bardziej cyniczne niż poprzednie.

Co widzi papież Franciszek? Widzi wojnę, po prostu wojnę, której winne są nie tylko uczestniczące w niej strony, ale w istocie my wszyscy, każdy z nas. Rozkłada winę w zasadzie po równo, zastanawia się, czy można kupować broń – nawet w celach obronnych. Papież widzi więc pozahistoryczne Zło, grzech, upadek, ale Rosji – tego odwiecznego, opętanego gwałtownika – chyba nie widzi. Jest to perspektywa, której my, chrześcijanie, nie powinniśmy odrzucać, pod warunkiem że wcześniej nazwiemy sprawy po imieniu. I zobaczymy prawdziwą Rosję – kraj, bez którego świat naprawdę miałby się dużo lepiej.

W czasie wielkopiątkowej drogi krzyżowej przy XIII stacji stanęły obok siebie Rosjanka i Ukrainka (nie wiemy, na ile świadoma narodowo), dwie pielęgniarki pracujące w Rzymie. Ostatecznie nie wygłosiły rozważań. Sprawa budziła dużo emocji i trudno się dziwić. Na tym etapie wojny, gdy codziennie napływają informacje o rosyjskich zbrodniach przeciwko ludzkości, pozornie efektowny pomysł zamazuje rzeczywistość, symbolicznie zrównuje kata i ofiarę, zostawia na drugim planie tych, którzy dziś cierpią najbardziej. Pomija potworne, cyniczne, diabelskie zakłamanie współczesnej Rosji – a jest to czynnik kluczowy, bo bez elementarnego osadzenia w prawdzie nie ma też przebaczenia ani pojednania.

Jacek Karnowski

Dlaczego to jedyna rocznica, którą III RP traktuje z powagą?

Miasto zalane plakatami, na których celebryci wzywają do pamięci. Poważnej pamięci. Syreny alarmowe będące znakiem naszej wspólnej pamięci. Obawy o traumę uchodźców z Ukrainy, tak żywe ledwie kilkanaście dni temu, nagle wyparowały. Same obchody w atmosferze powagi, szacunku, zrozumienia, iż hołd oddany bohaterom i ofiarom ma znaczenie dla współczesności. Nikt nie wyszydza składanych wieńców, odmawianych modlitw, wzruszenia. Nikt nie skacze po pomnikach. Młody Stuhr nie rzuca dowcipów, pismo Michnika nie narzeka na trudności dla mieszkańców, TVN po prostu relacjonuje, a prezenterki stacji są wzruszone. Młodzież też zachęca do odpowiedniej postawy, rozdaje żonkile. Słusznie.

Powstańcom getta warszawskiego należy się hołd i pamięć. Tym z Żydowskiej Organizacji Bojowej, tym z Żydowskiego Związku Wojskowego, tym bez żadnej przynależności. Także ludności cywilnej. Dali piękne świadectwo narodowej odwagi i uniwersalnego człowieczeństwa w zderzeniu z barbarzyństwem niemieckiego bezbożnego totalitaryzmu.

Trudno jednak nie zadać pytania, dlaczego z całej palety wydarzeń wymagających powagi to jedyna, naprawdę jedyna rocznica, którą III RP traktuje z szacunkiem? Dlaczego tylko tutaj nasi celebryci są zdolni do odpowiedniej, ludzkiej, postawy? Dlaczego na powstanie warszawskie, jego bohaterów i ofiary, ktoś zawsze splunie 1 sierpnia? Dlaczego opór establishmentu budzi polska pamięć o niemieckich i sowieckich zbrodniach? Z jakich powodów tak konsekwentnie atakują AK i żołnierzy podziemia powojennego? Skąd nawet w Muzeum Powstania Warszawskiego, które powstało dzięki śp. prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu, znalazła się pracownica, która postanowiła zwymiotować na jego i innych ofiar Smoleńska pamięć właśnie 10 kwietnia?

Szczerze mówiąc, nie znam odpowiedzi. Nie wiem. Ale tak jest. Gdy obserwuję dzisiejszą powagę, nie mogę się uwolnić od pamięci o corocznym ohydnym rechocie przy każdej innej okazji historycznej.

Michał Karnowski

eprasa.pl b54370957a

SIECI spis treści

28 *Z prof. Waldemarem Paruchem rozmawia Jacek Karnowski*

50 Poganiacze wyborów *Stanisław Janecki*

54 Urodziny Pana Janka *Maciej Walaszczyk*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **CZŁOWIEK UDRĘKA**
Krzysztof Feusette

9 **POLAK POTRAFI**
Dorota Łosiewicz

10 **POTOMSTWO STIRLITZA**
Jan Pietrzak

10 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

12 **NIEPOKOJĄCA SATYSFAKCJA AMBASADORA**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA MARCINA TULICKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **INNY ŚWIAT**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ZACZNIJMY ROZMOWĘ O NIEMIECKICH I ROSYJSKICH REPARACJACH**
Samuel Pereira

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

20 **ARMIA MARUDERÓW**
Konrad Kołodziejski

24 **W ROLACH GŁÓWNYCH**
Marcin Wikło

28 **Z PROF. WALDEMAREM PARUCHEM**
rozmawia Jacek Karnowski

34 **TESTOWANIE ZWYCIĘSTWA**
Jan Rokita

38 **UNIA LUBELSKA 2.0**
Jakub Augustyn Maciejewski

42 **NIEZNOŚNY PAN MELNYK**
Aleksandra Rybińska

46 **OSTATNIA ROZGRYWKA DYKTATORA?**
Marek Budzisz

48 **ROSYJSKI PRZYJACIEL NA BAŁKANACH**
Goran Andrijanić

KRAJ

50 **POGANIACZE WYBORÓW**
Stanisław Janecki

54 **URODZINY PANA JANKA**
Maciej Walaszczyk

58 **Z KRYSTIANEM OCHMANEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

63 **POSZUKIWANY: STANISŁAW BAREJA**
Jolanta Gajda-Zadworna

68 **„BANKRUCTWO POLSKIEJ INTELIGENCJI"**
Jacek Koronacki

72 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

74 **ZABIĆ PUTINA CZY MODLIĆ SIĘ ZA NIEGO**
Robert Tekieli

75 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

76 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

ŚWIAT

78 **O NIEZAUWAŻONYM I DRAMATYCZNYM ASPEKCIE WYBORÓW PREZYDENCKICH WE FRANCJI**
Bernard Margueritte

WIELKIE POLKI

80 **ŻELAZNA DAMA**
Wojciech Lada

PODRÓŻE

82 **MOJE SZLAKI: OD BIAŁEGOSTOKU PO WROCŁAW**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

83 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 **PRACUJĄCY WEDŁUG SCJENTOLOGICZNEGO SCHEMATU**
Hanna Karp

86 **DUCH PRAWDZIWEJ WOLNOŚCI**
Alina Czerniakowska

87 **ZAŁGANI NA ŚMIERĆ**
Wiktor Świetlik

87 **WOJENNE WICI**
Lech Makowiecki

88 **RUSKA WYPADKOWA**
Piotr Cywiński

89 **W 25 LAT PO…**
Leszek Długosz

90 **CIĘŻKO POMYLENI**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 22/0222/F

eprasa.pl b54370957a

UBEZPIECZENIE PKO DOM

- Kilka pakietów do wyboru + **opcje dodatkowej ochrony** (np. sprzęt elektroniczny, garaż)
- Atrakcyjny **assistance dla domu** 24/7
- Wygodny **zakup online** w serwisie iPKO i aplikacji IKO

Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Materiał marketingowy. Ochronę ubezpieczeniową świadczy PKO TU SA. Informacje o ubezpieczeniu, w tym o włączeniach oraz ograniczeniach odpowiedzialności Ubezpieczyciela, znajdziesz w Warunkach Ubezpieczenia, dostępnych na pkobp.pl.

eprasa.pl b54370957a

Sygnalista nadaje

Jaką rolę odegrało auto prowadzone przez byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego Bohdana Zdziennickiego w wypadku, w którym zginął 26-letni motocyklista? Nagranie z jadącej z tyłu ciężarówki nie rozstrzyga sprawy, choć można się zastanawiać, czy sędzia nie zajechał drogi jednośladowi. Ale ważniejsze jest pytanie, dlaczego sędzia Zdziennicki nie zatrzymał się, by udzielić pomocy lub pomoc wezwać? Czy to możliwe, że nie zauważył motocykla, który przeleciał przed jego samochodem? Bardzo wątpliwe.

Samochodem jechała także była prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf, żona Zdziennickiego. Tak opowiadała o zdarzeniu: „W drodze do Augustowa, gdzie dotarliśmy ok. 14.00, odwiedzając po drodze kilka miejscowości z grobami bliskich, w pewnym momencie zarejestrowaliśmy jakiś przelatujący kawałek blachy czy gumy, który uznaliśmy za oderwaną część przejeżdżającej ciężarówki, i to wszystko. Ani my, ani nasze auto nie uczestniczyło w żadnym wypadku". Cóż, teoretycznie wszystko jest możliwe, ale też nie wszystko brzmi wiarygodnie.

W wypowiedzi dla TVN Małgorzata Gersdorf oceniła całą sprawę tak: „My jesteśmy szykanowani. Mamy zabrany samochód. Koleżanka, która z nami jechała, miała na cztery godziny zabraną komórkę. Byliśmy osiem godzin w prokuraturze w Suwałkach, taksówką jadąc, bo nie mamy samochodu". To chyba nie czas na takie żale. Jak bowiem podała prokuratura, wstępna kwalifikacja zdarzenia to spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym. W śledztwie będzie też badany wątek nieudzielenia pomocy poszkodowanemu mężczyźnie.

Solidarna Polska proponuje, by Polska wstrzymała wpłacanie składki członkowskiej do kasy Unii Europejskiej. Powód? Brak pomocy dla Polski, która zmaga się z wielomilionową już rzeszą uchodźców. Zareagował Jarosław Gowin: „Ktoś, kto w chwili krwawej agresji Rosji na Ukrainę chce zaognić konflikt z Brukselą, postulując zawieszenie polskiej składki do budżetu unijnego, realizuje scenariusz napisany na Kremlu". W tym przypadku to dość kiepska argumentacja, do tego obosieczna, bo przecież destabilizacja rządu oparta na słabych pretekstach Polski też nie wzmacniała.

Wojna zmieniła wiele, ale też dalece nie wszystko. Bydgoski oddział „Gazety Wyborczej" uczcił Wielkanoc antychrześcijańskim pamfletem. „Uważam, że chrześcijaństwo jest jedną z najbardziej amoralnych religii, również w sferze dogmatycznej. Sam założycielski mit chrześcijaństwa – ofiara niewinnego Jezusa za grzech ludzki – obnaża w sposób niesłychany ludzką pychę. Nie wyobrażam sobie, że można być grzesznikiem i żądać od Boga odkupieńczej ofiary lub godzić się na ofiarę niewinnego Boga na krzyżu, który cierpi i umiera tylko po to, żeby mnie od kary i winy uwolnić. To jest zaprzeczenie wszelkich moralnych zasad, urąga jakiejkolwiek zasadzie sprawiedliwości" – mówi prof. dr hab. Ireneusz Ziemiński z Instytutu Filozofii i Kognitywistyki Uniwersytetu Szczecińskiego. Pan profesor własnej pychy nie widzi.

Nieco już zapomniany Mateusz Kijowski, kiedyś lider Komitetu Obrony Demokracji, pracuje jako kierowca taksówki, ponieważ nie może znaleźć pracy w swoim zawodzie informatyka. W rozmowie z Radiem Zet relacjonuje: „Próbowałem przez pięć lat [podjąć pracę jako informatyk – red.]. Wiem z wielu źródeł, że najczęściej przyczyną negatywnej odpowiedzi było właśnie moje nazwisko. Dotyczy to także największych światowych korporacji. Miałem sytuację, że przeszedłem

eprasa.pl b54370957a

pierwszy etap postępowania rekrutacyjnego, po czym dowiedziałem się, że jednak mnie nie chcą. Okazało się, że była to kwestia nazwiska". Może nazwiska, a może skojarzeń kompetencyjnych, które ono ze sobą niesie?

Kijowski swoją grę przegrał spektakularnie i zapewne z tego powodu wciąż się radykalizuje. „To, co dzieje się teraz w Polsce, to faszyzm, taki jak był we Włoszech i Niemczech w latach 30. XX w. Nie ma jeszcze obozów koncentracyjnych, nie ma Holokaustu, ale nie od razu Kraków zbudowano. Te same wartości królują wśród rządzących" – przekonuje. Ale nie mówi prawdy: to on, a nie rząd, jest z lat 30. Wówczas polscy komuniści dokładnie tak samo atakowali państwo polskie jako rzekomo faszystowskie. Cel też był identyczny.

Donald Tusk też mija się z prawdą. Ostatnio ogłosił, że „Kaczyński twierdzi, że w USA sfałszowano wybory, a Morawiecki wspiera Le Pen i atakuje Unię", co w sumie sprawia, że są to „plany pisane obcym alfabetem". Problem w tym, że prezes PiS nigdy czegoś takiego nie powiedział. W wywiadzie dla telewizji wPolsce.pl, do którego zapewne odwoływał się lider PO, mówił jedynie o zagrożeniach dla wolności, w tym o „odebraniu głosu urzędującemu prezydentowi" w mediach społecznościowych. Tonący kłamstwa się chwyta.

Tusk zaczyna już fałszować swoją biografię polityczną. „To, że ja nie jestem politykiem agresywnym w retoryce, nie oznacza, że Polska za rządów PO nie była surowym krytykiem niemieckiej polityki energetycznej" – ogłosił w wywiadzie dla „Polityki". Są nawet konkretne przykłady tego krytycyzmu, np. pamiętna wypowiedź do uczestników zjazdu CDU: „Wasza sztuka rządzenia była błogosławieństwem, nie tylko dla Niemiec, lecz dla całej Europy. Dla waszych wschodnich sąsiadów, [...] dla Ukraińców, z ich walką z agresją". Zagadką pozostaje pytanie, dlaczego Ukraińcy mają dziś inne zdanie.

Tusk próbuje napisać na nowo także historię swoich relacji z Kremlem. „Paradoks polega na tym, że to ja w Brukseli miałem opinię rusofoba. Tam się za głowę łapali, nazywali mnie monomaniakiem, że ja wciąż tylko o Ukrainie i o zagrożeniu rosyjskim. Dla Europy byłem zbyt antyrosyjski, w Polsce PiS obrzucał mnie konsekwentnie błotem smoleńskich insynuacji". Można zapytać: czy to berlińskie opinie i obawa, że zaszkodzą jego karierze, skłoniły go do budowy sojuszu z Putinem?

Włodzimierz Czarzasty: „Ostatnio było spotkanie PES, tzn. Partii Europejskich Socjalistów, z udziałem SPD, w Warszawie, i było bardzo, bardzo nieprzyjemnie... Powiedzieliśmy swoje zdanie na temat tego, co robi SPD i Scholz w tej chwili. Nasze zdanie jest takie, że w dwóch aspektach pomaga za mało: sankcje i sprawy związane z bronią". Brawo. Ale trzeba żądać więcej. Znacznie więcej. No i Polska też zasługuje na głębsze wnioski ze strony tej części opozycji, która nie była na berlińskiej smyczy. Co do tej, która była, nie należy mieć żadnych złudzeń.

Amerykański historyk Timothy Snyder: „Przez 30 lat Niemcy pouczali Ukraińców w sprawie faszyzmu. Kiedy faszyzm faktycznie nadszedł, sfinansowali go Niemcy, a Ukraińcy zginęli, walcząc z nim". Celnie. Niemcy uważały się za „moralne mocarstwo", a były moralnym karłem. I niestety wciąż nim są.

Leszek Miller w dobrym humorze: „Pojawił się koncept utworzenia unii polsko-ukraińskiej. Świetny pomysł. Onegdaj z Litwy wzięliśmy sobie króla, teraz z Ukrainy weźmy prezydenta". Lepiej uważać z takimi koncepcjami. Zełenski moskwiczan, nawet tych w przebraniu, pogoniłby precz.

Na łamach „Gazety Wyborczej" nie będą już ukazywać się teksty podpisane „Dawid Warszawski". Piszący pod tym pseudonimem Konstanty Gebert kończy współpracę z gazetą Michnika. Dlaczego? „Ukraiński batalion Azow, walczący bohatersko w obronie Mariupola, określiłem mianem »neonazistowskiego«, co Redakcja uznała za niedopuszczalne. Ja z kolei nie zgodziłem się na zastąpienie tego terminu słowami »skrajnie prawicowy« itp., a za niedopuszczalną uznałem samą taką ingerencję. Skoro zaś w kwestiach zasadniczych nie możemy się dogadać, to trzeba się będzie rozstać". Znów zapachniało walką frakcyjną z lat 30.

Po prawej stronie też gorąco. Dyrektor biura prasowego Konfederacji Tomasz Grabarczyk poinformował, że został usunięty z partii KORWiN za nazwanie Putina zbrodniarzem. „We wniosku do sądu partyjnego przeczytałem, że taka narracja była sprzeczna z wpisami prezesa Janusza Korwin-Mikkego i szkodliwa dla partii. Na nic zdały się wyjaśnienia [...]. Po prostu Putina nie można nazwać w partii KORWiN zbrodniarzem". W sumie dobrze. Im kto szybciej wyrwie się z tej niezdrowej struktury, tym lepiej dla niego. I dla Polski też.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl b54370957a

Człowiek udręka

KRZYSZTOF FEUSETTE

Jest źle. A będzie jeszcze lepiej. Czy jak to się mówiło? Jest dobrze, ale nie beznadziejnie? Już mi się wszystko miesza z tego zmęczenia. Nawet na Twitterze, cokolwiek napiszę, to się okazuje, że nieprawda. O Ukrainie czy Berlinie, o Kaczyńskim czy o sobie, dosłownie o wszystkim. Nie wiem, może za stary już jestem na te zabawy, ale jeszcze kilka wypadów w Polskę, choćby do Duńskiej Bystrzycy, nie, jak to się nazywało... Zduńskiej Woli, i mnie nie ma. Stoi człowiek na środku trawnika, sam jak pies Scheuring-Wielgus, i marzy tylko o jednym: żeby już się położyć. Czy ja po to się angielskiego w Unii Europejskiej uczyłem, żeby teraz latać jak kot z pęcherzem od osiedla do osiedla i wysłuchiwać, jak inni są zmęczeni? To jest jeszcze większa udręka niż dzieci! Jakbyś szedł do lekarza, a on ci o swoich chorobach opowiadał! Ja wróciłem na 100, a nie na 300 proc. normy! Zresztą, co jest dziś normalnością, skoro już każdy może Niemców krytykować, to i ja muszę? Mnie już to wystarczy, żeby się spocić intelektualnie, a gdzie pakowanie walizki? I tak dobrze, że krawatów nie muszę wybierać, bo teraz jeżdżę na luzaka, taki trendy imidż, czy jak to się nazywa. To też mnie męczy. O, już mi się łydki trzęsą. Ze zmęczenia, nie ze strachu. To znaczy ze strachu też, bo się boję, że zasłabnę. Nawet jak mi „Konia" podstawiali, to musiał zemdleć. Może to jest zaraźliwe? Sikorski ma zmęczoną twarz, Budka jest męczący, a mnie męczy już to wszystko. Wrócił człowiek, praktycznie u kresu wytrzymałości, bo w Brukseli nikt nie pyta, czy masz chwilę, żeby Junckerowi marynarkę założyć albo Brytyjczyków obrazić, jest do przekazania godzina spotkania, to się przekazuje. Dobrze, że krakersów nie musiałem rozstawiać. Więc wraca taki strzęp człowieka po latach walki z polskim rządem, bo to nie jest polski rząd, tylko pisowski, a tu co? Jest orkiestra dęta, ale w Budkę, pardon, w trąbkę dmucha Trzaskowski, a zamiast dzieci z kwiatami Jachira ze Sterczewskim wzdłuż granicy biegają! Już wtedy mi się słabo zrobiło, ale myślę, nie będę smarkał jak Hołownia. Budkę się przesunęło, Trzaskowskiego schowało i nawet się człowiek nie spocił. „Oho – myślę – jestem w formie. Po obciążeniu, przez które w prezydenckich nie wystartowałem, nawet śladu nie ma".

I nagle taki cios?! Żeby dobry kumpel, a nawet przyjaciel, z molo i ze Smoleńska, wojnę wywoływał? I to prawdziwą, a nie cybernetyczną, jak żeśmy z ministrem Siemoniakiem przewidywali? Przecież myśmy już mieli, za czasów moich, Sikorskiego i Budy Ruskiej, stosunki dwustronne tak unormowane, że i na przytulanie był czas, i na żółwiki, i na wymianę jeńców, pardon, artystów. A on inwazję urządza? Rzezie? W jakim świetle to nas stawia? Jeszcze żeby nie ta katastrofa, powtarzam: katastrofa, bo ja nie mam powodu, żeby Putinowi akurat w tej sprawie nie wierzyć, a nawet więcej, mam powody, by akurat w tej wierzyć, to może by ludzie zapomnieli? Inna sprawa, że do Kopaczowej to błoto na półtora metra w głąb przylgnęło, a po fotkach w prosektorium to chyba jeszcze dalej. To też mnie męczy. Cud, że jeszcze na wywiady chodzę. To znaczy, teraz nie, bo o podwyżki pytają, 20-procentowe w budżetówce, albo o zamrożenie rat kredytów. Po tym, co nam ekonomiści z tym zrobili, przypomniało mi się, że to nie był mój pomysł. Wszystko Leszczyna oszacowała. To już nawet Heniek Kluska, przepraszam, Kloska, Henning-Kloska, mówiła, że w czasie wojny nie wolno rzucać obietnic bez pokrycia, bo to nie jest normalna sytuacja! A ja ze zmęczenia wszystko powtórzyłem.

Dobra, będę się streszczał, bo czuję, że nie tylko siły, ale zmysły też zaraz stracę. A muszę was zdążyć poinformować o mojej bardzo ważnej decyzji. Dużo myślałem, analizowałem sondaże, słuchałem waszych wywiadów, aż naszło mnie nieodparte pytanie: po co to wszystko? Może wreszcie dać sobie spokój? Wyjechać w Bieszczady czy na Krym i pisać książki? Też science fiction, ale bardziej wiarygodne? Ale zaraz potem dobiegł mnie inny wewnętrzny głos. I nie był to głos Pawła Grasia. Ten głos mówił, sam do siebie, ale ja to słyszałem, bo to był mój głos: „Kim jesteś? Jesteś zwycięzcą. Kim jesteś?! Jesteś zwycięzcą!". I tak przez całe „Fakty".

Więc zostaję. Z Platformą Obywatelską, totalną opozycją, każdym Lisem i Hołdysem. Oczywiście, nie będę już tak zalempartalał jak ostatnio, ale całym sercem i intelektem nadal będę z wami. Do usłanej śmierci, pardon, drogi, oczywiście, różami. Na dobre i na złe. Znajdę wreszcie, na, na, na, czy tego chcę, czy nie, na, na, na, moje szczęście. Tak to leciało. Pewnie, że będę musiał trochę odpocząć. Zwłaszcza że przez wojnę, z którejkolwiek strony się obrócisz, tam coś w oczy kole. Nie wiem, może znowu podróż życia do Ameryki Południowej, bo jako premier nie zdążyłem zjechać całej przez tę czapkę, co mi ją w Peru dali. Może Dolomity, gdzie miałem raport Anodiny przeczekać? Człowiek był premierem, to go żaden wyjazd nie męczył. Zwłaszcza przy czterodniowym tygodniu pracy. A jeszcze w gałę się haratało.

Teraz najważniejsze: żebym mógł spokojnie odpocząć, a potem wrócić ze zdwojonym zmęczeniem, to znaczy animuszem, potrzebuję jeszcze jednego. Na szczęście sam sobie mogę to załatwić. Po prostu muszę zostać posłem. Głupio tak bez papierów na zabudowanym setkę przekraczać. Do tego historia tak przyspieszyła, że na wszelki wypadek lepiej jednak jakiś immunitet mieć. Zresztą teraz to ja już bym nawet nie miał siły zeznawać.

eprasa.pl b54370957a

Polak potrafi

Liderem pomocy dla zaatakowanej przez Rosję Ukrainy są Stany Zjednoczone, a tuż za nimi Polska

Naukowcy z Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii przygotowali bardzo ciekawe zestawienie związane z przekazaną Ukrainie pomocą międzynarodową. Okazuje się, że liderem pomocy dla zaatakowanego przez Rosję kraju są Stany Zjednoczone, a tuż za nimi Polska. Nasz kraj zajmuje wysoką pozycję także w odniesieniu do wykazanego wsparcia względem wielkości gospodarki.

Według danych instytutu największą od wybuchu wojny pomoc Ukrainie przekazały Stany Zjednoczone – równowartość 7,6 mld euro. Na drugim miejscu uplasowała się Polska, która przekazała już lub obiecała przekazać Ukrainie prawie miliard euro pomocy. Za nami są dużo większe i potężniejsze gospodarczo państwa – Wielka Brytania, Niemcy, Francja i Włochy. W zestawieniu nie uwzględniono jednak skali ogromnej pomocy humanitarnej ze strony Polski, która przyjęła u siebie największą liczbę Ukraińców, tj. niemal 3 mln wobec 5 mln wszystkich uchodźców.

Okazało się też, że USA dały znacznie więcej niż cała Unia Europejska, w której bezpośrednim sąsiedztwie szaleje wojna. Zaskakująca jest także skala pomocy pod względem wskaźników gospodarczych (proporcjonalnie do PKB). Na pierwszym miejscu znalazła się Estonia, a tuż za nią Polska i Litwa. Ostatnie miejsce zajęły... Niemcy.

Po co te dane? Bo wynika z nich kilka ważnych rzeczy. Okazuje się, że pomaganie Ukrainie najgorzej w Europie w stosunku do PKB wychodzi Niemcom. Słusznie więc niemiecki „Bild" skrót SPD (Socjaldemokratyczna Partia Niemiec) rozwinął jako Sozialdemokratische Peinlichkeit Deutschlands (Socjaldemokratyczny Wstyd Niemiec). A to przecież Niemcy zawsze miały usta pełne frazesów na temat europejskich wartości, demokracji czy praworządności, o które to wartości właśnie walczy teraz Ukraina. Walczy nie tylko dla siebie, ale dla całej Europy. Stawką jest przyszłość naszego kontynentu i wolność na lata, jeśli nie na dziesięciolecia. Szkoda, że tak słabo idzie niektórym europejskim politykom dostrzeżenie tego. A może nawet i widzą, o co idzie gra, ale są tak przywiązani do robienia biznesów z Putinem, że woleliby szybkiej kapitulacji Ukrainy, wymazania z pamięci mordów, gwałtów i bestialstwa, by jak najszybciej wrócić do „tego, co było".

Niestety okazało się także, że Unia Europejska nie jest tak hojna jak USA, choć to o jej przyszłość idzie gra, co niestety wiele mówi o zgniliźnie toczącej nie tylko Niemcy, ale i dużą część kontynentu i jego elity. To wyjaśniałoby także, dlaczego UE nie spieszy się ze wsparciem finansowym dla uchodźców i Polski, która tak gorąco przywitała prawdziwych uciekinierów przed wojną, a nie migrantów zarobkowych.

Cóż mogą sobie pomyśleć zwykli Polacy, którzy oddali swoje domy, mieszkania, często pozbawili swoje rodziny części wygód, byle tylko pomóc sąsiadom ze Wschodu? Czy pomyślą, że nie było warto, skoro tak rozmiłowana w mówieniu o prawach człowieka Unia nie spieszy się z pomocą, gdy te prawa są tak ordynarnie deptane? Czy pomyślą, że to trud daremny, skoro tocząca debaty nad przyszłością demokracji Europa zamknęła oczy na jawny gwałt na demokracji?

Nie, Polacy wciąż będą robić swoje. I to bez względu na poglądy czy wyznanie. Po prostu dlatego, że są przekonani, iż w takiej chwili nie można postąpić inaczej. Nawet jeśli to kosztuje trud, niewygodę, czasem zmęczenie, brak czasu czy wymaga wyrzeczeń. A wszystko dlatego, że w większości tacy po prostu jesteśmy. Wcale nie ksenofobiczni i zamknięci, jak chciałaby nas widzieć Europa, a przyjacielscy i otwarci. Wcale nie pozbawieni szacunku dla demokracji, ale szanujący różnorodność poglądów i opinii. Oczywiście, że w tych dramatycznych okolicznościach pojawiają się mendy żerujące na ludzkiej krzywdzie, oszuści wyłudzający pieniądze czy inne zakapiory. Ale to margines. W przeważającej większości Polak potrafi i chce pomóc. Unia Europejska powinna być z nas po prostu dumna. Bo tu bije serce tych wartości, o które eurokraci walczą tylko słowami.

Dorota Łosiewicz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Potomstwo Stirlitza

Jan Pietrzak

W historii wojen i konfliktów bywają takie sytuacje, w których poza głównymi stronami walki równie ważne znaczenie mają sojusznicy. Kiedy wojny toczyły się według rycerskich zasad, po zakończeniu konfliktu sympatycy zwaśnionych stron mogli bezpiecznie usiąść do stołu obrad i ustalać warunki chwilowego rozejmu lub trwałego pokoju. Jak sekundanci asystujący pojedynkom.

Podczas obecnej napaści Rosji na Ukrainę taki teoretyczny model nie może mieć zastosowania, ponieważ Rosjanie nie uznają żadnych cywilizowanych norm, a zwłaszcza rycerskich. Nie respektują utrwalonych godnych obyczajów, zachowują się jak banda terrorystów. Bez skrupułów mordują, kradną, gwałcą. Pojęcie żołnierskiego honoru jest im obce. Stawiają swoich sojuszników w paskudnej roli wspólników morderców.

Sami Rosjanie, sądząc po faktach, pewnie takich niuansów nie rozumieją, ale ich poplecznicy – podlegający w swoich krajach ocenie opinii publicznej – mają kłopotliwy problem. Toteż wykręcają się od wyjaśnień, udają niewiedzę, spychają odpowiedzialność na innych. Tak właśnie zachowują się nasi sąsiedzi z lewej strony mapy, mistrzowie hipokryzji. Stosują w sferze werbalnej czynienie dobrego wrażenia za pomocą szlachetnych ogólników. Realnie ich działania są antyukraińskie, a także antypolskie. Te ostatnie dotyczą blokady finansów należnych Polsce poprzez bezprawny mechanizm warunkowości i fałszywej praworządności. Pamiętamy instrukcję frau Barley, że trzeba Polskę zagłodzić. To są sankcje przeciwko Polsce. W gruncie rzeczy są karą za niepodległą politykę, która kieruje się europejską solidarnością, co jest pewnym paradoksem.

Niemcy kierowane egoistycznymi interesami takich paradoksów nie znają. Lider tego państwa zachowuje się jak sowiecki Bond. Cytuję: „Stirlitz pomyślał. Spodobało mu się. Pomyślał więc jeszcze raz i to był błąd! Stirlitz, wychodząc z baru, poczuł silne uderzenie w potylicę. Odwrócił się błyskawicznie. To był asfalt!". Kryptonim obecnego następcy Stirlitza jest ściśle tajny. Znają go tylko w Moskwie i Berlinie.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Skolimowski

Dominik Zdort

Jest kilku artystów, których bardzo chciałbym poznać, ale wiem, że to się nie stanie, bo kimże ja, mały dziennikarski żuczek, jestem, żeby osobiście zamienić parę słów z wielkim człowiekiem.

No dobrze – raz się udało. Gdy pracowałem w „Rzeczpospolitej", w redakcyjnym barku przy stoliku siedział mój kolega Jan Bończa-Szabłowski z reżyserem Markiem Koterskim, którego filmy uważam za genialne. Janek przedstawił mnie Koterskiemu, miałem zaszczyt uścisnąć mu dłoń. Trwało to może kilkadziesiąt sekund, wiem, że na więcej nie zasłużyłem, ale to wydarzyło się naprawdę.

Ale tytanem kinematografii, którego najpewniej nigdy nie poznam, jest Jerzy Skolimowski. Kiedy w czasie karnawału Solidarności obejrzałem zwolniony wtedy przez cenzurę jego film „Ręce do góry" (w wersji pierwotnej, bez izraelskich dokrętek), wcisnęło mnie w kinowy fotel. Pamiętam i do końca życia nie zapomnę szczególnie tej sceny, w której Bogumił Kobiela biegnie w kierunku kamery, a nad nim widać na unoszonym billboardzie ogromną twarz Stalina z podwójną parą oczu (pomyłkowo tak naklejoną przez studentów – aktywistów ZMP przygotowujących portret na jakąś uroczystość), i krzyczy: „Jezus Maria, wszystko na nic, szkoła podstawowa, cztery lata liceum, pięć lat studiów, sześć lat studiów, wszystko na nic, Jezus Maria...".

Mam od lat wrażenie, że byłem przy kręceniu tej sceny (w jakimś sensie byłem – w brzuchu mojej mamy, która była asystentem reżysera przy tym filmie, o czym oznajmiam z dumą). Oczywiście nic nie mogę pamiętać, ale moc tego filmu i genialne pomysły Skolimowskiego są ze mną od czasu, gdy go obejrzałem. I czekam na kolejne filmy tego reżysera, wypatruję wszędzie jego obecności (wystąpił w „Mars Attack" w roli dr. Zeiglera, który wymyślił maszynę tłumaczącą z marsjańskiego na angielski).

Jerzy Skolimowski jest dla mnie najważniejszą postacią w historii powojennego kina polskiego. Śmiem twierdzić, że bez niego Roman Polański i Andrzej Wajda nie byliby uznawani za geniuszy (choć i im, szczególnie temu pierwszemu, nie odmawiam wielkich zdolności). Skolimowski był współautorem „Noża w wodzie" i „Niewinnych czarodziejów" – arcydzieł, których opisując naszą kinematografię, pominąć się nie da.

Twórca filmu „Ręce do góry" odbierze w tym roku Orła Polskiej Akademii Filmowej za całokształt twórczości. Tysiąckrotnie na to zasłużył.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Reklama | 41/0222/F

eprasa.pl b54370957a

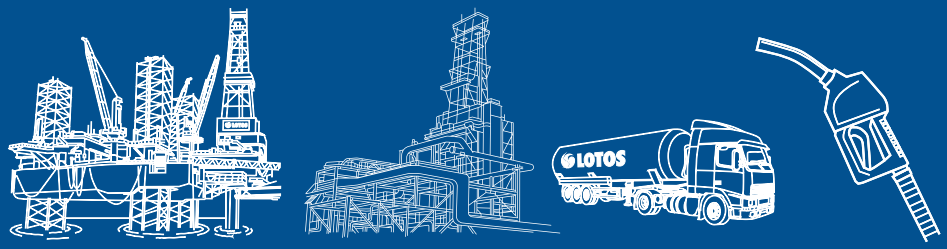

PODĄŻAMY DROGĄ bezpiecznego rozwoju

Perspektywa rozwoju i zdolność tworzenia innowacji dają nam siłę, dzięki której nasze produkty spełniają najwyższe standardy jakości. W trosce o środowisko i bezpieczeństwo energetyczne inwestujemy w paliwa nowej generacji. Z myślą o wspólnej przyszłości.

LOTOS

eprasa.pl b54370957a

BRONISŁAW WILDSTEIN

Niepokojąca satysfakcja ambasadora

„Jesteśmy w pełni z Polakami w kwestiach bezpieczeństwa, jesteśmy też w pełni z Polakami w kwestii demokracji, wolności i równości. Od kiedy zacząłem tu swoją misję, widzę naprawdę wysiłek ze strony prezydenta Dudy, by osiągnąć konsensus z naszym stanowiskiem w kwestii koncesji dla TVN24 i TVN7, w sprawie zawetowania ustawy oświatowej, która bardzo nas niepokoiła, skierowania do Sejmu projektu ustawy likwidującej Izbę Dyscyplinarną i innych posunięć" – powiedział dla Polsatu ambasador USA w Polsce Mark Brzezinski. Słucham i niepokoję się.

Całym sercem jestem za jak najgłębszym sojuszem Polski i Stanów Zjednoczonych, za pogłębieniem go i budową realnej osi atlantyckiej: Ameryka – Anglia – Polska, w której nasz kraj występowałby jako lider Europy Środkowo-Wschodniej. Ukraina jest większa, ale biedniejsza, nie należy do UE, a po miejmy nadzieję zwycięskiej wojnie będzie musiała odbudowywać się ze zniszczeń. Liderowanie, o którym wspominam w odniesieniu do Polski, to nie dominacja, a poczucie odpowiedzialności najsilniejszego państwa regionu za jego losy, a więc i jego integrację przy zachowaniu odrębności tworzących go krajów. Agresja na Ukrainę demonstruje wszystkim, którzy zdążyli już zapomnieć, do czego zdolna jest Rosja, oraz przypomina trwałość imperialnego genotypu tego państwa. Tym bardziej więc powinniśmy współpracować ze Stanami, które zrozumiały, że nie mogą zostawić Europy Niemcom, a obecny kształt Unii z berlińskim hegemonem wspieranym przez paryskiego junior wspólnika, zagraża sojuszowi amerykańsko-europejskiemu. Niemcy, które chcą wykorzystać UE do odegrania globalnej roli, muszą zdystansować się do USA, wobec których zawsze pozostaną słabszym partnerem. Dlatego chętnie porozumiewają się z Chinami i Rosją, której faktycznie oddały Ukrainę i zgodziły się na neutralizację (finlandyzację) Europy Środkowo-Wschodniej. Nasze narodowe samostanowienie domaga się zmiany obecnej formy UE, a stać się to może wyłącznie ze wsparciem Ameryki.

Nie chodzi jednak o to, aby status niemieckiej kolonii zastąpić takim samym wobec Stanów Zjednoczonych.

Niedawno pisałem o partii niemieckiej w Polsce. Gdyby wybór Polski polegał wyłącznie na wyborze patrona, to i tak optowałbym za Stanami. Leżą dużo dalej, a więc zależność od nich nie byłaby tak ciążąca jak podporządkowanie naszemu zachodniemu sąsiadowi, co praktykowaliśmy za rządów Donalda Tuska, nie mówiąc już o podległości wobec Rosji, której doświadczyliśmy w epoce PRL. Na szczęście nie jesteśmy skazani na ten wybór. Natomiast obecny ambasador Waszyngtonu w Polsce bez ceregieli głosi, że oczekuje od nas kolonialnego posłuszeństwa.

Stwierdzenie, że Polska osiągnąć ma: „[...] konsensus z naszym [amerykańskim] stanowiskiem w kwestii koncesji dla TVN24 i TVN7", oznacza, że decydować będzie nie polskie prawo, w którym zapisane jest, że podmioty spoza UE mogą mieć tylko mniejszościowy udział w mediach elektronicznych, ale wola Waszyngtonu. Jak można nazwać stan rzeczy, w którym obce państwo, choćby najbliższy sojusznik, narzuca nam rozwiązania sprzeczne z naszym prawem? Jak możemy rozumieć to, że jego ambasador dyktuje nam, jak będziemy organizowali nasz system oświaty? Ideologiczne tego uzasadnienia nie powinny nas w ogóle obchodzić (w rzeczywistości chodziło o to, aby nie wolno było bez zgody rodziców wpuszczać do szkoły rzeczników rewolucji seksualnej). Jak można interpretować to, że obca stolica domaga się, aby Polska zmieniła swój system sądownictwa?

Rozumiałem argumenty prezydenta Dudy, który wetując ustawę o szkolnictwie, uzasadniał to potrzebą spokoju społecznego w czasie wojny, która spoza granicy dosięga naszego kraju. Kiedy jednak opozycja uznała to wyłącznie za słabość obozu rządzącego, trzeba zadać sobie pytanie: czy wymóg pokoju społecznego oznacza permanentne ustępstwa wobec totalnej opozycji i ich zagranicznych mocodawców? Czy naprawdę prezydent Biden zerwałby stosunki z Polską, jeśli nie podporządkowalibyśmy się żądaniom jego ekipy dotyczącym naszych wewnętrznych spraw? Czy zmniejszyłby pomoc dla Ukrainy? Przecież to nonsens. Stany pomagają Kijowowi nie dlatego, że Polska ulega ich (nazwijmy rzeczy po imieniu) bezczelnym żądaniom, ale aby zablokować agresywny potencjał chińsko-rosyjskiego bloku, a w wojnie przeciw Ukrainie Polska odgrywa rolę, której Amerykanie nie mogą pominąć. Nie dlatego Biden zwiększa amerykańską obecność wojskową w naszym kraju, że lubi prezydenta Dudę, ale dlatego, że Polska stanowi kluczowy element antymoskiewskiej obrony. I nasza wewnętrzna polityka nie ma w tej sprawie nic do rzeczy. Są kraje, które (jak Turcja) nic sobie nie robią z (w ich przypadku uzasadnionych) napomnień USA w sprawach praw człowieka, co nie wpływa na stosunek do nich Waszyngtonu.

U nas prawa człowieka mają się dobrze i nie musimy podporządkowywać się Stanom. Nie róbmy tego na wszelki wypadek.

Fot. Andrzej Wiktor

Reklama | 28/0422/F

eprasa.pl b54370957a

WYGRYWAMY RAZEM!

17,7 MLD ZŁ

przekazane na polski sport i kulturę.

Łączna kwota wsparcia od 1994 roku.

TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY W POLSCE

TOTALIZATOR
SPORTOWY

#WygrywamyRazem

eprasa.pl b54370957a

Walizka Marcina Tulickiego

dziennikarza „Wiadomości" TVP, reportera wojennego

Pracę dziennikarza telewizyjnego rozpocząłem w 2010 r. Wcześniej pisałem do różnych lokalnych gazet. Od kilku lat zajmuję się polityką i tematami zagranicznymi, więc moja praca w dużej mierze polega na częstych wyjazdach. Ostatnia podróż, można by rzec ekstremalna, trwała 28 dni. To była Ukraina. Pojechałem tam przed wojną, która zastała mnie na wschodzie kraju i jeszcze przez dwa tygodnie ją relacjonowałem. W najbliższym czasie czeka mnie kolejny wyjazd. Tym razem będą to wybory we Francji. I tak to się od lat u mnie kręci. Wyjeżdżam w różne miejsca na świecie – od Afryki po USA. Walizki mógłbym praktycznie nie rozpakowywać, ale zawsze w minimalnym stopniu przygotowana jest tak, żeby lecieć w dowolnym kierunku, jeśli zajdzie taka potrzeba.

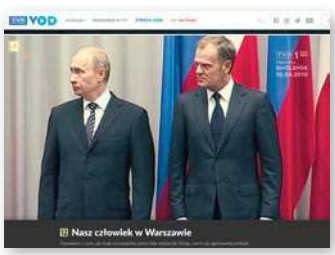

NASZ CZŁOWIEK W WARSZAWIE

Praca reportera to ciągłe spotkania i rozmowy, a ich efektem są filmy dokumentalne. Mój ostatni to „Nasz człowiek w Warszawie" o wieloletniej polityce Donalda Tuska i europejskich elit wobec Kremla. Polityce, która pozwoliła Putinowi na inwazję na Ukrainę. Dokument do obejrzenia na vod.tvp.pl.

ZAPASOWY MIKROFON

Warto mieć – zwłaszcza na ekstremalnych wyjazdach – rzeczy zapasowe. Gdyby coś się stało z kamerą i musiałbym na komputer przerzucać dźwięk, to zapasowy mikrofon może uratować życie.

GARNITUR, KRAWATY, KOSZULA

Teraz jadę na wybory, więc takie ubrania są niezbędne. Będę wprawdzie realizował głównie tematy na francuskiej wsi, ale okoliczności wyborcze wymagają elegancji. Zresztą w służbowych podróżach nigdy nie wiadomo, co może spotkać dziennikarza. Więc nawet jeżeli jest to wojna lub pomoc humanitarna np. w Afryce, to i tak zabieram ze sobą jedną koszulę z krawatem. To na wypadek, gdybym musiał jechać od razu w kolejną delegację, wymagającą eleganckiego stroju.

Fot. Michał Korsun, materiały prasowe Iridium oraz MaxFactor

eprasa.pl b54370957a

PŁYTY DO KAMERY

...typu XDCAM. Jak czegoś nie robimy na żywo, tylko przygotowujemy materiał, trzeba nagrać zdjęcia, jakieś rozmowy, to rejestrujemy na takich właśnie płytach. Ich pojemność wynosi 47 min.

PRZEJŚCIÓWKI DO KONTAKTÓW

Zawsze zabieram kilka przejściówek pasujących do gniazdek w różnych krajach. W kolekcji mam przejściówkę do kontaktów w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych czy krajach azjatyckich.

MAKE-UP

Zestaw do makijażu, żeby się nie świecić. Kompaktowy, zajmujący mało miejsca, sprytny puder razem z podkładem. I chusteczki do demakijażu, żeby później po mieście nie chodzić pomalowanym.

POWERBANKI

Ze względu na specyfikę pracy, w której bardzo dużo korzystam z telefonu i laptopa, zapas przenośnego źródła prądu jest niezbędny. Bardzo się przydały podczas 30-godzinnego powrotu w korku z Dniepro, przez spanikowany rosyjską inwazją Kijów, w kierunku polskiej granicy.

TELEFON SATELITARNY

Wygląda jak stara nokia, ale dla bezpieczeństwa jest niezbędny w takich sytuacjach jak wojna. Tradycyjna sieć komórkowa może w każdej chwili zostać wyłączona. Telefon satelitarny pozwala wówczas skontaktować się z redakcją.

LEGITYMACJA PRASOWA

Pomaga w wielu miejscach, ale w niektórych przeszkadza. Jest w języku angielskim, dlatego w sporej części świata jest zrozumiała.

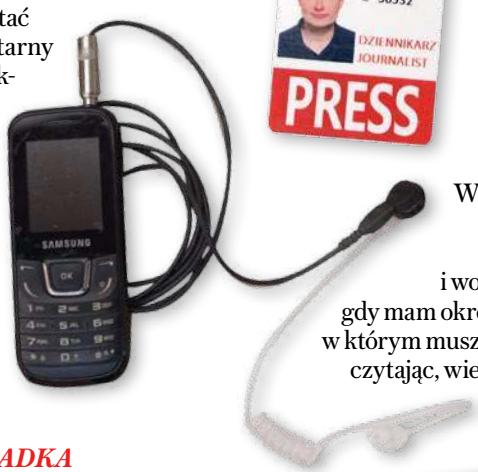

TELEFON, TZW. ZWROTNA

Słuchawka, przez którą słyszę reżyserkę i prezentera z anteny. Telefon jak najprostszy, bez bajerów, żeby bateria długo trzymała. A ten już wiekowy potrafi działać ponad tydzień bez ładowania.

PROMPTER Z PILOTEM

Wersja mini nakładana na kamerę. Nie lubię czytać z promptera i wolę mówić z głowy, ale gdy mam określony limit czasowy, w którym muszę się zmieścić, wtedy czytając, wiem, że nie przekroczę ram czasowych.

PODKŁADKA

Jest złośliwość rzeczy martwych i złośliwość pewnych sytuacji, np. wszystko pamiętasz aż do momentu relacji na żywo, gdy z głowy umyka nazwisko, liczba czy nazwa regionu. Dlatego nauczony doświadczeniem uwagi mam zapisane na kartce przymocowanej do takiej podkładki. Zawsze w kryzysowej sytuacji można zerknąć i po kłopocie.

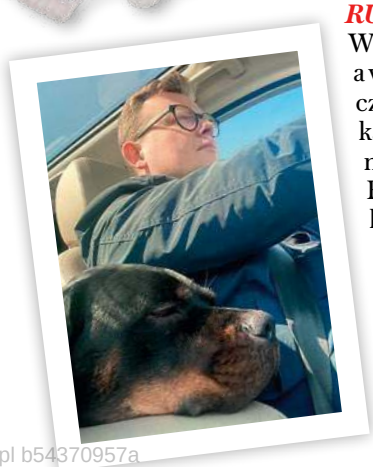

RUBI

Wyjazdy służbowe to jedno, a w chwilach wolnych od pracy często jeżdżę po Polsce. Na każdej wycieczce mnie i mojej narzeczonej Ani towarzyszy Rubi. To nasz niezastąpiony kompan i przyjaciel.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

eprasa.pl b54370957a

OGNIEM NA WPROST

„Czerwona kalina”

Ukraińcy wkroczyli do opustoszałej leśnej bazy Rosjan około godziny drogi na północ od Kijowa. Na miejscu znajdowały się stanowisko dowodzenia, kwatera główna oraz ziemianki i nory, w których przez miesiąc żyło 6 tys. żołdaków Putina. Stamtąd wojska rosyjskie rozpoczęły ataki na Kijów, Hostomel i Buczę. Koczowisko, bo trudno to miejsce inaczej nazwać, było punktem, w którym, jak powiedział CNN oficer ukraińskich sił specjalnych, szefostwo „podejmowało decyzje o rozmieszczeniu dalszych działań, o kierunkach ofensywy, taktyce działania i tak dalej”. „Inni Rosjanie w okolicy obozowali na polach z działami artyleryjskimi i kradli, co się dało: materace, alkohol, a nawet dzieła Szekspira” – relacjonował reporter CNN. Rosjanie mieszkali tam w czasie zimy, kiedy padał śnieg i deszcz, a temperatura spadała do -12 °C. Za osłonę służyły im ziemianki i nory wykładane deskami. Jak na standardy drugiej co do wielkości armii świata, to żenada. „Rosjanie walczą nie jakością, ale ilością. Nie uważają żołnierzy za ludzi, dla nich są oni mięsem armatnim i materiałem eksploatacyjnym” – powiedział ukraiński oficer. I tu się bynajmniej nie mylił.

Tego żołnierza Ukraińcy stawiają za wzór i opowiadają o nim podczas szkoleń. Jak podaje serwis 24tv.ua, mężczyzna podczas jednej z bitew zestrzelił aż trzy maszyny Rosjan. Zrobił to, używając odpalanego z wyrzutni naramiennej amerykańskiego pocisku Stinger FIM-92. Wróg stracił: samolot szturmowy Su-25 Frogfood i dwa śmigłowce Ka-52 Aligator. Wyczyn żołnierza media natychmiast ochrzciły mianem hat tricka. Hat trick to w sporcie trzy istotne osiągnięcia tego samego rodzaju, np. trzy bramki strzelone przez Roberta Lewandowskiego w rewanżowym meczu Bayernu z Salzburgiem 1/8 finału Ligi Mistrzów. 20 mln za Su-25 plus 30 mln za dwa aligatory daje razem 50 mln dol. Wartość trzech pocisków do stingera to ok. 180 tys. dol. I to był hat trick przez wielkie H.

Premier Finlandii Sanna Marin oraz Szwecji Magdalena Andersson rozmawiały niedawno w sprawie przystąpienia tych państw do NATO. Z kolei prezydent Finlandii Sauli Niinistö oszacował, że fińska decyzja w tej sprawie zostanie podjęta jeszcze przed latem br. Bardzo szybko. Finom urosły kopytka, bo prawie całe ruskie wojsko z Zachodniego Okręgu Wojskowego walczy na Ukrainie, ponosząc ciężkie straty. Tysiące Finów zapisało się na szkolenia wojskowe, a także te z pierwszej pomocy. Rekordowym poparciem cieszy się również wizja przystąpienia do NATO. Obecnie ok. 60 proc. Finów popiera członkostwo. Przed wojną na Ukrainie poparcie dla takiego pomysłu wyrażało jedynie 20 proc. Dlatego na groźby Rosji, polegające na planowanym ustawieniu przy granicy z Finlandią wyrzutni rakiet z głowicami atomowymi, zimnokrwiści mieszkańcy północy odpowiedzieli w dość swoisty sposób. Na granicę z Rosją ruszyły... ciągniki rolnicze. Było to nawiązanie do nagrań udostępnianych w sieci, na których widać ukraińskich rolników i Cyganów, którzy swoimi ciągnikami holują rosyjski sprzęt wojskowy. Putinowi udało się inwazją na Ukrainę osiągnąć efekt, na który nie liczył nawet w najkoszmarniejszych snach. Zamiast ograniczać rolę NATO, powiększa ją, dodając sobie ponad 1,3 tys. km granicy z paktem północnoatlantyckim, i efekt drugi – świat powoli przestaje się bać tzw. drugiej armii świata, a co za tym idzie, polityki permanentnego zastraszania.

Furorę na świeci robi pieśń bojowa Ukraińców „Czerwona kalina”. Zagrał ją nawet zespół Pink Floyd. Wielu domorosłych znawców historii twierdzi, że to utwór upowski. Nic bardziej mylnego. „Czerwona kalina” to pieśń, której słowa napisał w 1914 r. poeta Stiepan Czarnecki do znanej w tamtych stronach melodii ludowej. Śpiewali ją przy ogniskach Strzelcy Siczowi, jak nasi legioniści Piłsudskiego „O mój rozmarynie”. Strzelcy Siczowi, podobnie jak nasze Legiony, tłukli się z Moskalem. Owszem wystąpiliśmy przeciwko sobie w obronie Lwowa (listopad 1918 r.) podczas wojny polsko-ukraińskiej (1918–1919), ale kto nie ma prawa walczyć o swój kraj? Problem pojawił się wtedy, gdy polska młodzież wspólnie z ukraińską zaśpiewała „Czerwoną kalinę” w Zamojskim Domu Kultury. „Wykonanie »Czerwonej kaliny« głęboko rani żyjących świadków historii i ich potomków, w imieniu których działamy” – oświadczył Janusz Bernach, p.o. przewodniczący Stowarzyszenia Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu. Już do hrubieszowskiej prokuratury trafiło zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa propagowania banderyzmu przez pracowników Zamojskiego Domu Kultury. Cóż tu można rzec. Jak mówi stare powiedzenie: „Nadgorliwość czasem jest gorsza od faszyzmu”.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b54370957a

Inny świat

Marta Kaczyńska-Zielińska

W Turcji samochody mają pierwszeństwo przed pieszymi. Zasada ta jest podobno zakorzeniona w tradycji z czasów, gdy lepiej sytuowani obywatele poruszali się na wielbłądach, a pozostali musieli im ustępować. Podobnie jest w Rosji. W krajach naszego kręgu kulturowego naturalna jest kolejność pierwszeństwa pieszych. W cywilizacji wywodzącej się z chrześcijaństwa istotne jest zagwarantowanie bezpieczeństwa słabszemu, im dalej na wschód, tym bardziej liczy się kolektyw. Kultura Wschodu charakteryzuje się m.in. przedkładaniem dobra grupy, firmy, państwa nad potrzeby jednostki. Społeczność staje się rodzajem jednolitej mentalnie masy, którą charakteryzuje tzw. myślenie grupowe. Słabsze jednostki doświadczają silnej presji i muszą się podporządkować. Widać to wyraźnie na przykładzie azjatyckiego kapitalizmu i jego specyficznej kultury pracy, której najbardziej charakterystyczną cechą jest wysoki odsetek chorób i zgonów wywołanych niedostatkiem odpoczynku.

Lekceważenie wartości jednostki i odarcie jej nawet z minimum podmiotowości to powszechne przekonanie w dziejach Rosji, które warunkuje zgodę na najbardziej skrajne upodlenie, gratyfikowane przez poczucie przynależności do potęgi imperium. Sukcesy kolejnych wcieleń ruskiego imperium wynikały właśnie z tego, że wielomilionowe masy gotowe były nawet umierać z głodu, byle tylko majestat cara odpowiednio się prezentował, a rosyjska armia pokonywała kolejnych wrogów. Naród w przekonaniu Rosjan nie ma takiego samego znaczenia jak na Zachodzie, posiada on bowiem charakter ponadetniczny. Rosyjska polityka narodowościowa jest od wieków ściśle związana z ideą tworzenia państwa interpretowanego jako „zbieranie ziem ruskich", czyli w istocie ich podbijania, unicestwiania lokalnych ustrojów i – co najważniejsze – elit poszczególnych narodów oraz masową deportację mieszkańców w głąb Rosji po to, by uformować nową mentalność. Administracyjna i duchowa tyrania miały stworzyć niewolniczo posłuszne społeczeństwo, wyjałowione z jakiegokolwiek indywidualizmu przy współudziale cerkwi, która już od czasów Piotra I stała się przybudówką państwa.

W Europie Środkowej i Zachodniej naród to wspólnota modernizująca i dynamizująca społeczeństwa, siła napędowa cywilizacyjnego rozwoju. W Związku Radzieckim na pierwotną wspólnotowość ruską w XX w. nałożono sowieckość, której owocem stał się homo sovieticus. Cechuje go bezkrytyczna postawa wobec autorytetu państwa oraz nieufność, a nawet lęk wobec wszystkiego co obce, potęgowane przez poczucie bezradności. Homo sovieticus wierzy w szczególną tożsamość Rosji, w której to władza państwowa staje się gwarantem porządku i punktem odniesienia dla tożsamości narodowej, a wspólna mobilizacja przeciwko obcemu kompensuje niedostatki codzienności, pobudzając dumę z przynależności do państwa, które poprzez działania militarne i zbrodnicze realizuje cywilizacyjną misję. Ludzie dotknięci opisaną mentalnością są słabi i podatni na manipulację i niechętni do weryfikacji swojego światopoglądu (por. M. Domańska „Uzależnieni od konfliktu. Wewnętrzne uwarunkowania antyzachodniej polityki Kremla"). Mentalność przeważającej części Rosjan – tkwiąca wciąż w opisanym wyżej schemacie, czego szokujące przykłady mnożą się w miarę kolejnych dni wojny na Ukrainie – jest jak widać zupełnie odmienna od powszechnie uznawanej w państwach ceniących wolność i odwołujących się do przyrodzonej każdemu człowiekowi godności. Jakkolwiek wydaje się nam to niepojęte, trzeba to przyjąć do wiadomości i właśnie przez ten pryzmat patrzeć na okrutne zbrodnie dokonywane na Ukrainie. Bestialstwo zwyrodnialców w rosyjskich mundurach nie wynika wyłącznie z rzetelnego wykonywania rozkazów. Tak makabrycznych zbrodni, o których donoszą świadkowie, nie byłby w stanie dopuścić się człowiek posiadający choćby szczątkowy system wartości. „Orki" atakujące Ukraińców są pozbawione zasad moralnych znanych w cywilizacji łacińskiej.

Nie ma się co łudzić, że militarne powstrzymanie Moskwy przez Ukraińców będzie równoznaczne z nastaniem czasu spokoju, który znaliśmy sprzed 24 lutego. Naiwnością jest również przeświadczenie, że modus operandi Rosji zmieni się po obaleniu Putina. Mentalność Rosjan i okrutna logika wypływająca z ich mrocznych dziejów na to nie pozwolą.

REKLAMA

56/0322/F

eprasa.pl b54370957a

Zacznijmy rozmowę o niemieckich i rosyjskich reparacjach

Samuel Pereira

Od czasu rozpoczęcia rosyjskiej inwazji minęły dwa miesiące. W innej sprawie można byłoby powiedzieć, że były to tylko dwa miesiące, w tym przypadku wiemy jednak, że nic już od teraz nie będzie takie samo.

Nagle dla wszystkich w Polsce stało się jasne, że nie ma w naszym kraju miejsca na pomniki sowieckich żołnierzy. A przecież jeszcze w 2009 r. Donald Tusk, jako nie tylko lider PO, ale premier RP, mówił o Armii Czerwonej jako wyzwolicielach. „Nikt w Polsce nie ma zamiaru zapomnieć, ile krwi zostawili tutaj na naszej ziemi żołnierze radzieccy, kiedy wyzwalali Polskę spod okupacji hitlerowskiej. I nie zmienia tego faktu nasze gorzkie doświadczenie po roku 1945" – mówił Tusk, stojąc tuż obok mordercy Władimira Putina. Dziewięć lat po zbrodniach czeczeńskich i rok po agresji na Gruzję. Kilka miesięcy później, już po katastrofie smoleńskiej, jego otoczenie polityczne i medialne ruszyło ze skandaliczną akcją palenia zniczy na grobach rosyjskich żołnierzy, morderców. Dziś to wszystko wydaje się czystą abstrakcją i to jest to szczęście w nieszczęściu, jakie przynosi wojna na Ukrainie.

Podobnie rzecz się ma z reparacjami wojennymi. Do niedawna jeden obóz polityczny w Polsce forsował politykę amnezji i oburzania się na samą myśl o wyliczeniu odszkodowań, które za zbrodnie II wojny światowej powinni wypłacić nam Niemcy. „Minęło już kilkadziesiąt lat, nie rozdrapujmy ran" – mówili. Czy dziś to samo byliby gotowi powiedzieć o kwestii reparacji wojennych, które Rosja będzie musiała wypłacić? A może wcale nie jest pewne, że Rosja po (mam nadzieję jak najszybszym) zakończeniu wojny będzie płacić Ukrainie odszkodowania. O tym już teraz powinnyśmy zacząć mówić, żeby politycy europejscy, którzy dziś przypinają sobie ukraińską flagę do klapy, zobowiązali się również w tej sprawie. Tutaj Polska ma szczególną rolę, bo jak mało kto rozumie, jak poważnym błędem jest niezałatwienie tej sprawy od razu. Stańmy się rzecznikiem Ukrainy, a jednocześnie użyjmy tego jako argumentu do przyciśnięcia Niemiec w sprawie reparacji dla naszego kraju.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Znowu w siodle

Z Radosławem Pazurą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kiedy pierwszy raz usłyszał pan przed kamerami komendę: „Na koń!"?

Radosław Pazura: Równo trzy dekady temu. W „Szwadronie" Juliusza Machulskiego. Potem jeszcze parę razy grałem w siodle – w epizodach i w drugim planie. Dzięki temu nie zapomniałem, czego nauczyłem się przy okazji kinowego debiutu. A była to niezła szkoła, tzw. łącka. W krótkim czasie na ogierach, płacąc bolesnymi obtarciami, osiągaliśmy wymagany jeździecki poziom. Pozostały nawyki, których się nie zapomina.

Gdy okazało się, że rola w „Koronie królów. Jagiellonach" wiąże się również z jazdą konną, ucieszył się pan?

Tak, zwłaszcza że na planie spotkałem Tomasza Biernawskiego, który sprawował opiekę nad przygotowaniem jeździeckim i militariami przy „Szwadronie". To wysokiej klasy specjalista, więc te kwestie również w „Jagiellonach" będą na najwyższym poziomie.

Przedstawmy pana bohatera.

Mikołaj Trąba to postać historyczna. Podkanclerzy Władysława Jagiełły, bodaj najważniejszy z jego doradców. Król darzył go wielkim zaufaniem, a sam Trąba oprócz tego, że wspierał władcę duchowo, znakomicie orientował się i odnajdywał w polityce. Dlatego mógł tak celnie doradzać.

„Korona Królów. Jagiellonowie" jest na etapie zdjęć, a my możemy pana oglądać w serialu „Mecenas Porada". W roli, również fizycznie, niełatwej.

Chodzi o to, że mój bohater porusza się na wózku... Ale nie tylko to ograniczenie ma wpływ na jego osobowość i charakter. Z pewnością Grzegorz Porada jest postacią nietuzinkową.

Fot. Anna Gostkowska

eprasa.pl b54370957a

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: PRESIDENT OF UKRAINE X 2, TWITTER X 5, SHUTTERSTOCK/ NIENORA, ANDREY_L, PELAGIUA, BIPLANET, WAKAJAWAKA, DROP OF LIGHT, JANE_ZH, MAGGEE, MAXIM APRYATIN

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

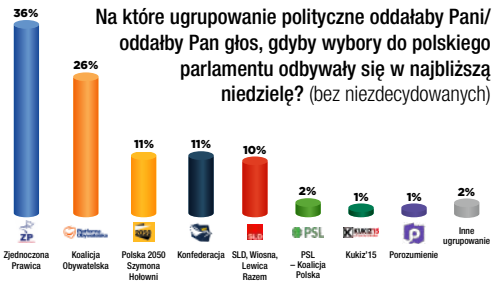

Którą formą językową powinniśmy się posługiwać w odniesieniu do trwającej wojny?

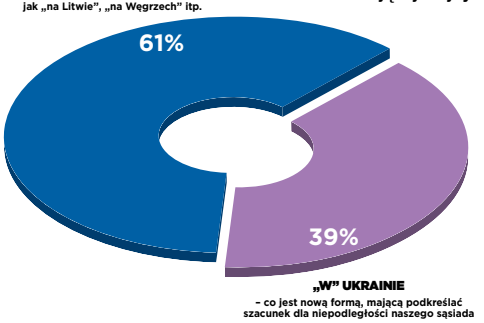

Jak się Pani/Panu wydaje – gdyby Rosja zaatakowała Polskę, czy moglibyśmy liczyć na pomoc NIEMIEC, w tym na wsparcie militarne?

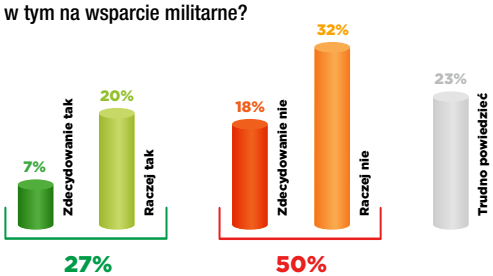

A jak się Pani/Panu wydaje – gdyby Rosja zaatakowała Polskę, czy moglibyśmy liczyć na pomoc FRANCJI, w tym na wsparcie militarne?

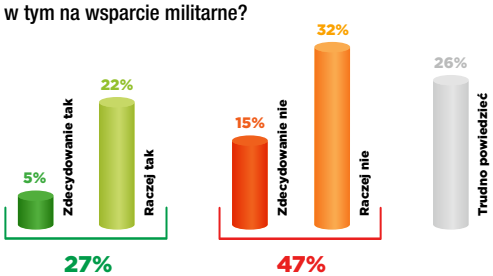

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1057.

Zakres czasowy badania 15–18 kwietnia 2022 r.

eprasa.pl b54370957a

3-godzinne nagranie z punktu kurierskiego w Mozyrze na Białorusi pokazuje rosyjskich żołnierzy nieustannie wysyłających ukradzione na Ukrainie łupy do ich domów

Armia maruderów

Rosjanie barbarzyńsko łupią i plądrują najechaną Ukrainę. Ale w stosunku do własnego państwa zachowują się podobnie. W tym można upatrywać jakiejś nadziei dla cywilizowanego świata

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ciągu najbliższych dwóch tygodni reżim w Moskwie chce ogłosić swoje zwycięstwo w wojnie z Ukrainą. Ma to oczywiście znaczenie symboliczne i propagandowe. 9 maja obchodzony jest w Rosji Dzień Zwycięstwa, a agresję na Ukrainę przedstawia się w Moskwie jako starcie z „nazizmem", a więc współczesną powtórkę z sowieckiej wojny ojczyźnianej (1941–1945).

Rzeczywiście można tu dostrzec wiele podobieństw, choć raczej nie takich, o których dudni kremlowska propaganda. Wystarczy rzut oka na archiwalne fotografie dokumentujące zwycięski pochód Armii Czerwonej w 1945 r. Na najsłynniejszej z nich widać żołnierza z dwoma zrabowanymi zegarkami na ręku, który zawiesza czerwony sztandar na Bramie Brandenburskiej w Berlinie. Na innej sołdat wyrywa kobiecie rower. Szlak sowieckiej armii oraz idących za nią oddziałów zaporowych często znaczyły ruiny, grabież i gwałty na ludności cywilnej. Od tamtego czasu niewiele lub zgoła nic się nie zmieniło.

W internecie pojawił się ostatnio zmontowany przez jakichś kpiarzy filmik, na którym możemy obejrzeć inscenizację tegorocznej parady zwycięstwa na placu Czerwonym. Przed trybuną honorową, na której zasiada Putin z Łukaszenką, defilują kolejne oddziały armii rosyjskiej. Tyle że zamiast broni i sztandarów dźwigają oni zrabowane na Ukrainie dywany, telewizory i mikrofalówki. A w powietrzu unoszą się wojskowe helikoptery z podwieszonymi na linach pralkami.

UKRAIŃSKIE ELDORADO

Rosja wywodzi się z tradycji średniowiecznej ordy mongolskiej. I tak jak niegdyś orda uważa zdobyte tereny za swój łup – zarówno w sensie dosłownym, co oznacza, że żołnierze mają prawo rabować i gwałcić wrogów, jak i w sensie szerszym, że terytoria, które zostały podbite kosztem krwi rosyjskich

eprasa.pl b54370957a

żołnierzy, po prostu do niej przynależą. W taki sposób uzasadniano przecież przejęcie kontroli nad Polską przez Związek Sowiecki w 1945 r.

Białoruski niezależny bloger Maksim Mirowicz dodaje do tego jeszcze jedno ważne spostrzeżenie, że Rosjanie wychowani w biedzie i w kulcie przemocy po prostu nienawidzą tych, którym się lepiej powiodło. Przeciętny Rosjanin zamiast samemu dążyć do poprawy swojego bytu, ścigać się z innymi, będzie chciał – jak pisze Mirowicz – sprowadzić lepszych i bogatszych do swojego poziomu, ściągnąć ich na dno, aby tak jak i on klepali biedę oraz cierpieli. To właśnie ten mechanizm staje się podczas wojny ważną siłą napędową rosyjskiego okrucieństwa.

Przerażające skutki tego zdziczenia mogliśmy niedawno oglądać w podkijowskich miejscowościach: Buczy, Irpieniu, Hostomlu, z których wycofały się oddziały rosyjskiego okupanta. Setki zabitych cywilów, często porzuconych wprost na ulicach lub torturowanych przed śmiercią, oraz potwornie splądrowane domy, skąd zabierano wszystko, co przedstawiało dla najeźdźców jakąkolwiek wartość. Ukraińskie mieszkania po przejściu takiej hordy wyglądały niewiele lepiej niż po uderzeniu pociskiem. Meble zniszczone, ściany wybazgrane obraźliwymi napisami, niekiedy pozostawione na podłodze ekskrementy. Chodziło o to, aby nie tylko ukraść, ale też upokorzyć, znieważyć, wyrzucić z siebie nienawiść do miejscowych.

Dla wojaków Putina relatywnie bogate przedmieścia Kijowa były niczym eldorado, nagroda za wcześniejszą poniewierkę. Większość żołnierzy rosyjskich wywodzi się z „głubinki" – zabiedzonej rosyjskiej prowincji, często z azjatyckich republik, gdzie brakuje dosłownie wszystkiego, od dróg zaczynając, na kanalizacji kończąc. Mieszkający tam ludzie zazwyczaj nigdy nie wyjeżdżają dalej niż na kilkaset kilometrów od swojego domu. Niemal nikt z nich nie był w Moskwie, o zagranicy nawet nie wspominając. Nie wiedzą, jak wygląda świat, żyją w ponurej rzeczywistości kształtowanej przez biedę, przemoc, wszechobecny alkoholizm i korupcję władzy. Jedynym oknem na świat jest dla nich telewizor, z którego bez przerwy sączy się nienawistna propaganda, zręcznie podgrzewająca ich kompleksy.

Lud rosyjski niewiele zmienił się od czasów imperium. Wtedy też chłopstwo nienawidziło świata. Wyjątkiem był car, dla którego w każdej chłopskiej chacie wydzielano „krasnyj ugołok" – kącik do modlitwy, w którym poczesne miejsce zajmowały obrazki z wizerunkiem imperatora. Dziś funkcję tego kącika pełni telewizor, który przekazuje tę samą myśl: wszyscy są źli, jedynie Putin jest naszym wybawcą.

> Armia, której głównym celem są grabieże i gwałty, nie jest w stanie skupić się na walce. Jest zbyt zdemoralizowana, aby odnosić poważne sukcesy w boju. Widać to w całej okazałości na Ukrainie

Dla tych ludzi żyjących w prymitywnych warunkach służba wojskowa jest często jedyną dostępną szansą na poprawę życia, stabilną płacę, mieszkanie, awanse, wyjazdy. Dlatego to właśnie z takich środowisk rekrutuje się duża liczba rosyjskich żołnierzy. Nie zmieniają oni jednak swoich nawyków, przeciwnie, przenoszą je ze sobą do koszar. Nic więc dziwnego, że rosyjska armia przypomina ciągle, zewnętrznie i mentalnie, hordę wpółdzikich barbarzyńców.

NAM NIE JEST WSTYD

W prywatnych rozmowach, przechwyconych przez ukraiński wywiad, rosyjscy żołnierze pytali swoje żony i matki o ich rozmiary, aby dopasować ukradzione futra i bluzki. Kradli też cudze auta, oczywiście wcześniej gryzmoląc na nich putinowską swastykę, czyli literę Z. Niektórzy rozbijali się nimi tylko dla zabawy, inni jednak potrafili wrócić nimi do Rosji z bagażnikami pełnymi łupów. W rosyjskim internecie pojawiły się nawet zapytania, jak legalnie zarejestrować w Rosji tak zrabowane samochody.

Wśród Rosjan jest przyzwolenie na takie zachowanie. Co więcej, bliscy żołnierzy biorących udział w agresji na Ukrainę wręcz oczekują, że ich „dzielni" wojacy przywiozą im z wojny, niczym z egzotycznych wakacji, rozmaite prezenty.

Nic więc dziwnego, że wycofujące się spod Kijowa wojska rosyjskie ciągnęły za sobą całe karawany zrabowanych łupów. Po powrocie do baz na Białorusi tamtejsze poczty przeżyły oblężenie. Grabieżcy ruszyli bowiem do okienek, aby wysłać paczki swoim rodzinom. Według niezależnego rosyjskiego portalu Meduza wśród wysyłanych 2 kwietnia z poczty w Mozyrzu sprzętów były m.in.: hulajnoga elektryczna, klimatyzatory, ubrania, telewizory, sprzęt do łowienia ryb, butelki z alkoholem, akumulatory samochodowe, torba z logo ukraińskiego sklepu Epicentr K, a nawet stół, klapa bagażnika i namiot. Paczki ważyły po kilkadziesiąt kilogramów, rekordzista miał nadać aż 450 kg. Co ciekawe, nie wszystkie z tych paczek dotarły do adresatów.

Część z nich (według niektórych źródeł większość) została pod drodze ukradziona. Jedni złodzieje obrabowali więc innych złodziei.

W internecie pojawiały się też dane z lokalizatorów sprzętu Apple. Na przykład ukradzione przez rosyjskich żołnierzy słuchawki AirPods nadawały swoim prawowitym ukraińskim właścicielom sygnały lokalizacyjne z Białorusi i Rosji.

Szczytem zdziczenia była jednak zarejestrowana przez Ukraińców rozmowa młodego rosyjskiego żołnierza z żoną. Żona udzielała walczącemu pod Chersoniem mężowi dyspensy na gwałcenie „ukraińskich bab" pod warunkiem, że wcześniej się zabezpieczy i nie będzie jej wspominał o swoich „miłosnych podbojach". Jednocześnie ta sama kobieta napisała na swoim profilu w serwisie Vkontakte, że najważniejsze są dla niej rodzina i dzieci.

Dla prymitywnej dziczy, która – jak widać – szeroko zasila szeregi rosyjskiej armii, kobieta również jest łupem,

eprasa.pl b54370957a

przedmiotem, który można wykorzystać. Przypomina się tutaj Aleksandr Sołżenicyn, który w swoim „Archipelagu GUŁag" opisywał, jak sowieckim żołnierzom w 1945 r. zezwalano na gwałcenie niemieckich kobiet, aby po długich miesiącach spędzonych na froncie mogli sobie wreszcie ulżyć.

Wielu zwykłym Rosjanom to nie przeszkadza. Uważają, że takie są prawa wojny, bo innej wojny, innego sposobu rozwiązywania konfliktów nie potrafią sobie wyobrazić. Propagandowe hasło towarzyszące wojnie na Ukrainie brzmi przecież „nam nie jest wstyd" i można je znaleźć zarówno na plakatach reklamowych, jak i na koszulkach sprzedawanych w sklepach.

DRUGA STRONA MEDALU

Przyzwolenie na grabież i gwałty ma jednak swoje konsekwencje. Nie chodzi tu o kwestie etyczne czy prawne, bo tymi reżim na Kremlu przecież się nigdy nie przejmował. Chodzi o coś, co powinno uruchomić sygnał alarmowy w głowach moskiewskich generałów, gdyby tylko byli oni w stanie wyzwolić się ze strategii niszczycielskiej wojny. Armia, której głównym celem są grabieże i gwałty, nie jest w stanie skupić się na walce. Jest zbyt zdemoralizowana, aby odnosić poważne sukcesy w boju. To zresztą widać dziś w całej okazałości na Ukrainie.

Co więcej, jest to zaledwie jeden z przejawów strukturalnej korupcji, która stanowi fundament całego państwa rosyjskiego. Zresztą nie od dziś. Już w czasach imperium carskiego codziennością było skorumpowanie władzy i łupienie swoich poddanych. Gubernatorzy naznaczani przez cara mogli grabić podległą im ludność pod warunkiem, że skala tych grabieży nie wywoływała buntu. Po jakimś czasie, gdy już się nachapali, byli przesuwani do mniej zasobnych guberni, a ich miejsce zajmowali nowi, którzy dopiero czekali na swój udział w łupach. W ten sposób imperator zachowywał pewną równowagę, bo każdy jego gubernator miał równe szanse w grabieży.

> Bliscy żołnierzy biorących udział w agresji na Ukrainę wręcz oczekują, że ich „dzielni" wojacy przywiozą im z wojny, niczym z egzotycznych wakacji, rozmaite prezenty

Dziś niewiele się zmieniło. Władze na Kremlu i ich urzędnicy zajmują się dokładnie tym samym, łupieniem własnego państwa. Dotyczy to również armii. Zatopiony niedawno krążownik Moskwa, flagowy okręt Floty Czarnomorskiej, poszedł na dno, również dlatego, że podczas jego remontu rozkradziono środki przeznaczone na modernizację. Zlecenie na odnowę systemu rakietowego dalekiego zasięgu oraz na modernizację pocisków otrzymała nikomu wcześniej nieznana firma Elektropribor, która nie miała licencji na prowadzenie tak specjalistycznych prac. Według mediów kapitan okrętu Igor Supranowicz otrzymał za przyznanie felernego kontraktu 16 mln rubli łapówki.

Podobnie wygląda sytuacja, jeśli chodzi o inne rodzaje uzbrojenia, zwłaszcza że większość tego rodzaju kontraktów jest finansowana z tajnego budżetu obronnego, zatem znacznie łatwiej jest ukryć skalę korupcji. W 2012 r. media donosiły o wartym 26 mln dol. kontrakcie na opracowanie pocisków rakietowych. Prace nigdy nie ruszyły z miejsca, ponieważ firma, która wygrała kontrakt, przelała środki na konta fikcyjnych podwykonawców, z których część zarejestrowano pod adresami toalet publicznych w Samarze. Inny przypadek z 2016 r., o którym wspominał m.in. serwis Politico, dotyczył opracowania nowego systemu kierowania pocisków, jednak – tak jak cztery lata wcześniej – pieniądze zniknęły, a firma, która wygrała kontakt, jedynie markowała prace nad nowym uzbrojeniem.

To właśnie z takich przekrętów biorą się wielkie fortuny ludzi władzy w Rosji. Minister obrony Siergiej Szojgu słynie ze swoich posiadłości, jego zastępca Rusłan Calikow ma w podmoskiewskiej Rublowce rezydencję wartą 15 mln dol. Podobny majątek posiada szef korporacji Rostech Siergiej Czemiezow odpowiedzialny za kontrakty zbrojeniowe. Jak szacuje Sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań nad Pokojem SIPRI, Rosja wyda w tym roku na zbrojenia blisko 62 mld dol. Jest więc z czego kraść.

AUTODEKSTRUKCJA

Złodziejstwo dotyka też armię na niższym poziomie. Jakiś czas temu w internecie pojawiły się zdjęcia przeterminowanych o siedem lat racji żyw-

42/0422/F

eprasa.pl b54370957a

nościowych, które otrzymują żołnierze rosyjscy na Ukrainie. Nowe natomiast można było kupić na rosyjskich portalach aukcyjnych. Podobnie jest ze środkami opatrunkowymi, które są często zapleśniałe i zanieczyszczone, co z pewnością negatywnie wpływa na stopień zdolności bojowych rosyjskiego wojska.

Również paliwo przeznaczone do pojazdów wojskowych jest rozkradane i sprzedawane na lewo. To właśnie z powodu braku paliwa utknęła – zdaniem niektórych ekspertów – rosyjska kolumna pancerna zmierzająca miesiąc temu w kierunku Kijowa. Dowódcy nalewali do baków znacznie mniej paliwa niż potrzeba i załogi czołgów porzucały unieruchomione pojazdy. W pewnym momencie rosyjskiej armii zaczęło brakować specjalistycznych ciężarówek do przewozu amunicji, zaczęto więc wykorzystywać cywilne pojazdy, co w warunkach bojowych doprowadziło do kolejnych strat. Amunicja nie docierała wcale lub docierała z opóźnieniem. Ukraińscy obrońcy potrafili to doskonale wykorzystać.

> Przeciętny Rosjanin zamiast samemu dążyć do poprawy swojego bytu, będzie chciał sprowadzić lepszych i bogatszych do swojego poziomu, ściągnąć ich na dno, aby tak jak i on klepali biedę

Zdemoralizowana i skorumpowana armia niszczy i rabuje nie tylko przeciwnika, ale też własne szeregi. To jedna z głównych przyczyn słabości Rosjan. Ostatnio zaczęło to chyba docierać na Kreml, o czym świadczą domniemane aresztowania wśród oficerów V Służby FSB, mającej odpowiadać za nastroje na Ukrainie przed inwazją. Stojący na czele V Służby gen. Siergiej Biesieda miał wraz z innymi funkcjonariuszami władzy, w tym wieloletnim ideologiem Kremla Władisławem Surkowem, przygotować polityczny grunt pod rosyjską agresję. Chodziło o zorganizowanie siatki agentów i dywersantów oraz skorumpowanie ukraińskich oficerów i polityków, tak aby Ukraina nie była w stanie stawić oporu rosyjskim wojskom. Jak wiemy, nic z tego nie wyszło. Ogromne środki przeznaczone na ten cel prawdopodobnie zniknęły w kieszeniach generałów FSB i ich agentów.

Rosjanie barbarzyńsko łupią i plądrują najechaną Ukrainę. Ale w stosunku do własnego państwa zachowują się podobnie. W tym można upatrywać nadziei dla cywilizowanego świata.

REKLAMA

eprasa.pl b54370957a

W rolach głównych

MARCIN WIKŁO

Według znanego w kręgach dyplomatycznych powiedzenia między państwami nie ma przyjaźni, są tylko interesy. Ale bardzo osobista relacja Andrzeja Dudy i Wołodymyra Zełenskiego oraz bezprecedensowa polska pomoc dla napadniętej przez Rosję Ukrainy zdają się tej zasadzie przeczyć

Prezydenci Polski Andrzej Duda i Litwy Gitanas Nausėda byli ostatnimi przywódcami, którzy odwiedzili Kijów przed rozpoczęciem wojny. 23 lutego, w przededniu agresji, przed swoją siedzibą żegnał ich Wołodymyr Zełenski. – Powiedział do mnie: „Andrzej, być może widzimy się ostatni raz". Wiedzieliśmy już wówczas, że rosyjski atak jest bardzo prawdopodobny – mówił prezydent Andrzej Duda w wywiadzie dla „Sieci". Polska delegacja dotarła do Warszawy w nocy, już 24 lutego po drugiej.

– Niedługo później, tuż po czwartej rano prezydent Zełenski poprosił o możliwość rozmowy z prezydentem Dudą. Chciał go poinformować, że rosyjska inwazja jednak się rozpoczęła. Przywódca Ukrainy uznał, że to prezydent Polski ma być poinformowany na samym początku. To chyba najlepiej obrazuje relacje między nimi – opowiada Jakub Kumoch, szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej.

Wtedy jeszcze był niepokój, nie wiadomo było, czy ukraińska armia

eprasa.pl b54370957a

Fot. fot. Jakub Szymczuk KPRP

wytrzyma rosyjski napór. Mitologizowana siła Kremla miała napadnięty kraj zgnieść i szybko zająć Kijów. – No, ale wytrzymali, w co zresztą bardzo wierzyliśmy. I szybko stało się jasne, że Duda do Kijowa pojedzie jeszcze raz, by spotkać się ze swoim przyjacielem. Zełenski przywitał go serdecznie, w jego oczach widzieliśmy, że bardzo na to spotkanie czekał i na nie liczył – opowiada inny współpracownik prezydenta Dudy.

– To prawda, że w polityce międzynarodowej liczą się przede wszystkim interesy. Ale proszę zwrócić uwagę, że szczególnie w obecnej wojennej sytuacji są one dla Polski i Ukrainy w zasadzie tożsame. Chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa i obronę przed rosyjską agresją. Jakie są relacje prezydentów Dudy i Zełenskiego? To chyba widać. Taka bliskość na pewno pomaga – dodaje Marcin Przydacz, wiceminister spraw zagranicznych, uczestnik spotkania w Kijowie.

ODWAGA PRZYWÓDCÓW

Gdy 15 marca, w 20. dniu wojny, do Kijowa docierali premierzy Czech, Słowenii i Polski oraz wicepremier Jarosław Kaczyński, miasto było pod silnym ostrzałem.

„Chciałbym podziękować za to bardzo mocne stanowisko, [...] ci ludzie, poważni ludzie, liderzy swoich pięknych, niezależnych, europejskich państw niczego się nie boją. Są tutaj, żeby nas wspierać. To bardzo dobry, piękny, przyjazny krok. Jestem pewny, że z takimi przyjaciółmi [...] naprawdę damy radę zwyciężyć" – powiedział wówczas Wołodymyr Zełenski.

„Rację miał prezydent Lech Kaczyński, gdy mówił w Tbilisi, że: »Europa Środkowa ma odważnych przywódców«. Potrzebna jest jedność i mocne wsparcie dla Ukrainy ze strony całej UE. Polska jest i będzie adwokatem Ukrainy" – skomentował tę wizytę Andrzej Duda.

Później w Kijowie pojawili się także inni przywódcy. Ale to na prezydenta Dudę Zełenski czekał najbardziej. – Cała podróż i jej przebieg były z oczywistych względów trzymane w tajemnicy, co nie było łatwe, bo przecież na bieżąco konsultowaliśmy się z przyjaciółmi z krajów bałtyckich – opowiada nam Paweł Soloch, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. – Szczegóły rodziły się w trakcie. Tak było np. z wizytą w miejscach wokół Kijowa, gdzie Rosjanie dopuścili się zbrodni na cywilach. Bardzo chcieliśmy tam pojechać. Po pierwsze, żeby zobaczyć to na własne oczy, po drugie, żeby uhonorować ofiary i ukraińskie męczeństwo, a po trzecie, żeby wysłać w świat sygnał, że to ludobójstwo nie zostanie zapomniane, a jego sprawcy zostaną ukarani.

W tę podróż prezydenci Polski, Litwy, Łotwy i Estonii wybrali się pociągiem. Każdy miał do dyspozycji swój wagon, ale to w salonce Andrzeja Dudy odbyła się najważniejsza narada przed wjazdem na teren objęty wojną. W Irpieniu i Borodziance, podkijowskich miejscowościach prawie doszczętnie zniszczonych przez artylerię, prezydentom towarzyszył premier Denys Szmyhal. To, co tam zobaczyli, na zawsze zostanie w pamięci.

– Wszyscy mieliśmy poczucie takiego dosłownego, fizycznego bólu, gdy patrzyliśmy na zniszczoną okolicę. Widziałem samotną starszą kobietę owiniętą chustą, która stała na ruinach swojego domu. Była bezsilna. I my w tym momencie poczuliśmy dokładnie to samo – opowiada mi jeden z uczestników misji do Kijowa, który towarzyszył prezydentowi.

– Andrzej patrzył na te ruiny w milczeniu i myślę, że odczuwał to na dwóch płaszczyznach. Sama wojna i przeżycia Ukraińców musiały być trudne, ale przecież miał świadomość, że przyjechał do Wołodymyra, do człowieka, który emocjonalnie dużo dla niego znaczy, a który w każdej godzinie musi się mierzyć z cierpieniem swojego narodu – mówi mi kolejny z uczestników wyjazdu.

CZAS PRÓBY

Nikt ze współpracowników prezydenta Dudy nie jest w stanie wskazać, kiedy dokładnie zaczęła się ta chemia z Zełenskim. Od każdego z moich rozmówców słyszę za to, że są bardzo do siebie podobni. I w podobnym wieku (Duda rocznik 1972, Zełenski – 1978), choć to polski prezydent jest o wiele bardziej doświadczonym politykiem, ukraiński przywódca musiał dojrzeć w ekspresowym tempie.

– Ani jeden, ani drugi nie mają w sobie niczego makiawelicznego, a u polityków tej rangi to rzadkość. Mają podobne charaktery, cenią szczere relacje z ludźmi – słyszę od osoby z bliskiego otoczenia Andrzeja Dudy.

– Nie patrzą na szarżę, prezydenta, premiera, ministra i zwykłego człowieka traktują bez zadęcia – mówi inny współpracownik prezydenta.

Rzeczywiście, obaj politycy świetnie łapią kontakt, obaj pokazali to podczas swoich kampanii wyborczych, które wygrali głównie dzięki temu, że ludzie ich po prostu polubili.

Wołodymyr Zełenski został prezydentem w maju 2019 r. Duda zbliżał się wówczas do końca swojej pierwszej kadencji. Potem wybuchła pandemia

eprasa.pl b54370957a

i kontakty międzynarodowe na długo ustały, więc trudno było się poznać. Przywódcą Ukrainy został człowiek, który zdobył popularność w kabarecie, co często wypominali mu jego przeciwnicy, choć przecież z wykształcenia, tak jak Duda, jest prawnikiem.

– Już w czasie naszego pierwszego spotkania w Brukseli nie miałem wrażenia, że mam do czynienia z komikiem. Znałem oczywiście jego aktorską przeszłość, ale już wówczas zobaczyłem człowieka, który bardzo poważnie podchodzi do powierzonego mu zadania – opowiadał prezydent Duda w wywiadzie dla „Sieci". – Dziś jest już wytrawnym politykiem. Został poddany wielkiej próbie i zdaje egzamin. Egzamin życia i śmierci.

Andrzej Duda już w przededniu wojny opowiadał o młodszym koledze z dużym respektem. Przedstawiał Zełenskiego jako kogoś, od kogo można się sporo nauczyć. A jak jest okazja, to i usiąść i pobiesiadować. Andrzej Duda: – To były bardzo poważne rozmowy, i w Kijowie, i parę tygodni wcześniej w Wiśle, gdy spędziliśmy wieczór przy ognisku, omawiając sytuację. Czułem, jak wielki ciężar dźwiga ten człowiek, że przeczuwa, co go czeka, ale również, że jest wewnętrznie mocno zdeterminowany. To bardzo poważny facet. Dużo się od niego nauczyłem. Zrozumiałem też, czym jest w istocie współczesna Ukraina.

Fot. fot Jakub Szymczuk KPRP

PARTNERSTWO SPRAWDZONE

– Jednoznaczne podejście do agresywnej Rosji i szacunek wobec młodej ukraińskiej demokracji to niewątpliwie czynniki, które spowodowały, że Zełenski natychmiast zobaczył w Dudzie partnera – mówili mi doradcy ukraińskiego przywódcy w sierpniu 2021 r. W Kijowie z dużym uznaniem przyjęto wówczas, że polski prezydent osobiście pojawił się na inauguracyjnym spotkaniu Platformy Krymskiej, formatu wymyślonego przez Wołodymyra Zełenskiego po to, by zwrócić uwagę świata na powszedniejący wówczas fakt aneksji przez Rosję Półwyspu Krymskiego i okupacji części Donbasu. Tylko Polska, Litwa, Łotwa, Estonia, Mołdawia, Słowenia, Słowacja, Węgry i Finlandia reprezentowane były przez prezydentów. Z Niemiec i USA przybyli ministrowie energii, a z Francji szef resortu handlu zagranicznego.

Na tle podzielonego i niekonsekwentnego Zachodu państwa bałtyckie pokazują w kwestii rosyjskiej agresji, ale nie tylko, imponującą jedność. Od dawna o swojej współpracy i przyjaźni głośno mówią prezydenci Polski i Litwy. Zresztą to nie tylko słowa. 1 maja wejdzie w życie na Litwie ustawa dotycząca pisowni nazwisk nielitewskich, także polskich (można będzie używać dwuznaków oraz łacińskich liter „w", „q" i „x", których nie ma w litewskim alfabecie). Kwestia ta w parlamencie była omawiana przez prawie 30 lat i wzbudzała wiele kontrowersji. W końcu ustawa przeszła, jej inicjatorem był Nausėda, który dokument podpisał mimo ostrej krytyki wewnętrznej.

W ostatniej wyprawie do Kijowa brali także udział prezydenci Estonii Alar Karis (wybrany przez jednoizbowy parlament 11 października 2021 r.) oraz Łotwy Egils Levits (wybrany przez sejm 8 lipca 2019 r.). Czołowa rola Andrzeja Dudy w tym gronie jest niejako naturalna, choć we wzajemnych relacjach poszczególne administracje bardzo dbają o równowagę.

– To jest bardzo uczciwy układ, nikt nikogo nie stara się wyprzedzać, by coś ugrać jego kosztem. Było jasne, że jedziemy wspólnie, choć pomysł rzeczywiście padł ze strony Polski – mówi mi jeden z uczestników misji.

Nie wziął w niej udziału prezydent Niemiec, obecności Franka-Waltera Steinmeiera ostro sprzeciwił się Zełenski. Według naszych informacji „strona niemiecka oczekiwała od Polski, że

eprasa.pl b54370957a

pozostali prezydenci zrezygnują z wyjazdu", ale ostatecznie tak się nie stało.

Wyprawa prezydencka, bo tak się o niej już mówi, ma oczywiście znaczenie symboliczne. Premierzy, ministrowie i brukselscy urzędnicy spacerujący dzisiaj po Kijowie to jednak niższy szczebel dyplomatyczny. Mówiąc o misji przywódców swoich krajów, którzy demonstracyjnie stają naprzeciw Rosji, przywołuje się oczywiście z pamięci rok 2008 i lot do Tbilisi, gdzie z inicjatywy Lecha Kaczyńskiego pojawili się także prezydenci Litwy, Estonii, Ukrainy oraz premier Łotwy. Ówczesny prezydent Gruzji Micheil Saakaszwili od tego momentu mówił o Kaczyńskim tylko jako o swoim przyjacielu. Pokonał naprawdę morderczą drogę przez pół świata (komplikacje w połączeniach lotniczych spowodował wybuch wulkanu na Islandii), by dotrzeć na jego pogrzeb w Krakowie w kwietniu 2010 r.

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ

W otoczeniu prezydenta Dudy panuje też opinia, że dobre relacje z Zełenskim to swego rodzaju odtrutka po trudnych latach współpracy z jego poprzednikiem Petrem Poroszenką. Z pozoru te relacje wyglądały poprawnie, były wzajemne wizyty, współpraca i zapewnienia w ważnych kwestiach. Ale były także i momenty, gdy Poroszenko publicznie coś Dudzie obiecywał, a potem nie dotrzymywał słowa. Tak było np. w kwestiach badań historyków IPN, którzy chcą prowadzić prace poszukiwawcze szczątków poległych na terenie dawnej II RP legionistów, np. w bitwie pod Kostiuchnówką, ale także ofiar ludobójstwa wołyńskiego. Zapewnienie prezydenta Poroszenki, że „prace zostaną odblokowane lada chwila", padło na spotkaniu w Charkowie w grudniu 2017 r. Do dzisiaj moratorium nie zdjęto. I nie jest to oczywiście dzisiaj temat do rozmowy, bo priorytetem jest wszelka i bezwarunkowa pomoc Ukrainie w walce z najeźdźcą. Po zwycięstwie Kijowa będzie można się zająć innymi sprawami.

Zełenski i Duda rozmawiają ze sobą przez telefon prawie codziennie. Tematem dominującym jest wojna, to oczywiste. W tym sensie polski przywódca rzeczywiście jest „najlepszym rzecznikiem Ukrainy", jak publicznie wielokrotnie podkreślał prezydent walczącego narodu. Poruszane w tych rozmowach kwestie często są przenoszone na inne fora, prośby i apele Kijowa są przekazywane dalej, żeby świat wiedział, żeby mu ta wojna nie spowszedniała, żeby Rosja miała świadomość, że ciągle ktoś na jej zbrodnie patrzy.

> Jednoznaczne podejście do agresywnej Rosji i szacunek wobec młodej ukraińskiej demokracji to niewątpliwie czynniki, które spowodowały, że Zełenski natychmiast zobaczył w Dudzie partnera – mówili mi doradcy ukraińskiego przywódcy

Osoby, które towarzyszyły Andrzejowi Dudzie w ostatniej misji w Kijowie, zwracają uwagę na jeszcze jeden szczegół: – Jest zdjęcie, na którym pięciu prezydentów splata ręce w geście muszkieterów, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Popatrzcie, cała ta symboliczna konstrukcja trzyma się na dłoni polskiego prezydenta. Może to przypadek, a może nie, ale naprawdę taka, absolutnie kluczowa jest jego rola. I Wołodymyr dobrze o tym wie.

eprasa.pl b54370957a

Nie jesteśmy już przystawką

Na naszych oczach wyłania się nowy świat, nie ma powrotu do tego, co było. Im szybciej każdy z nas się do tego przyzwyczai, tym mniej będzie to dla nas dolegliwe

Jacek Karnowski rozmawia z prof. Waldemarem Paruchem, politologiem, nauczycielem akademickim, twórcą i pierwszym szefem Centrum Analiz Strategicznych

Jeśli pan pozwoli, naszą rozmowę rozpocznę od gratulacji. Premier Mateusz Morawiecki wręczył panu bardzo wysokie odznaczenie – Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Decyzję w tej sprawie podjął oczywiście prezydent Andrzej Duda. W uzasadnieniu podkreślono „wybitne zasługi dla państwa". To z pewnością ważna chwila w pańskim życiu.

Waldemar Paruch: Odbieram to jako uznanie dla moich wieloletnich wysiłków związanych z próbą przełożenia politologii jako dziedziny naukowej na tę sferę, którą określa się mianem politologii stosowanej. Chodzi o możliwość wykorzystania zdobytej wiedzy do poprawy rzeczywistości, do wzmocnienia naszego państwa. To nie jest zadanie proste, bo wszyscy pamiętamy czasy komunistyczne, gdy wiedzę naukową wykorzystywano do niecnych celów, ale spróbowałem i mogę stwierdzić, że było warto.

Z których osiągnięć jest pan szczególnie dumny? Które ceni pan sobie najbardziej?

Od samego początku zaangażowany jestem w budowę „Europy Karpat", co nie byłoby możliwe bez wsparcia inicjatora tego projektu – marszałka Marka Kuchcińskiego. Jestem też twórcą i pierwszym szefem Centrum Analiz Strategicznych. To instytucja, która pozwala na optymalizację procesów decyzyjnych. Nie mam wątpliwości, że było to działanie, które pozwoliło obozowi patriotycznemu na odniesienie kolejnych zwycięstw wyborczych w latach 2018–2019.

Angażował się pan także w sprawy lokalne, lubelskie, ale o szerszym znaczeniu. Choćby w budowę Muzeum Kresów Wschodnich.

Dzięki poparciu Jarosława Kaczyńskiego przedłożyłem ten pomysł już w 2013 r. Po zmianie władzy pomysł zaczął się materializować, wskazano lokalizację, a więc pałac Lubomirskich w Lublinie. Prof. Piotr Gliński zdecydował o wykupie tego budynku i realizacji inwestycji. Cały proces potrwa jeszcze lata, to nie jest łatwa sprawa, ale placówka powstanie. Warto pamiętać, że w Polsce Wschodniej dramatycznie brakuje takich instytucji. Sądzę, że muzeum będzie miało znaczenie ogólnopolskie. Kresy bliższe, choćby Wołyń, ale i te dalsze, zadnieprzańskie, zostaną w końcu upamiętnione, i to na wielu poziomach. Za sprawą wojny Kresy wróciły do naszego życia. Słyszymy o miastach, takich jak Równe, Żytomierz, Chersoń, o miejscach, które znamy chociażby z powstań kozackich. To muzeum bardzo mnie cieszy.

No właśnie, wojna. Rosyjska napaść na Ukrainę to szczególny moment także w kontekście polskich sporów toczonych już od dekad. To chwila, która potwierdza wszystkie najważniejsze diagnozy obozu politycznego, który pan wsparł. Silna armia, silne państwo, silne społeczeństwo, realna ocena Rosji i Niemiec. Opozycja spektakularnie zbankrutowała w sferze programowej. Ma pan poczucie satysfakcji, pewnie gorzkiej, bo to wszystko toczy się w cieniu okrutnej wojny?

Lech i Jarosław Kaczyńscy już od chwili powołania Porozumienia Centrum kierowali się zasadą realizmu poznawczego. To jest taki rodzaj analizowania rzeczywistości, który posługuje się jej właściwymi parametrami empirycznymi. Odrzuca się wymyślone konstrukty społeczne.

fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b5437

Korzysta się także z realistycznej doktryny stosunków międzynarodowych, a nie z doktryny liberalnej. Podzielam te założenia: należy się wpatrywać w tę rzeczywistość, która jest, i stosować wiedzę natury historycznej i empirycznej. W kręgu eksperckim PiS już bardzo wcześnie zdiagnozowaliśmy interesy rosyjskie i nie mieliśmy żadnych złudzeń, w którą stronę będzie zmierzała polityka Kremla. Rozeznaliśmy także interesy niemieckie i interesy Unii Europejskiej.

W dużej mierze tożsame?

Oczywiście, bo Unia jest w dużej mierze jedynie narzędziem, za pomocą którego mocarstwa europejskie usiłowały w sposób nieudolny realizować swoje interesy ekonomiczne i polityczne. Dziś widzimy bezprzykładną klęskę polityki RFN. Ale widzimy również klęskę liberalnej doktryny stosunków międzynarodowych w Stanach Zjednoczonych; gdyby Waszyngton przez tak długi czas nie zakładał uparcie, że z Rosją można się ułożyć, do wojny zapewne by nie doszło. Tę politykę wymyślił jeszcze Zbigniew Brzeziński, a porzucił ją na dobre, po raz pierwszy, dopiero Donald Trump, stawiający na pragmatyczną współpracę z poszczególnymi państwami. Dzięki temu Polska tak dużo na jego prezydenturze skorzystała.

Prezydent Joe Biden też chyba już na dobre pożegnał się ze złudzeniami co do Rosji?

Trudno wyobrazić sobie powrót do złudzeń. Ale nie tylko w sferze geopolityki. Na naszych oczach wyłania się nowy świat, nie ma powrotu do tego, co było. Nie będzie już świata, w którym nasze możliwości podróżowania, pozyskiwania dóbr coraz lepszych, coraz droższych, jedynie rosły. To już niemożliwe, taka Europa już się skończyła. Im szybciej każdy z nas się do tego przyzwyczai, tym mniej będzie to dla nas dolegliwe. W tym sensie pandemia COVID-19 – rozumiana jako punkt oddzielenia starego i nowego – trwa i będzie trwała. Prysnęło złudzenie. Złudzenie, bo świat tak naprawdę nigdy nie był taki wesoły i beztroski. To elity europejskie skutecznie oszukiwały i same siebie, i społeczeństwa.

Jak wygląda sytuacja Polski po wybuchu wojny? Wydaje się, że nasza pozycja szybko rośnie, staliśmy się państwem niezbędnym dla USA i dla całego NATO. Nie można jednak wykluczyć, że pojawią się i procesy dla nas kosztowne. Nic przecież nie zostało jeszcze rozstrzygnięte.

Jeśli sięgniemy po analogię historyczną, to obecne tygodnie, miesiące, przypominają lata 1932–1934. To wówczas Józefowi Piłsudskiemu tak udało się wylewarować pozycję międzynarodową Polski, że wojna, która wybuchła w 1939 r., była wojną o Polskę. Nie sprzedano Polski w wyniku jakiegoś zakulisowego układu.

> Obecne tygodnie, miesiące, przypominają lata 1932–1934. To wówczas Piłsudskiemu tak udało się wylewarować pozycję międzynarodową Polski, że wojna, która wybuchła w 1939 r., była wojną o Polskę. Nie sprzedano Polski w wyniku jakiegoś zakulisowego układu

W tym sensie minister Józef Beck osiągnął swój cel: wybuchła wojna, ale europejska, a nie lokalna?

To Piłsudski osiągnął pośmiertnie swój cel, to on przecież powiedział swego czasu Beckowi: „Synu, jeśli ta wojna ma wybuchnąć, to ona musi wybuchnąć o Polskę. Ona nie może wybuchnąć o cokolwiek innego". I tak się stało. A przecież groziło nam, że nas przehandlują, chętnych nie brakowało.

Atakowanie, a nawet wyszydzanie polityki Becka, stało się jednak swoistą modą. Ponoć istniały cudowne rozwiązania, które ocaliłyby naszą państwowość w starciu z dwoma totalitaryzmami.

Ci oskarżyciele nie przeczytali podstawowych źródeł! Wypisują bzdury. Ze szkoły Piłsudskiego nie mogła wyjść myśl, która na poważnie traktowałaby porozumienie czy to z Moskwą, czy to z Berlinem. Żaden polityk ze szkoły sanacyjnej nie mógłby tego zrobić, bo następnego dnia społeczeństwo przegoniłoby go z zajmowanego stanowiska. Po 1926 r. ten obóz wiele zainwestował w patriotyczne wychowanie narodu i jego elity; chodziło o to, by państwo nie skapitulowało w obliczu agresji czy to sowieckiej, czy niemieckiej. To było naszą racją stanu.

Wracając do współczesności: na czym polega analogia między latami 1932–1934 a czasem obecnym?

Jeszcze kilka miesięcy temu Polskę lekceważono; administracja Bidena stawiała na Berlin, Paryż, Londyn, w tym układzie chciała rozmawiać o Europie i Rosji. Po rosyjskim ataku prezydent Andrzej Duda zasiadł przy głównym stole negocjacyjnym, a polscy politycy – prezydent, premier, szef MSZ – rozjechali się po Europie z czytelnie podzielonymi zadaniami i rolami. Opłaciły się wcześniejsze inwestycje, w tym wizyta prezydenta w Turcji, którą opozycja tak ostro i tak niemądrze atakowała. Będę też bronił idei podjęcia rozmów z takimi politykami jak Marine Le Pen. To poszerza nasze możliwości. Polscy politycy są dla prawicy europejskiej, przy wszystkich jej wadach, partnerem, a nie petentem. To samo dotyczy hiszpańskiej partii VOX czy włoskiej Ligi. Petentem jesteśmy dla Macrona, o czym przekonaliśmy się, gdy bezczelnie i kłamliwie nazwał polskiego premiera antysemitą.

Po wybuchu wojny Polski nie da się już po cichu przehandlować?

Tak, to jest istota. Nie jesteśmy już przystawką. Stajemy się deserem, czyli

eprasa.pl b54370957a

elementem ostatnim, takim, który można oddać dopiero w wyniku przegranej wojny. Ale to nie stało się samo. Gdybyśmy mieli nadal u władzy ekipę Tuska i Sikorskiego, nie bylibyśmy już nawet przystawką, być może nie byłoby nas w ogóle w menu. Ich poziom uległości wobec Berlina i również wobec Moskwy jest więcej niż zastanawiający, zwłaszcza w świetle tej wiedzy o Smoleńsku, którą mamy.

Co jest celem Rosji? Czy zgadza się pan z opinią, że Putin popełnił fundamentalny błąd dotyczący siły i waleczności państwa ukraińskiego? I że jego celem jest zniszczenie Ukrainy, bo buduje ona, na „ruskim pniu", swego rodzaju anty-Rosję – prozachodnią, demokratyczną, potencjalnie atrakcyjną kontrpropozycję?

Z drugą kwestią zdecydowanie się zgadzam, z pierwszą nie. Dlaczego? Bo bliskie jest mi myślenie scenariuszowe. Gdy okazało się, że zlikwidowanie państwa ukraińskiego w trzy dni jest nierealne, że nie da się zająć Kijowa, sięgnięto po opcję numer dwa, sprowadzającą się do totalnego zniszczenia Ukrainy. To jest inny kraj niż Polska. Tam nie ma lasów, nie ma gęstej sieci osadniczej, są za to wielkie, socrealistyczne miasta. I jeśli zniszczy się te miasta, to kraj przestanie istnieć. Po to, by nie było konkurencji w naszej sferze kulturowej. To robi Putin i będzie to robił kolejny, zapewne jeszcze gorszy satrapa.

Obalenie Putina niczego nie zmieni?

Oczywiście. Elita polityczna Rosji tak wygląda, tak została ukształtowana. Dziś Rosja zmodyfikowała swoje cele, chce zniszczyć Ukrainę, a na pewno odciąć ją od Morza Czarnego, zagarniając wielki pas od Ługańska po Naddniestrze. Pamiętajmy jednak o naturze polityki: to, co jest realne dzisiaj, może być nierealne jutro. I odwrotnie. Elita polityczna w Kijowie też musi o tym pamiętać. Ratując wszystko, można wszystko stracić. Ukraina musi uważać, by nie stać się drugim Kosowem czy drugą Bośnią i Hercegowiną, a więc bytem ograniczonym do zachodniej części, ciągle niestabilnym, bez szans na powodzenie gospodarcze. To są bardzo duże, trudne dylematy, przed którymi stoi prezydent Zełenski.

Ale można powiedzieć, że Zełenski zagrał jak Piłsudski. Ma wojnę na Ukrainie, ale taką, w której Amerykanie widzą i swoją szansę. Wygląda na to, że Anglosasi „poczuli krew", dostrzegli szansę na zadanie Moskwie decydującego ciosu, na wzmocnienie swojego prestiżu również wobec Chin.

To prawda. Ale to Amerykanie w 2008 r. wysłali Kremlowi sygnał, że zgadzają się na rewizję porządku w Europie. To jest ich wina także. Na marginesie: ma pan rację, mówiąc, że wojna toczy się „na Ukrainie", a nie „w Ukrainie". Używanie tej drugiej formy jest deprecjonowaniem tego państwa. To gwałt językowy. Określenie „na" oznacza w polskiej tradycji sympatię. Jeździmy „na Mazowsze", „na Litwę", „na Węgry" i „na Ukrainę". Promowanie wersji „w Ukrainie" to niedobra, nieuczciwa zabawa językiem polskim.

> Ta wojna toczy się „na Ukrainie" a nie „w Ukrainie". Używanie tej drugiej formy jest deprecjonowaniem tego państwa. To gwałt językowy. Określenie „na" oznacza w polskiej tradycji sympatię

Tak, to groteskowa moda, wynikająca w istocie z niedouczenia. Ale idźmy dalej: czy ta wojna otwiera Polsce nowe możliwości w obszarze dawnej I Rzeczypospolitej? Z jednej strony ogromna rola Polski, wzajemna sympatia narodów, z drugiej zauważalne przekonanie władz w Kijowie, że to one samodzielnie grają w geopolitycznej ekstraklasie.

Polityka ukraińska od lat opierała się na założeniu, że „bierzemy, ale nie kwitujemy". W sferze polityki historycznej nasze relacje nie były przecież łatwe i zapewne takie nie będą. Co do pojednania między narodami to wciąż nie wiemy, czy spełnią się nasze nadzieje. Dziś do Polski napływają przede wszystkim zamożni Ukraińcy, a nie warstwy ludowe, prowincjonalne. Ukraińska klasa średnia jest często zamożniejsza niż jej polski odpowiednik. To ma swoje konsekwencje. Myślę, że nie możemy myśleć przesadnie romantycznie. Jest zresztą więcej obszarów naiwności.

Jakie?

Jeden z nich przeciął prezes Jarosław Kaczyński, stwierdzając, że Putin nie jest żadnym szaleńcem. On realizuje to, co założył. Drugie złudzenie dotyczy możliwości obalenia władzy w Rosji przez lud. Coś takiego zdarzyło się tylko raz, w lutym 1917 r. Co prawda carat upadł, ale „demokracja" trwała kilka miesięcy, a później przyszedł Lenin i władza bolszewików. Władza Putina może upaść jedynie na poziomie gry służb, na poziomie rozgrywki wewnątrz elity.

Zwykli Rosjanie – i ci w mundurach, i ci w cywilu – zachowują się jednak nie jak bierni poddani, ale jak ludzie zaczadzeni ideologią, w pełni popierający zbrodniczą politykę. Czy to pana zaskakuje?

Odpowiem metaforą. W 1935 r., gdy Adolf Hilter rządził już dwa lata, na Terytorium Saary przeprowadzono referendum. Po wygaśnięciu mandatu brytyjsko-francuskiego mieszkańcy mieli odpowiedzieć, czy chcą: a) przyłączenia do totalitarnej III Rzeszy, z jej obozami koncentracyjnymi, polityką prześladowania Żydów i brakiem pluralizmu; b) ustanowienia protektoratu Ligi Narodów; c) powołania niepodległego państwa. Ponad 90 proc. wybrało rozwiązanie pierwsze, a więc przynależność do zbrodniczego już

eprasa.pl b54370957a

wówczas państwa narodowo-socjalistycznego. W Rosji współczesnej jest tak samo. Elita społeczna i polityczna Putina popiera, mimo że – w dobie internetu – wie o wszystkim, także o zbrodniach. Skoro wiedzieli, że zamykają sieci McDonald's oraz Ikea, to wiedzą również o Buczy i Mariupolu.

Bez dość ścisłej współpracy nasz region zawsze będzie terenem rozgrywki mocarstw, potężnej, śmiertelnie groźnej presji ze Wschodu i Zachodu. Pan jest tu jednak raczej pesymistą?

Potrzebna jest ścisła współpraca pomiędzy Turcją, Rumunią, Ukrainą, także Gruzją i Polską. Nie widać jednak, by wyłaniał się w tym obszarze jakiś silny obiecujący mechanizm. Może trzeba jeszcze poczekać.

Kolejne zbrodnie Putina uświadomiły wielu Polakom, że i Smoleńsk mógł być zamachem. Według badania pracowni Social Changes taką możliwość dopuszcza dziś aż 48 proc. Polaków, przy 33 proc. wykluczających zamach. Czy wojna na Ukrainie oznacza trwałe przełamanie w tej sprawie?

To badanie rzeczywiście stanowi ważny prognostyk, bo jeszcze parę miesięcy temu wskaźnik akceptacji dla tezy o zamachu stanowił ok. dwudziestu kilku procent. To jest skok rewolucyjny, trudny do wyobrażenia w roku 2011 czy 2012. To jest wynik tytanicznej pracy ekspertów, ale i polityków, Jarosława Kaczyńskiego, Antoniego Macierewicza, bardzo wielu ludzi dobrej woli. Ale to także wynik tego, co zrobiła Rosja. Atak na Ukrainę nie tylko uprawdopodabnia zamach, ale przede wszystkim kompromituje drugą stronę. Polityka Tuska i Sikorskiego w sprawie Smoleńska zbankrutowała, to jest blamaż, to jest klęska. Nie wiem, gdzie powinni się schować, gdyby mieli honor. Chyba że działali z premedytacją.

To jest klęska w sprawie dla Polski historycznie najważniejszej, odnoszącej się do najważniejszego polskiego pytania – o bezpieczeństwo, o zagrożenie rosyjskie i niemieckie. To jest istota tej kompromitacji. Ale na razie, zamiast odejść, atakują rząd PiS przywoływaniem Le Pen i Orbána. Czy w tej sferze obóz rządzący powinien zrewidować swoją politykę?

Jest międzynarodówka liberalna, jest socjalistyczna i również prawica powinna budować swoją narodowo-konserwatywną. Musimy więc rozmawiać, poznawać intencje różnych sił politycznych, ich wizję świata. Teraz sporo dowiedzieliśmy się o rządzie węgierskim, gdy premier Orbán stanowczo stwierdził, że będzie blokował sankcje na energię z Rosji, bo nie pozostawi obywateli bez prądu i bez ogrzewania. Tak Budapeszt definiuje swój interes narodowy. Po drugiej stronie jest Bruksela, która jedyne, co proponuje Węgrom, to blokadę Krajowego Planu Odbudowy, uruchamia mechanizm praworządności, organizuje absurdalne debaty. To szaleństwo pokazujące, że Unia wciąż nie rozumie, że Putinowi trzeba się przeciwstawić na wszystkich polach, przede wszystkim formułując ofertę dla wahających się.

> Ukraina musi uważać, by nie stać się drugim Kosowem czy drugą Bośnią i Hercegowiną, a więc bytem ograniczonym do zachodniej części, ciągle niestabilnym, bez szans na powodzenie gospodarcze. To są bardzo duże, trudne dylematy, przed którymi stoi prezydent Zełenski

Usprawiedliwia więc pan działania premiera Orbána po wybuchu wojny?

Mówię jedynie, że polityków obowiązuje racja stanu, w krajach w których rządzą. Np. kanclerz Niemiec Olaf Scholz za niemiecką rację stanu uważa kolaborację z Rosją i jedynie udaje, że jest wrogiem Putina. To jest powrót do Rapallo. Nieprzypadkowo Donald Tusk otrzymał medal im. Rathenaua, polityka symbolizującego Republikę Weimarską zwracającą się ku bardzo bliskiej współpracy z Moskwą. Oczywiście są to racje stanu sprzeczne z polską racją stanu.

Nasz wpływ na postawę innych państw w sferze definiowania podstawowych interesów jest jednak bardzo ograniczony. Rzadko to się udaje. Udało się w odniesieniu do Litwy, dziś Wilno jest strategicznym partnerem, ale to wymagało czasu, lat ciężkiej pracy, wielu wizyt na poziomie parlamentarnym, począwszy od wizyty marszałka Kuchcińskiego w 2016 r., na poziomie rządowym oraz – rzecz jasna – dobrej oferty.

Jak więc należy działać, skoro nasza racja stanu i węgierska tak mocno się różnią?

Mamy wspólne interesy w odniesieniu do Europy. Gdyby Orbán przegrał, Bruksela natychmiast sięgnęłaby po art. 7, którego dziś nie może użyć. Dzięki wygranej Fideszu sporo zyskaliśmy. Musimy rozumieć interesy węgierskie, co nie znaczy, że musimy je akceptować. Mam wrażenie, że postawa premiera Orbána też ewoluuje. Co do polityki unijnej, to nie miejmy złudzeń, ona się nie zmieni.

Wszyscy mają swoje uzasadnione interesy, a finał jest taki, że jeśli odrzucimy emocjonalną, naskórkową reakcję na rosyjską agresję, to widać naszą samotność.

Mamy Amerykanów. Mamy ich zgodę na przezbrojenie polskiej armii. Mamy zapowiedź wzmocnienia wschodniej flanki NATO. Mamy rezygnację Waszyngtonu z polityki „po pierwsze, Niemcy". Mamy porzucenie polityki

eprasa.pl b54370957a

Premier Mateusz Morawiecki wręcza prof. Waldemarowi Paruchowi Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski

Fot. KPRM

ideologicznego zacietrzewienia wobec Polski. I nie mamy złudzeń, że Unia jest jakimkolwiek czynnikiem twardego bezpieczeństwa. Wiele dobrego się zdarzyło.

Ukraińska wojna obronna toczy się za naszą granicą, ale psychicznie, mentalnie Polska w niej uczestniczy; Polacy mają poczucie, że to nasza wojna. Na ile tak silny bodziec, naruszenie poczucia bezpieczeństwa, większa obecność munduru w naszym życiu, zmienią preferencje polityczne Polaków? Są to czynniki, które tradycyjnie premiują partie prawicowe.

To są ważne czynniki, ale o wyniku wyborów w 2023 r. zdecydują kwestie gospodarcze, społeczne, w tym zwłaszcza ostateczny kształt Polskiego Ładu. 25 proc. Polaków, którzy nie wiedzą, na kogo zagłosować, podejmie decyzję nie na podstawie oceny naszej pomocy Ukrainie, ale kierując się skutkami reformy podatkowej, stanem swojego portfela. Będą też patrzyli na inflację, ale bez odniesień międzynarodowych, widząc w niej zjawisko lokalne. Jeśli wyborcy niezdecydowani odczują poprawę swojej sytuacji, PiS ma szansę.

> Formułujmy romantyczne cele, ale sięgajmy po pozytywistyczne środki. To jest klucz do naszej przyszłości

Kompromitacja opozycji w sprawach międzynarodowych nie będzie miała wpływu na wynik wyborów?

Nie. Ważniejsza jest kompromitacja wewnętrzna, a więc brak realnej oferty programowej, podatkowej, antydrożyźnianej. Niczego nie kładą na stole, bo nie potrafią niczego sensownego sformułować. Pamiętajmy jednak: na kwestiach gospodarczych wyborów się nie wygrywa, ale za sprawą porażek gospodarczych można je przegrać. W tej sferze nie można więc sobie pozwolić na takie błędy, jak ulga dla klasy średniej, z której na szczęście zrezygnowano. Przyszła kampania będzie oparta na emocjach rozgrzanych do czerwoności. Tusk inaczej nie umie działać.

Epoka, która nadeszła, pełna jest niebezpieczeństw, wyzwań, ryzyk. Świat wokół nas drży. Co powinni zmienić w sobie patriotycznie nastawieni Polacy, by nasza ojczyzna mogła wyjść zwycięsko z tego okresu potężnych przeciążeń?

Powiem krótko: formułujmy romantyczne cele, ale sięgajmy po pozytywistyczne środki. To jest klucz do naszej przyszłości. Gdy sięgniemy po romantyczne środki, to przegramy na pewno, a jeśli będziemy redukowali politykę do celów detalicznych, do drobiazgów, to też poniesiemy porażkę. I na polu międzynarodowym, i krajowym.

eprasa.pl b54370957a

Testowanie zwycięstwa

Na naszych oczach zmienia się właśnie amerykański plan dla Ukrainy. Po raz pierwszy w swej historii Ukraina to dla Stanów Zjednoczonych obszar geopolityczny, na którym możliwe stało się militarne pokonanie Rosji przez Zachód oraz odepchnięcie jej daleko i na długo na wschód od granic NATO. To dlatego jadą teraz przez Polskę czołgi, transportery, ciężka artyleria, a za chwilę polecą być może także bojowe samoloty

JAN ROKITA

Jeszcze na początku kwietnia „The New York Times" informował o koordynowanej przez Waszyngton akcji organizowania dostaw czołgów dla walczącej Ukrainy. Gazeta cytowała wtedy anonimowego przedstawiciela Pentagonu, który odmawiał jednak kategorycznie dalszych informacji na temat terminów, liczby czy państw dostawców. Za to w czasie Wielkanocy każdy w Polsce mógł sobie już na Facebooku obejrzeć filmiki pokazujące niekończące się kolumny czołgów, ciągnące na otwartych wagonach kolejowych przez całą Polskę na wschód. Tamten, zapewne kontrolowany, przeciek prasowy z Pentagonu do zaprzyjaźnionej z obecnym rządem Stanów Zjednoczonych gazety był reakcją na wyjątkowo ostre oskarżenia miotane w tamtych dniach pod adresem Zachodu przez prezydenta Zełenskiego. Ukraiński przywódca ironicznie życzył liderom Zachodu choćby niewielkiej cząstki tej odwagi, jaką wykazują się obrońcy Mariupola, którym odmawia się ratunku, gdyż NATO „woli trzymać broń w swoich zbrojowniach".

Krótko potem, już całkiem oficjalnie, rzecznik Pentagonu John Kirby usprawiedliwiał swój rząd, przekonując, iż: „zakres i tempo naszego wsparcia w zaspokajaniu potrzeb obronnych Ukrainy są bezprecedensowe we współczesnych czasach". Padła wówczas kwota 2,6 mld dol., którą Ameryka miała do tej pory wydać na broń dla Ukrainy. Kwota – jak podkreślał dla zrobienia wrażenia Kirby – odpowiadająca więcej niźli połowie rocznego ukraińskiego budżetu militarnego.

NATOWSKIE „ALIBI" DLA MOSKWY

Czołgi, transportery opancerzone, helikoptery bojowe, wyrafinowane technicznie drony, ciężka artyleria, antyokrętowe pociski rakietowe etc., etc. W domenie publicznej nie ma na razie przecieków na temat bojowych samolotów, ale całkiem być może, że i one są już dostarczane na Ukrainę. A jeśli nie, to dynamika rozwoju

Fot. Sergei SUPINSKY / AFP / EastNews

eprasa.pl b54370957a

zdarzeń jest ostatnio taka, iż jest to chyba kwestia czasu.

Powtarzane wielokrotnie przez polityków zapewnienia, kierowane zresztą w charakterze swoistego „alibi" w stronę Moskwy, iż na Ukrainę będzie iść wyłącznie broń lekka i defensywna, utraciły już swoje znaczenie. I choć w Europie, jak to w Europie, trwają i zapewne nigdy nie skończą się przepychanki o to, co jeszcze można wysłać na Ukrainę, aby zanadto nie rozjuszyć władcy na Kremlu, a czego jednak wysyłać nie wolno, to realia kształtowane są przez ewoluujący wyraźnie kurs rządu Bidena.

Warto pamiętać, że w kręgu politycznej amerykańskiej elity wojskowo-politycznej związanej z obozem demokratów, presja na zwiększenie zaangażowania militarnego USA na Ukrainie wywierana była niemal od chwili wybuchu wojny. Dość przypomnieć tzw. list 27 postulujący nie tylko szersze dostawy broni, ale także bezpośrednie zaangażowanie lotnictwa amerykańskiego w ramach żądanej przez Zełenskiego no-fly zone. Na razie Biden ciągle nie decyduje się pójść tak daleko, ale co charakterystyczne, od dobrych paru tygodni nie słychać już powtarzanych wcześniej każdego dnia, aż do znudzenia, deklaracji rządu Stanów Zjednoczonych i przywództwa NATO, że „jesteśmy sojuszem obronnym, nie jesteśmy stroną konfliktu, to nie nasza wojna". Bodaj ostatni raz z takim naciskiem tego rodzaju deklaracja padła z ust Bidena w marcowej mowie na Zamku Królewskim w Warszawie. Niby nic się od czasu tamtej deklaracji nie zmieniło, ale de facto zmienia się jednak całkiem sporo.

ROSYJSKI OPTYMIZM I ZACHODNIE DOSTAWY

Biden mówi za to teraz otwarcie, iż „nasze obecne wsparcie sprawi, że plan Putina przejęcia kontroli nad Ukrainą musi skończyć się klęską". Takie właśnie słowa padły przy okazji podpisania tuż przed świętami kolejnej amerykańskiej transzy budżetowej na zakup broni dla Kijowa. Z kolei premier Johnson, który ściśle koordynuje swoje poczynania z Ameryką, zapowiada, że „Wielka Brytania nie cofnie się przed niczym, by zapewnić Ukraińcom zasoby, których potrzebują, żeby obronić się przed najazdem Rosji". Nawet szef Rady Europejskiej Charles Michel, który przyjechał w ubiegłą środę do Kijowa, na konferencji prasowej czterokrotnie powtórzył, iż celem Unii jest doprowadzenie do militarnego zwycięstwa Ukrainy. A stojący obok niego prezydent Zełenski odpowiadając na dociekliwe pytania dziennikarzy, potwierdzał, że gdy idzie o broń – to relacje Kijowa z Zachodem są „coraz cieplejsze i cieplejsze".

To całkiem nowa retoryka pojawiająca się po upływie blisko dwóch miesięcy od wybuchu wojny. Wcześniej mowa była tylko o tym, iż sankcje i pomoc wojskowa, wraz z wysiłkami europejskiej dyplomacji mają pewnego dnia przekonać prezydenta Putina, iż zbyt wiele ryzykuje, decydując się na dalsze prowadzenie wojny. Każdy, nawet niezbyt rozgarnięty obserwator, musiał zdawać sobie sprawę, że jest to w istocie pusta retoryka, pełniąca funkcję samousprawiedliwienia w obliczu faktycznej obojętności dla losu Ukrainy i zdrady gwarancji bezpieczeństwa, udzielonych jej jeszcze w 1994 r. I choć nowe sankcje są ciągle nakładane, zwłaszcza przez Amerykę, po to, aby na dłuższą metę osłabić Rosję i jej gospodarkę, nikt już na serio nie twierdzi, że to one mają doprowadzić Putina i całą kremlowską partię wojny do opamiętania i porzucenia planów rozbioru oraz zwasalizowania Ukrainy.

> Powtarzane wielokrotnie przez zachodnich polityków zapewnienia, kierowane zresztą w charakterze swoistego „alibi" w stronę Moskwy, iż na Ukrainę będzie iść wyłącznie broń lekka i defensywna, utraciły już swoje znaczenie

Rosyjski minister obrony narzeka ostatnio publicznie, iż transferowanie coraz większej ilości broni na Ukrainę służy tylko „wydłużeniu się w czasie rosyjskiej operacji specjalnej". Generał Szojgu manifestuje w ten sposób spory rosyjski optymizm. W jego narzekaniu zawarta jest bowiem niemal otwarta sugestia, iż Moskwa nie odstąpi od planów rozbioru i wasalizacji Ukrainy, ale najwyżej, z winy Bidena i zachodnich sojuszników, zabierze jej to więcej czasu, zginą dalsze tysiące ludzi i następne ukraińskie miasta zostaną zrównane z ziemią. Nie sposób wykluczyć, że Szojgu może mieć rację. W końcu dokładnie to samo sam Putin mówił kilku kolejnym błagającym go telefonicznie o pokój liderom europejskim (np. Macronowi), a ostatnio nawet osobiście powtórzył kanclerzowi Austrii Nehammerowi, który, nie wiedzieć czemu, wybrał się aż osobiście na Kreml, po to tylko, aby to usłyszeć „nausznie", bez pośrednictwa satelitarnej telefonii. A jak złowróżbnie wieszczy Zełenski, jeśli Rosja rozbije armię ukraińską na wschodzie kraju i zdobędzie Donbas, to tylko kwestią czasu będzie powtórne zagrożenie Kijowa. W europejskich mediach czytać można ostatnio rozmowy z mieszkańcami przedmieść Kijowa, którzy przeżyli miesięczną rosyjską okupację i drżą na myśl o tym, że któregoś dnia może ona powrócić.

REWIZJA CHYBIONYCH PROGNOZ

Ale może być też tak, że optymizm generała Szojgu okaże się jednak nadmierny. A to dlatego, że po raz pierwszy, odkąd w lutym nastąpiła inwazja, wyraźnie widać, iż w Waszyngtonie zaczyna być na serio traktowany scenariusz militarnego zwycięstwa nad Rosją osiągniętego rękami Ukraińców. Byłby to prawdziwy przełom nie tylko w strategicznym myśleniu Amerykanów o Ukrainie, ale o całej środkowowschodniej Europie. Warto przecież z poczuciem realizmu pamiętać, że nigdy dotąd w historii USA nie było takiego momentu, w którym terytorium Ukrainy traktowane by było w Waszyngtonie jako obszar istotnych interesów amerykańskich. To z tego powodu Ukrainie nie dano szansy członkostwa w NATO (choć przez jedną chwilę, w roku 2008, Bush jr był chyba gotów na taki krok), zaś budapeszteńskie gwarancje

eprasa.pl b54370957a

Fot. U.S. Air Force photo by Tech. Sgt. J.D. Strong II / EastNews

niepodległości dane Ukrainie ot tak, dla szyku w 1994 r., nigdy w samej Ameryce nie były traktowane poważnie.

Z perspektywy interesów USA terytorium Ukrainy to po prostu jedynie część wielkiego kłopotu z Rosją. Tym większego, im bardziej nieobliczalny może się wydawać władca na Kremlu i im bardziej realistycznie wyglądać może perspektywa najczarniejszego snu amerykańskich strategów – hipotetycznej jednoczesnej wojny, jaką Ameryka musiałaby prowadzić na dwóch frontach: europejskim z Rosją i pacyficznym z Chinami.

Dwa miesiące temu ekipa Bidena była pewna, że upadek Kijowa to kwestia 72 godzin ataku na miasto oraz śmierci 4 tys. żołnierzy rosyjskich i 14 tys. ukraińskich. Tak właśnie całą rzecz przedstawiał w lutym członkom Kongresu USA, za zamkniętymi drzwiami, najważniejszy amerykański generał Mark Milley. Nic dziwnego, że przy takich założeniach jedyna rzecz, jaką Ameryka planowała, to przesunięcie wszystkich własnych „czerwonych linii" na granicę Polski i lepsze przygotowanie się do ewentualnej wojny na terytorium naszego kraju.

Ale dzisiaj nie tylko prezydent Biden, ale każde dziecko na świecie wie, jak kompletnie bezwartościowe były najtajniejsze prognozy opracowywane przez najwybitniejszych analityków wywiadu i Pentagonu. Wojna potoczyła się kompletnie inaczej, a Rosja, choć zmobilizowała wszystkie swoje siły, nie była w stanie nawet rozpocząć przez miesiąc oblężenia Kijowa, po czym z dużymi stratami i podwiniętym ogonem przemieściła wszystkie siły, aby zdobyć choć Donbas. W Waszyngtonie musiano się więc w końcu połapać, że Rosję można nie tylko teraz osłabić na przyszłość sankcjami, ale że można zrobić coś stokroć bardziej strategicznie doniosłego. Umożliwić Ukraińcom wygranie bitwy o Donbas, czyli militarne pokonać Rosję rękoma Ukraińców gotowych na wszystko, byle obronić własną wolność.

BIDEN PÓJDZIE NA CAŁOŚĆ?

To właśnie dlatego na naszych oczach zmienia się amerykański plan dla Ukrainy. To dlatego jadą teraz przez Polskę czołgi, transportery, ciężka artyleria i Bóg wie co jeszcze, a za chwilę polecą być może także bojowe samoloty. Owszem, mają tutaj swój udział obrazy masowych mordów rosyjskich, które na ekranach ogląda każdego dnia zachodnia opinia publiczna. Ma też swój udział prezydent Zełenski, niezostawiający suchej nitki na całym zachodnim świecie, któremu – jak mówi – już nie ufa. Ale kwestią kluczową jest dziejąca się na naszych oczach zasadnicza zmiana widzenia Ukrainy przez amerykańskich strategów. Po raz pierwszy w swej historii Ukraina to dla Stanów Zjednoczonych obszar geopolityczny, na którym możliwe stało się militarne pokonanie Rosji przez Zachód oraz odepchnięcie jej daleko i na długo na wschód od granic NATO.

Zapewne nie tylko my nie możemy mieć pewności, czy Ameryka istotnie zdecyduje zaangażować się w tej wojnie na tyle, aby Ukraińcom umożliwić wyparcie wroga z całego terytorium kraju. Mam wrażenie, że nie ma tej pewności jeszcze ani sam Biden, ani jego główni ministrowie – Blinken, Sullivan i Austin, ani gen. Milley. W każdym razie widać jak na dłoni, że Ameryka z pewną obawą testuje teraz możliwość nieplanowanego do niedawna militarnego zwycięstwa nad Rosją. Jeśli ten test wypadnie pozytywnie, to nasz region Europy w nieodległym czasie przejdzie jeszcze przez dużą zawieruchę, ale potem nastanie nowa, lepsza epoka w jego dziejach.

Autopromocja

eprasa.pl b54370957a

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

Nieznane fakty
Relacje polsko-ukraińskie – z Kozakami przeciw Moskwie

Przedmurze
Polscy rycerze w obronie wrót Europy w XVI i XVII wieku

Ropa z morza
Witold Zglenicki – polski nafciarz na dzikim Wschodzie

Zamów e-prenumeratę na cały rok 2022:
SIECI i wSIECI HISTORII oraz **3 e-booki** (o wartości 94,70 zł) **w prezencie** to koszt tylko 119,90 zł

Wejdź na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl b54370957a

Unia lubelska 2.0

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Już pierwszego dnia wojny było jasne, że między naszymi narodami nie ma granic – mówił w przemówieniu do polskiego parlamentu prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. To retoryczna figura czy może część wielkiej politycznej wizji?

Gdyby zsumować powierzchnię Polski i Ukrainy, powstałby kraj rozległy jak dawna Rzeczpospolita szlachecka – 916 tys. km kw. utworzyłoby największe państwo w Unii Europejskiej, daleko za sobą pozostawiając nawet Francję (675 tys. km kw.). Razem jest nas ponad 80 mln, co zrównałoby nas z Niemcami, a rozpięcie od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego dałoby takiej gospodarce nieopisane możliwości. Jednak potencjał polsko-ukraiński zawierałby się w czymś więcej niż tylko w liczbach, bo nasze oba narody pokazują dobitnie, że są w stanie postawić się najsilniejszym mocarstwom. Zresztą obecne zbliżenie na linii Warszawa–Kijów już postawiło na nogi wrogie nam europejskie stolice i możemy się spodziewać nowych presji, prowokacji i medialnych kampanii, które będą uderzać w nasze zbliżenie najbardziej wyrafinowanymi metodami. Tak zresztą było przed setkami lat, kiedy Polska, Litwa i Ruś tworzyły wielką Rzeczpospolitą szlachecką.

ALBO Z MOSKWĄ, ALBO Z WARSZAWĄ

Po rozejmie w Dywilinie na przełomie lat 1618/1619, gdy nasi przodkowie pobili Rosję i na jakiś czas zdobyli samą Moskwę (dziś Putin nakazuje czcić wypędzenie Polaków z Kremla 6 listopada), Rzeczpospolita liczyła ok. 1 mln km kw. – więcej niż wymarzony sojusz polsko-ukraiński. W tamtym roku, szczytowym okresie wielkości państwa szlacheckiego, Gdańsk osiągnął rekord eksportu zboża – ponad ćwierć miliona ton. To plony z całego kraju, zwłaszcza z dzisiejszych ziem Ukrainy, które spływały Wisłą do bałtyckiego portu.

eprasa.pl b54370957a

eprasa.pl b54370957a

Fot. Aldin Kamber / Shutterstock

Ziemie dzisiejszej Ukrainy nie trafiły w granice Rzeczypospolitej tradycyjną drogą podboju – przekazał je Koronie król Zygmunt August, który jako dziedziczny władca wielkiego księcia litewskiego zirytował się na swoich magnatów, stawiających opór przed podpisaniem unii lubelskiej w 1569 r. Litwini demonstracyjnie opuścili Lublin? Jagiellon przekazał Koronie Podlasie. Oligarchowie nadal nie ustępowali? Monarcha odłączył Wołyń. Po przekazaniu ziem ukraińskich magnaci pokornie wrócili na sejm, ale terytoria pozostały już przy Koronie. A jak te ziemie znalazły się w Wielkim Księstwie Litewskim? Od końca XIII w. stopniowo podbijali je litewscy książęta, wtedy jeszcze pogańscy. Rozbita Ruś nie mogła się wciąż podnieść po najazdach mongolskich – to władcy z Wilna zdołali zjednoczyć te ziemie, wbrew wyrastającej na północy brutalnej Moskwie. To jeden z węzłowych procesów ukraińskiej historii – te ziemie carowie zajęli dopiero w XVIII w., wcześniej mogły się zaś rozwijać w łączności z cywilizowaną Europą, włącznie z powołaniem w 1658 r. Akademii Mohylańskiej w Kijowie. Zatem świat ruski po moskiewskiej stronie uczył się, jak być sługą i niewolnikiem, a w Rzeczypospolitej toczył spory o wolność i własność. To m.in. te różnice widać dzisiaj na rosyjsko-ukraińskim froncie, gdy okupanci nie tylko zabijają i gwałcą, ale nawet nie pozwalają chować ciał pomordowanych.

Polsko-kozackie, a później polsko-ukraińskie walki miały wiele krwawych i brutalnych odsłon. Rosjanie od XIX w. próbują przedstawić to jako wielki antagonizm pomiędzy naszymi narodami, taki, którego nie da się przezwyciężyć. I rzeczywiście, dramatów na przestrzeni wieków mieliśmy wiele. XVII-wieczne powstania kozackie były rzeziami podobnymi do tych z 1943 r. Od powstania Chmielnickiego, który zawezwał na pomoc Tatarów, nic już nie było takie samo, pod Batohem Kozacy wykupili jeńców polskich, by ich wymordować. Tak zginął starszy brat późniejszego króla Jana Sobieskiego, 24-letni Marek. Strona koronna nie pozostawała dłużna – okrucieństwo Jaremy Wiśniowieckiego czy niechęć do zrównania w prawach Kozaków ze szlachtą tworzyły napięcia i nowe konflikty. Wtedy historia postanowiła dać ukraińskiej ludności lekcję – Chmielnicki podpisał z przedstawicielami cara unię w Perejasławiu. I tak na ponad 300 lat Kijowszczyzna trafiła w orbitę wpływów moskiewskich satrapów.

Historycy są zgodni, że Rzeczpospolita bez kozaczyzny i lewobrzeżnej Ukrainy nie była już tak potężnym państwem. Niemożliwa byłaby powtórka bitwy pod Chocimiem z 1621 r., gdy koronno-litewsko-kozacka armia przetrzymała atak potężnego imperium osmańskiego. Hetman kozacki Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny przyprowadził według ostrożnych szacunków aż 20 tys. szabel, dzięki czemu obrońcy mogli rzucić do walki 50-tysięczne hufce. Sułtan Osman II dysponował ponad dwukrotnie silniejszą armią, a jednak musiał się wycofać. Bitwa ta miała wiele szalonych zwrotów akcji, godnych najbardziej spektakularnych filmów hollywoodzkich. Podczas walk zmarł stary hetman Jan Karol Chodkiewicz, formalnie dowodził młodziutki, 26-letni kró-

eprasa.pl b54370957a

lewicz Władysław, złożony chorobą. Konaszewicz-Sahajdaczny wykazywał się odważnymi i brawurowymi wypadami na pozycje wroga. Nic dziwnego, że bitwa stała się legendą opisywaną w poematach całej Europy. Czyż nie takich owoców polsko-ukraińskiego zbliżenia chcielibyśmy i dzisiaj?

UKRAIŃSKIE POSZUKIWANIA SPRZYMIERZEŃCÓW

Droga Ukrainy może więc się potoczyć szlakiem swoich historycznych przywódców. Konaszewicz-Sahajdaczny stawiał na zbliżenie z Warszawą, inny hetman Iwan Sirko liczył na Polskę przeciw Rosji. Chmielnicki wybrał Rosję, bo wydawało mu się, że prawosławna wspólnota wystarczy dla zachowania cywilizowanych stosunków – ale jeszcze za swojego życia widział, jak Moskale unikają wypełniania swoich obietnic. Kozacy próbowali dalej – Iwan Mazepa zbliżył się do króla szwedzkiego, ale obaj przegrali z carem Piotrem I pod Połtawą. Filip Orlik jeździł po XVIII-wiecznej Europie, szukając sprzymierzeńców przeciwko Rosji, a 150 lat później galicyjscy Ukraińcy cieszyli się poparciem Wiednia, który nastawiał ich przeciwko Polakom. Nacjonaliści ukraińscy ze Stepanem Banderą na czele uwierzyli w swoją szansę u boku III Rzeszy, ale wszystkie te niepolskie alianse kończyły się tragicznie nie tylko dla Polski, ale i dla samej Ukrainy.

Ukraiński historyk Serhij Płochij, wykładający na amerykańskim Harvardzie, stwierdził, że w II połowie XIX w. to Ukraina wzięła na siebie ciężar oporu przeciwko cywilizacyjnej ekspansji Rosji. Polska po powstaniu styczniowym była już na to za słaba, a rodząca się na nowo narodowość ukraińska wyrwała Moskwie połacie ziemi, które w założeniu carów miały być właśnie Małorosją – dziś widzimy, jak prezydentura Władimira Putina jest kolejnym aktem wielkorosyjskiej frustracji, że nad Dnieprem nie chcą kurateli wojsk i urzędników wschodniego imperium. Lekcja relacji polsko-ukraińskich jest dziecinnie prosta: między europejskimi imperiami mamy szansę przetrwać tylko wtedy, gdy jesteśmy razem. Dziś Ukraina nie przetrwałaby bez Polski, w czasie II wojny światowej i przed nią, podzieleni Polacy i Ukraińcy trafiali pod buty totalitaryzmów. Gdy byli razem, jak wtedy pod Chocimiem albo jak krótko wiosną 1920 r., gdy potrafili wyprzeć bolszewików z Kijowa, gdy byli osobno, do ich stolic wchodzili Rosjanie i Niemcy. To krótka szkoła realizmu, której nie widzą rozgadani „eksperci" od Studnickiego i przeciwnicy przyjaźni polsko-ukraińskiej opłacani przez niemieckie fundacje.

KREW KOLISZCZYZNY I WOŁYNIA

Zadry w polsko-ukraińskich relacjach są głównie historyczne. Polityczni cynicy (przykład Wołodymyra Wiatrowycza) postanowili z pochwał Bandery zrobić sobie polityczną trampolinę, choć wystarczyła ona jedynie dla garstki członków Wierchownej Rady czy samorządów w zachodniej części kraju. Z obecnym ukraińskim stosunkiem do OUN-UPA jest jeden problem – w powszechnej świadomości ukraiński nacjonalizm właściwie nie istnieje. Gdy udało mi się w Charkowie znaleźć kogoś, kto znał działalność banderowców, ten lokalny intelektualista westchnął i powiedział: „Macie żal za zamach na Pierackiego". Miał na myśli ukraińskiego nacjonalistę, który w 1934 r. zabił polskiego ministra spraw wewnętrznych, co miało być odwetem za złe traktowanie ukraińskich aspiracji narodowych. O zbrodni wołyńskiej mój rozmówca nie słyszał, tak jak do niedawna miliony Polaków nie znały opowieści o żołnierzach wyklętych albo sowieckim ludobójstwie na Polakach w latach 1937–1938 w ramach „Operacji polskiej NKWD".

> Lekcja relacji polsko-ukraińskich jest dziecinnie prosta: między europejskimi imperiami mamy szansę przetrwać tylko wtedy, gdy jesteśmy razem

Naszą historię mamy jeszcze do przepracowania, ale polscy mężowie stanu wiedzieli, że razem powinniśmy sobie z tym poradzić. Dla wspólnego dobra. Piłsudski zapraszał Ukraińców do sojuszu i chciał im podarować państwo, choć i wówczas w polskiej świadomości Kozacy kojarzyli się często z rzezią szlachty i Żydów, jak w Humaniu w 1768 r., czy podczas wspierania polityki imperialnej Rosji w XIX w. I tak oto sentymentalny, rzekomo romantyczny Piłsudski, postawił sprawę jasno: potrzebna nam Ukraina i poszerzenie grona koalicjantów w tej części Europy. Sztandar tej polityki podniósł później Lech Kaczyński, za co zapłacił najwyższą cenę – ale taka jest po prostu, jak to określił historyk naszego regionu Piotr Wandycz, cena wolności.

STATYSTYCY NIE OBLICZĄ

Gdy po 368 latach narody polski i ukraiński mogą naprawić błąd unii perejasławskiej, otwiera się przed nami okno dziejowych szans, które trudno oszacować. Nie da się tego określić wielkością gospodarek, liczbą ludności czy powierzchni, bo taką wspólnotę mnożą także te nieuchwytne zasoby, takie jak bohaterstwo, pracowitość, poświęcenie i zaufanie. Dziś, gdy od prezydenta Zełenskiego, przez dowódców obrony terytorialnej w Kijowie, Połtawie i Fastowie, aż po starego mężczyznę z posterunku w przyfrontowej Stojance słyszymy „Podziękuj Polakom za pomoc dla nas", stajemy przed wizją wielkiego formatu. Stworzyć nowe przymierze, świadome ludobójczych zapędów Rosji i niemieckiej dominacji, znające własne słabości i ograniczenia – oto wyzwanie na miarę unii lubelskiej czy Konstytucji 3 maja. Czy jesteśmy gotowi myśleć z rozmachem naszych przodków?

eprasa.pl b54370957a

Nieznośny pan Melnyk

Ambasador Ukrainy w Niemczech Andrij Melnyk od uprzejmości woli szczerość. Jest to często niewygodne dla rządu federalnego. Tymczasem wyraża on to, co myśli zdecydowana większość krajów Europy Środkowej i Wschodniej

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W powieści George'a Orwella „1984" główny protagonista Winston Smith, pracownik Ministerstwa Prawdy, nieustannie zmienia przeszłość. Musi aktualizować stare wydania gazet, tak aby odpowiadały obecnej linii partii oraz rzeczywistości. Jak pisze publicysta Alan Posener na łamach tygodnika „Die Zeit", od 24 lutego br. Niemcy wydają się tkwić w roku 1984. Cała klasa polityczna, poza nielicznymi wyjątkami, przekonuje, że „zawsze uważała politykę Niemiec wobec Rosji za błędną". „I zawsze było wiadomo, kto za nią odpowiada: była kanclerz Angela Merkel oraz jej wieloletni minister spraw zagranicznych, obecnie prezydent Frank-Walter Steinmeier. Ale tak nie było" – oburza się Posener. Jeśli chodzi o politykę wobec Rosji, przekonuje publicysta, „mamy do czynienia z kolektywną porażką całej niemieckiej klasy politycznej". Wszyscy, chcąc obsłużyć swoją klientelę, czy to przemysł, związki zawodowe, działaczy pokojowych czy ekologów, budowali dialog z Moskwą, trzymając się kurczowo przestarzałych idei, jak zmiana przez zbliżenie, twierdząc, że każdy volkswagen wysyłany do Rosji niesie ze sobą dywidendę pokoju. Majaczono o równowadze między USA a Rosją, budowaniu globalnej pozycji, gardzono narodami Europy Środkowej i Wschodniej, które ostrzegały przed Putinem. Schröder, Schwesig, były dyplomata Haller i były generalny inspektor Bundeswehry Harald Kujat. Lista lobbystów Kremla za Odrą jest długa. Na kontrargumenty, ostrzeżenia, niemiecka klasa polityczna pozostawała głucha.

BEZCEREMONIALNY KRYTYKANT

Nikt nie wie o tym lepiej niż ambasador Ukrainy w Niemczech Andrij Melnyk. W styczniu 2015 r. zawodowy dyplomata trafił do Berlina wysłany tam przez premiera Arsenija Jaceniuka. Wcześniej Rosja zaanektowała Krym. W Donbasie toczyła się wojna. Melnyk miał lobbować za sprawą ukraińską, jak pisze Matthew Karnitschnig na łamach portalu Politico, prosić o finansowe wsparcie, ale głównie o dostawy broni. Zderzył się ze ścianą. Niemcy miały bowiem inne plany: ruszyła budowa Nord Stream 2, stawiano na dialog z Kremlem. Kanclerz Merkel wprawdzie poparła sankcje na Rosję po zestrzeleniu samolotu malezyjskich linii lotniczych nad Donieckiem z 300 pasażerami na pokładzie, ale z bliskich relacji z Moskwą nie chciała zrezygnować. Dalsze uzależnianie się energetyczne od Rosji miało budować zaufanie oraz pokryć rosnące zapotrzebowanie za Odrą na gaz.

Melnykowi było, jak podkreślił w rozmowie z Politico, trudno się z tym pogodzić. „Nie mogłem w to uwierzyć" – zaznaczył. Były premier Brandenburgii, polityk SPD Matthias Platzeck napisał nawet książkę o potrzebie nowej „Ostpolitik" rozumianej jako zbliżenie z Kremlem. „Berlin – przekonywał czytelników Platzeck, od 2014 r. przewodniczący Forum Niemiecko-Rosyjskiego – powinien traktować Rosję jako równego partnera i pozbyć się wrogiego nastawienia oraz lęków". Tak jak Platzeck myślała duża część niemieckiej socjaldemokracji. Polityka

eprasa.pl b54370957a

„Russia first" pani kanclerz była entuzjastycznie popierana przez towarzyszy, którzy przez szereg wielkich koalicji obsługiwali niemiecką dyplomację. Najpierw Steinmeier, a potem Heiko Maas.

Melnyk został więc szybko uznany za „nieznośną przeszkodę", bezceremonialnego krytykanta, który psuje wszystkim dobry nastrój, słonia w składzie porcelany. Uzyskał przydomek męczybuły (Nervensäge). Nie mógł się doprosić spotkań z przedstawicielami urzędu kanclerskiego ani MSZ. Zaczął więc chodzić do mediów. W niemieckiej telewizji publicznej zmagał się w rundach dyskusyjnych z politykami od lewa do prawa – sekretarz generalny SPD Kevin Kühnert, Dietmar Bartsch z Die Linke, gwiazda FDP Alexander Graf Lambsdorff, weteran Zielonych Jürgen Trittin. Wszyscy słuchali go z uwagą, uśmiechając się jednocześnie, tak jakby mieli do czynienia z wariatem. Wystąpienia medialne Melnyka szybko zaczęły uwierać decydentów w Berlinie. Gdy poskarżył się w rozmowie z jedną z niemieckich rozgłośni radiowych na brak reakcji Berlina na coraz bardziej agresywną retorykę Kremla wobec Ukrainy i na bezcelowość procesu mińskiego, otrzymał telefon od jednego z doradców Merkel, który zalecił mu „więcej optymizmu". Ówczesny minister spraw zagranicznych Frank-Walter Steinmeier, zresztą główny architekt procesu mińskiego, poskarżył się na Melnyka nawet osobiście w Kijowie do prezydenta Petra Poroszenki. W najlepszym przypadku ukraińskiego dyplomatę ignorowano, w najgorszym starano się go zdyskredytować. Jak twierdzi Politico, rozpuszczono plotkę, że jest zawziętym karierowiczem, który na plecach wojny w Donbasie chce zrobić polityczną karierę. Gdy Steinmeier w 2017 r. został prezydentem, ponownie poskarżył się na Melnyka, tym razem do Wołodymyra Zełenskiego. Bezskutecznie.

Jedyny niemiecki polityk, z którym ambasadorowi udało się zaprzyjaźnić, to były prezydent Joachim Gauck. Obaj – jak wyznał Melnyk w rozmowie z tygodnikiem „Der Spiegel" – kochają Bacha. Gauck otrzymał najwyższe odznaczenie państwowe, jakie Ukraina ma do zaoferowania. Nić porozumienia dyplomata znalazł także z ministrem gospodarki, politykiem Zielonych Robertem Habeckiem, który, jak twierdzi Melnyk, w przeciwieństwie do innych nieraz „znalazł czas na szczerą rozmowę". „On potrafi słuchać" – dodał. Po kilku takich rozmowach Habeck pojechał nawet do Donbasu. Wrócił z przekonaniem, że Niemcy powinny dostarczyć Ukrainie broń defensywną. Ale to było przed wyborami do Bundestagu i Zieloni się przestraszyli opinii wyborców. Temat w kampanii nawet nie zaistniał.

BYĆ ALBO NIE BYĆ

U innych polityków ukraiński dyplomata wywoływał tylko irytację. Melnyk krytykował wszystko – od umowy koalicyjnej SPD, Zielonych i FDP („nie jest to pismo święte"), po bezczynność i arogancję

Fot. CARSTEN KOALL / DPA / dpa Picture-Alliance via AFP / EastNews

eprasa.pl b54370957a

niemieckich elit („dużo mówią, niewiele robią"). Nie stronił też od osobistych wycieczek pod adresem dowolnie wybranych polityków. „On nic nie rozumie" – mówił w jednym z programów radiowych o polityku CDU i byłym ministrze środowiska Norbercie Röttgenie, który w 2021 r. bez powodzenia ubiegał się o przywództwo w chadecji. Franka-Waltera Steinmeiera nazwał cynikiem, kanclerza Scholza oskarżył o wbijanie Ukrainie noża w plecy. Jeden z polityków SPD w końcu nie wytrzymał i poskarżył się na Melnyka na Twitterze. „Nie do zniesienia ten dyplomata" – napisał sekretarz stanu w ministerstwie budownictwa Sören Bartol. Tweeta później skasował. Ale nie był w tej opinii osamotniony, szczególnie w socjaldemokracji, partii najbardziej dotkniętej krytyką ze strony Melnyka. „On powtarza w kółko: robicie za mało, za mało. A ja uważam, że robimy bardzo wiele. On jest bezczelny" – skarżył się na ukraińskiego dyplomatę poseł SPD Axel Schäfer.

Niemieckie media, zwłaszcza lewicowe, starały się dorobić Melnykowi gębę faszysty. Nie było to trudne. Ukraiński ambasador urodził się w 1975 r. we Lwowie, a swoje imię zawdzięcza – jak sam przyznał – zamiłowaniu rodziców do działacza nacjonalistycznego Andrija Melnyka, przywódcy OUN-M. W 2015 r. w Monachium złożył kwiaty na grobie Stepana Bandery. Swoją wizytę relacjonował na Twitterze, określając Banderę mianem „bohatera". Tweet oburzył niemieckich polityków do tego stopnia, że stał się przedmiotem debaty w Bundestagu. Sekretarz stanu w MSZ Michael Roth, polityk SPD, poinformował posłów, że „niemiecki rząd nie akceptuje gloryfikacji zbrodniarzy i kolaborantów III Rzeszy". Dla Melnyka Bandera jest przede wszystkim bojownikiem o wolność. Okrucieństwa, które podobno popełnił, jak twierdzi, nigdy nie zostały mu udowodnione. Melnyk musiał się także bronić przed zarzutem, że popiera „nacjonalistyczny" pułk Azow, walczący z Rosjanami m.in. w Mariupolu. „Ile jeszcze chcecie szerzyć ten rosyjski fake news i nad nim dyskutować? Zostawcie pułk Azow w spokoju, gdy na Ukrainie giną kobiety i dzieci!" – grzmiał. „Dla mnie chodziło o być albo nie być" – wyznał dyplomata w rozmowie z gazetą „Süddeutsche Zeitung". A to nie zostawia miejsca na niuanse. Ani uprzejmości. „Odgrywając dyplomatę, niczego bym nie wskórał. O tym jestem przekonany" – dodał.

Niespodziewanego sojusznika Melnyk znalazł w postaci prasy springerowskiej. Dzienniki „Bild" i „Die Welt" regularnie stawały w jego obronie. W szczególności naczelny tego ostatniego Ulf Poschardt. Wydawnictwo Axel Springer, bliskie chadecji, już pod koniec rządów Angeli Merkel zaczęło krytykować gazociąg Nord Stream 2. Teraz, gdy CDU jest w opozycji, pojawiła się okazja, by uderzać w rządzącą koalicję. W naiwność Zielonych, cynizm i „rozumienie Rosji" SPD. Melnyk był wdzięczny za wsparcie. Od razu po wybuchu wojny kierownictwo Springera kazało na siedzibie firmy umieścić ukraińską flagę. Jeszcze zanim zrobiły to rządowe instytucje.

> Melnyk trafił do Berlina w 2015 r. i szybko został w Niemczech uznany za „nieznośną przeszkodę", bezceremonialnego krytykanta, który psuje wszystkim dobry nastrój, słonia w składzie porcelany. Uzyskał przydomek męczybuły

BEZ SATYSFAKCJI

24 lutego stanowił poważną cezurę w życiu Melnyka. Jego siostrzenica mieszkająca w Kijowie spędziła noc (pierwszą z wielu) w schronie. A niemieccy politycy, ci sami, którzy wcześniej nie mieli dla niego czasu, nagle chcieli się z nim spotkać. Byliśmy w błędzie – przyznawali. Niektórzy uronili w jego biurze przy Albrtechtstrasse, z zielonymi tapetami i obrazem hetmana Iwana Wyhowskiego na ścianie, nawet kilka łez. Nie wszyscy byli oczywiście tacy sentymentalni. Szef FDP i minister finansów Christian Lindner doprowadził Melnyka do rozpaczy. „Odwiedził mnie 12 godzin po rozpoczęciu rosyjskiej agresji. Był zimny i rzeczowy. Cierpienie Ukraińców go nie interesowało, tylko cyferki. Nie płaczę często, ale po tym spotkaniu łzy płynęły mi po twarzy" – wyznał dyplomata w rozmowie ze „Spieglem".

To, że miał rację, także niewiele mu pomogło. Kanclerz Olaf Scholz dalej blokuje wysłanie ciężkiego uzbrojenia na Ukrainę, jak czołgi czy wozy opancerzone, i to mimo gotowości przemysłu zbrojeniowego, by je dostarczyć. Setki (nieużywanych) czołgów typu marder znajdują się w magazynach. Scholz nie chce też embarga na ropę i gaz.

Miesiąc po wybuchu wojny politycy SPD mieli już dość samokrytyki i wrócili do atakowania Melnyka. Poseł Aydan Özoğuz, wiceprzewodnicząca Bundestagu, stwierdziła, że ambasador Ukrainy sam sobie szkodzi, krytykując berlińskie elity. A były minister spraw zagranicznych Sigmar Gabriel oskarżył go m.in. o szerzenie teorii spiskowych. Dyplomata patrzy na to filozoficznie. Jego zadaniem, jak podkreślił, jest lobbowanie za interesem swojego kraju, brutalnie zaatakowanego przez Rosję. A kto jest w błędzie, ten powinien móc znieść odrobinę krytyki. W minioną środę Melnyk spotkał się ze współprzewodniczącą SPD Saskią Esken. Rozmowa miała służyć znalezieniu płaszczyzny porozumienia. Rozejm nie trwał długo. Już w następny dzień drugi współprzewodniczący SPD Lars Klingbeil wziął Scholza w obronę i zadeklarował, że choć rozumie ambasadora Ukrainy, decyzja kanclerza w sprawie dostaw ciężkiej broni jest „rozważna i przemyślana".

Siedem lat starań i tylko niesmak pozostaje. Wydaje się, że jedyną nadzieją Melnyka jest rozłam w koalicji rządzącej. A ten jest obecnie niewykluczony. Zieloni są coraz bardziej niezadowoleni z tej zachwalanej przez Klingbeila zachowawczej postawy kanclerza. Opozycja w postaci CDU/CSU w każdym razie nie próżnuje i zamierza doprowadzić do wotum nieufności wobec Scholza w Bundestagu.

eprasa.pl b54370957a

Spółka celowa Enea Elkogaz zajmie się rozwojem projektu budowy bloków gazowo-parowych w Elektrowni Kozienice

Zgodnie ze Strategią Rozwoju w Grupie Enea trwają przygotowania do realizacji projektu budowy bloków energetycznych CCGT na terenie Elektrowni Kozienice. Nowo powołana spółka celowa Enea Elkogaz zajmie się odtworzeniem mocy wytwórczych bloków klasy 200 MW, opierając się na technologii spalania paliwa gazowego

To jedna ze strategicznych inwestycji Grupy w procesie racjonalnej transformacji koncernu energetycznego. Bloki gazowe mają być niskoemisyjnym źródłem energii wzmacniającym bezpieczeństwo energetyczne i wspierającym w fazie przejściowej wytarzanie energii z OZE. Grupa Enea przygotowuje się do stopniowego odchodzenia od wytwarzania energii ze źródeł węglowych na rzecz odnawialnych źródeł energii. Kierunek ten odzwierciedlony jest w opublikowanej w grudniu 2021 r. aktualizacji Strategii Rozwoju Enei.

Przygotowywany w Grupie Enea projekt zakłada, że jednostki klasy 200 MW operujące w Elektrowni Kozienice po zakończeniu okresu ich eksploatacji w NABE (Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego) będą przekazywane stopniowo z powrotem do Grupy, dzięki czemu ich moc będzie mogła być odtworzona z zastosowaniem technologii CCGT oraz z częściowym wykorzystaniem dostępnej infrastruktury. Projektowane bloki niskoemisyjne powstałyby w miejscach przeznaczonych do odstawienia jednostek węglowych.

Rok 2022 będzie dla Grupy Enea czasem stopniowego wdrażania założeń przedstawionych w aktualizacji Strategii Rozwoju. Jednym z opublikowanych trzynastu kluczowych kierunków rozwoju Grupy jest energetyka konwencjonalna oparta na źródłach niskoemisyjnych, w tym gazowych z zastrzeżeniem wykorzystania tego paliwa jako przejściowego źródła energii na drodze do OZE. Nowe niskoemisyjne źródła będą stabilizowały rozwijające się OZE w początkowej fazie dążenia Grupy Enea do neutralności klimatycznej.

– Powołana spółka celowa Enea Elkogaz jest ważnym elementem wspierającym realizację naszej Strategii Rozwoju i ułatwiającym zarówno rozwój projektu gazowego, jak i prace nad wydzieleniem węglowych aktywów wytwórczych poza Grupę. Po wdrożeniu w życie planu reorganizacji polskiej energetyki konwencjonalnej, projekt gazowy pozwoli nam odtworzyć część mocy z wykorzystaniem istniejącej infrastruktury, zachowując niezbędne gwarancje bezpieczeństwa energetycznego. Przygotowujemy się organizacyjnie, by osiągnąć najwyższą sprawność operacyjną w kluczowych obszarach rozwojowych Grupy – zaznaczył Tomasz Szczegielniak, wiceprezes Enei ds. korporacyjnych.

Projekt budowy bloków gazowych w Elektrowni Kozienice jest w fazie przedinwestycyjnej. Zakończone zostały prace koncepcyjne dotyczące wyboru rozwiązań technologicznych oraz analizy ekonomiczne. Uzyskano zgody korporacyjne na uruchomienie I etapu, w skład którego wchodzą prace dotyczące przygotowania SIWZ oraz wykonanie aktualizacji modelu przedsięwzięcia wraz z audytem modelu finansowego.

Grupa Enea już w 2020 r. poprzez spółkę Enea Wytwarzanie podpisała porozumienie z Gaz-System na zaprojektowanie przyłączenia Elektrowni Kozienice do gazowej sieci przesyłowej należącej do Gaz-System. Rok później Enea Wytwarzanie wystąpiła z wnioskiem do PSE o określenie warunków przyłączeniowych do sieci przesyłowej KSE nowych bloków gazowo-parowych planowanych w ramach projektu w Kozienicach. Obecnie trwają uzgodnienia w zakresie przebiegu trasy przyszłego przyłącza gazowego oraz jego podstawowych parametrów technicznych, które wpłyną na wybór optymalnych rozwiązań technologicznych.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 16/0422/F

eprasa.pl b54370957a

Ostatnia rozgrywka dyktatora?

Łukaszenka coraz bardziej zdaje sobie sprawę z tego, że wojna na Ukrainie może i jego kosztować głowę

MAREK BUDZISZ

Timur Mickiewicz miał 16 lat, kiedy w 2020 r., w czasie protestów po sfałszowanych przez reżim Łukaszenki wyborach na Białorusi, tak pobiła go milicja, że lekarze, ratując mu życie, musieli wprowadzić go na wiele dni w stan śpiączki. Dzisiaj Timur jest dwa lata starszy i z bronią w ręku walczy na Ukrainie przeciw rosyjskim agresorom, a lekarz, który wówczas uratował mu życie, przebywający teraz na emigracji, życzy mu zwycięstwa. Timur i kilkuset innych Białorusinów tworzą Batalion im. Kastusia Kalinowskiego, którego zadaniem jest nie tylko obrona Ukrainy, ale również – jak napisał Franak Wiaczorka, doradca Swiatłany Cichanouskiej – po wygranej wojnie wyzwolenie własnej ojczyzny.

Na samej Białorusi po rosyjskiej agresji na Ukrainę mieliśmy do czynienia z rosnącą liczbą aktów dywersji i sabotażu na kolei, co miało utrudnić przemieszczanie się i zaopatrywanie rosyjskich wojsk. Według informacji Radia Swoboda ci partyzanci, jak się ich nazywa na Białorusi, dokonali co najmniej kilkunastu uszkodzeń infrastruktury kolejowej, przedstawiciele MSW mówią nawet o 80 aktach dywersji i sabotażu. Giennadij Kazakewicz, naczelnik milicji kryminalnej w białoruskim MSW, zapowiedział, że „akty terroryzmu na kolei będą zwalczane z użyciem broni", a jego słowa potwierdziły wydarzenia, które miały miejsce na początku kwietnia. Specjalny oddział Ałmaz, podległy MSW, zatrzymał, raniąc przy tym ciężko, 40-letniego mieszkańca rejonu borysowskiego (na wschód od Mińska) podejrzewanego o to, że uszkodził kolejowe systemy sterowania ruchem. W tym samym czasie zatrzymano też trzech innych młodych ludzi, mieszkańców Bobrujska, którzy również mieli niszczyć infrastrukturę kolejową.

Nie uspokoiło to jednak Łukaszenki, który zwołał specjalną naradę kierownictw resortów siłowych. „Zapomnieliście, co wydarzyło się w 2020 r.?" – grzmiał białoruski dyktator. „A może siedzą tu trzy czwarte ludzi, którzy są zadowoleni z tego, co wydarzyło się w 2020 r. i chcą powtórki z przeszłości? Pamiętajcie: to się nie powtórzy. Mam dość sił, środków i ludzi, którzy staną u mojego boku, i zabijemy dziś każdego, kto będzie chciał zakłócić spokój w naszym kraju". Białoruscy eksperci są przekonani, że narada „siłowików" u Łukaszenki zapowiada zarówno wzmożenie represji, czego przedsmakiem było aresztowanie grupy lekarzy oskarżonych o łapownictwo oraz liderów niezależnych związków zawodowych, jak i czystki w resortach siłowych.

„TO NIE NASZA WOJNA"

Dyktator jest zaniepokojony zarówno złymi nastrojami społecznymi, jak i nasilającymi się antywojennymi protestami. Nie mają one masowego charakteru, ale z obliczeń Radia Swoboda wynika, że już ponad 1,5 tys. osób zostało poddanych represjom za rozmaite formy sprzeciwu wobec wojny. Jest ona zresztą na Białorusi skrajnie niepopularna. Z badań przeprowadzonych pod koniec marca przez brytyjski Chatham House wynika, że tylko 3 proc. ankietowanych opowiada

Fot. AP Photo/Efrem Lukatsky/East News

eprasa.pl b54370957a

się za udziałem w niej białoruskich sił zbrojnych po stronie Rosji. Giennadij Korszunow, białoruski socjolog, który prowadził pogłębione wywiady z niewielką grupą ankietowanych, mówi, iż przeważa pogląd, że „to nie nasza wojna". Pogląd ten podzielają zarówno zwolennicy opcji prorosyjskiej, jak i sympatyzujący z opozycją. Ryhor Astapenia, kierujący grupą badawczą Chatham House, zwraca uwagę również na to, że mimo intensywnej propagandy jedynie 28 proc. Białorusinów jest zdania, iż ich ojczyzna winna w obecnym konflikcie popierać Rosję, przy czym większość ma na myśli poparcie polityczne, a nie wojskowe.

Łukaszenka, dobrze rozumiejący nastroje społeczne, nie zdecydował się, jak można przypuszczać zapewne z tego właśnie powodu, na czynne zaangażowanie po stronie Rosji. Niektórzy są zresztą zdania, iż podkreślanie zagrożenia ze strony partyzantów i skali tego zjawiska przez propagandę było w gruncie rzeczy na rękę dyktatorowi, bo uzasadniało, dlaczego nie może wysłać wojska na Ukrainę, które jest potrzebne w kraju, na tyłach.

DUSZENI SANKCJAMI

Nie ulega jednak wątpliwości, bo to też wynika z badań białoruskiej opinii publicznej, że wszyscy spodziewają się drastycznego pogorszenia poziomu życia. Katerina Bornukowa, dyrektor w niezależnym ośrodku analitycznym BEROC (dziś na emigracji), powiedziała mediom, że czekający Białoruś kryzys będzie bezprecedensowy, a tylko w tym roku PKB kraju spadnie o co najmniej 15 proc. Będzie to, w jej opinii, bezpośredni skutek sankcji wprowadzonych przez Zachód. W odróżnieniu od Rosji, Białoruś nie posiada znaczących rezerw, a jej gospodarka jest silnie uzależniona od eksportu, który wynosił w ostatnich latach 70 proc. PKB. Niedawno wprowadzone ograniczenia w postaci zakazu wjazdu na obszar Unii ciężarówek na białoruskich i rosyjskich rejestracjach uderzają w znaczącą gałąź białoruskiego handlu zagranicznego, jaką był eksport usług, z którego pochodziło w minionych latach 40 proc. przychodów w tym segmencie. Inna branża, sektor IT, zaczyna odczuwać skutki emigracji młodych specjalistów. Tylko do Gruzji od początku wojny wyjechało z Białorusi – jak wynika z oficjalnych danych – 19,5 tys. osób, co w przypadku narodu liczącego 9,5 mln ludzi nie jest małą liczbą. Już odczuwalne są braki wysoko wykwalifikowanych kadr, np. lekarzy. Siergiej Dylewski, jeden z liderów białoruskiego niezależnego ruchu związkowego, powiedział mediom, że spodziewa się wybuchu protestów głodowych, bo przedsiębiorstwa praktycznie stanęły. Nie ma dostaw podzespołów pochodzących z importu, firmy nastawione na eksport, np. potentat nawozowy Biełaruśkalij, też nie pracują ze względu na zamknięcie wielu rynków i problemy z wywiezieniem produkcji. Ludzie są w związku z tym wysyłani do prac porządkowych, co w dłuższej perspektywie odbije się na ich zarobkach.

I Z MOSKWĄ, I Z BRUKSELĄ

Wydaje się, że reżim już przygotowuje się na nadchodzące niepokoje. Z jednej strony mamy do czynienia z nasileniem represji i mobilizowaniem resortów siłowych, z drugiej Mińsk zaczyna myśleć o ponownym flircie z Zachodem. Na początku kwietnia brukselski korespondent Radia Swoboda ujawnił kopię listu, który Uładzimir Makiej, białoruski szef MSZ, skierował do władz Unii Europejskiej. Jak się spekuluje, był to przeciek kontrolowany, co oznacza, że Mińsk zainteresowany był ujawnieniem treści swego posłania. Szef dyplomacji wezwał w nim Brukselę, aby „porzucić oskarżenia i etykiety, podburzającą retorykę i jednostronne restrykcje oraz przemyśleć paradygmat przyszłych relacji Białorusi z UE".

Eksperci komentujący treść tego dokumentu argumentowali, że mamy do czynienia z próbą powrotu Mińska do tradycyjnej polityki balansowania między Moskwą a Zachodem. Wydaje się jednak, że chodzi o nieco bardziej zniuansowane podejście. Świadczą o tym zabiegi Łukaszenki i wstępna na to zgoda Moskwy, aby Mińsk stał się jednym z gwarantów bezpieczeństwa Ukrainy, co miałoby być wpisane w traktat pokojowy kończący wojnę. W tym wypadku intencje Łukaszenki są czytelne – chodzi o to, aby Rosja w toku rozmów kończących wojnę nie porzuciła swego sojusznika, bo osłabiona Moskwa może nie być w stanie albo nie chcieć wspierać niepopularnego reżimu, w którym zresztą ujawniają się głębokie podziały.

Niedawne aresztowanie i skazanie na pięć lat więzienia za współpracę i przekazywanie informacji opozycji wicedyrektora oficjalnej agencji informacyjnej BiełTA wskazuje na to, że trudno mówić o spoistości obozu władzy. Jurij Carik z Białoruskiego Centrum Studiów Strategicznych napisał na początku kwietnia, że „Rosja poniosła operacyjną porażkę na Ukrainie, musiała zrewidować swoje plany wojenne i wyjdzie z wojny ekonomicznie osłabiona". W jego opinii to stwarza dla Białorusi pewne szanse, aby zdystansować się od Moskwy. Grigori Joffe, analityk amerykańskiego think tanku Jamestown Foundation, jest zdania, iż to, że przebywający w Mińsku Carik mógł – nie ryzykując więzienia – sformułować taką opinię, dowodzi, że jest pod ochroną części tamtejszego establishmentu politycznego. Uwadze komentatorów nie umknęło też, że sam Łukaszenka zaczął w ostatnim czasie mówić o wojnie na Ukrainie, nie zaś specjalnej operacji Rosji.

List Makieja do Komisji Europejskiej może być w tej sytuacji odczytany zarówno jako próba odbudowy relacji z Zachodem, jak i odegrania roli przydatnego pośrednika, czym z kolei może być zainteresowana Moskwa. Przygotowując się do trudnych czasów, reżim chce się wzmocnić. To dlatego jednocześnie rozmawia z Moskwą i z Brukselą, a także straszy wojną domową, inwazją wojsk rosyjskich i wzywa resorty siłowe do zwarcia szeregów. Łukaszenka wie bowiem doskonale, o co toczy grę. Przedłużająca się wojna na Ukrainie osłabia jego patrona, a sankcje prowadzą do pogorszenia nastrojów. Ewentualne zmiany w Rosji mogą go kosztować głowę. Jeśli skończy się władza Putina, co dziś wydaje się mało prawdopodobne, to białoruski dyktator będzie ciężarem dla nowej władzy. Jeśli Rosja wygra, to nie będzie miała interesu w utrzymywaniu u władzy krnąbrnego i trudnego „partnera". Tym bardziej ponuro wygląda jego przyszłość, jeśli białoruskie losy wezmą w swe ręce młodzi ludzie, którzy tak jak Timur Mickiewicz uznali, że o wolność trzeba walczyć z bronią w ręku. Czy mamy zatem do czynienia z ostatnią rozgrywką starzejącego się dyktatora?

eprasa.pl b54370957a

Rosyjski przyjaciel na Bałkanach

Serbia nadal próbuje prowadzić politykę prorosyjską i w tym samym czasie trzymać się blisko Zachodu. Wojna na Ukrainie jednak sprawia, że jest to coraz trudniejsze zadanie dla prezydenta Aleksandara Vučicia

GORAN ANDRIJANIĆ

„Ukraina zaatakowała Rosję!" – to nagłówek, który pojawił się na okładce serbskiego tabloidu „Informer" 22 lutego, dzień po tym, jak Władimir Putin w przemówieniu do narodu rosyjskiego i świata uznał niepodległość dwóch separatystycznych republik we wschodniej Ukrainie.

Tabloid bliski rządzącej Serbskiej Partii Postępowej i prezydentowi Aleksandarowi Vučiciowi, w momencie gdy było jasne, że Putin szykuje agresję na Ukrainę, opublikował okładkę, której prokremlowska propaganda przewyższała nawet najgorsze rosyjskie media państwowe. Niektórzy z moich polskich znajomych uważali, że to fake news, więc musiałem wysłać im zdjęcie okładki.

MIT ROSYJSKIEGO MESJANIZMU

Już 4 marca, tydzień po rozpoczęciu brutalnej agresji na Ukrainę, w Belgradzie odbyła się demonstracja poparcia dla Rosji, w której wzięło udział kilka tysięcy osób. „Serbowie i Rosjanie są braćmi na zawsze!" i „Kijów to Rosja, Kosowo to Serbia", to tylko niektóre z transparentów, które można było wtedy zobaczyć na ulicach stolicy. To, co ponownie zauważyłem u moich polskich przyjaciół, to zdumienie zachowaniem Serbów. A niektórzy z nich całkiem dobrze znali historię zachodnich Bałkanów i jej polityczną sytuację.

Jednak dla większości z nas, którzy urodziliśmy się i uformowaliśmy w tej części Europy, serbskie poparcie dla Putina nie było zaskoczeniem. Serbię i Rosję łączą głębokie więzy historyczne i kulturowe, wzmocnione wiarą prawosławną. Ten związek miał swoje gorsze okresy, nawet w ostatnich czasach, ale od momentu kryzysu spowodowanego oderwaniem Kosowa od Serbii, gdzie Moskwa jest głównym sojusznikiem Belgradu niegodzącego się na uznanie niepodległości nowego państwa, stosunki te są bliższe niż kiedykolwiek w historii.

Oto jak chorwacki historyk Stipe Kljaić wyjaśnia genezę historycznej bliskości Rosji i Serbii.

„Już na początku XX w. komunizm rosyjski odbił się szczególnie silnym echem w narodzie serbskim, większym niż w innych ludach południowosłowiańskich. Wynikało to z rozpowszechnionego mitu rosyjskiego mesjanizmu, który w Serbii wyrażany był w terminach »Matka Rosja«

Fot. Vladimir Zivojinovic/AFP/East News

eprasa.pl b54370957a

i »Trzeci Rzym«. Chociaż ta sama Rosja znalazła się pod rządami bolszewików, ten mit wciąż żył wśród ludności serbskiej na Bałkanach" – pisze historyk.

Wpływ rosyjskiego mesjanizmu z pewnością można odczuć w serbskiej polityce narodowej ostatnich stu lat. Retoryka stosowana przez Putina do usprawiedliwiania agresji na Ukrainę jest bardzo podobna do tej stosowanej przez przywódcę Serbii Slobodana Miloševicia (jak Putin komunisty, który stał się nacjonalistycznym imperialistą), aby usprawiedliwić atak na Chorwatów. Podstawą tej retoryki było kłamstwo o rzekomym zagrożeniu własnego narodu w obliczu tendencji nazistowskich.

BYĆ JAK JUGOSŁAWIA TITY

Prezydent Serbii Aleksandar Vučić doskonale zdaje sobie sprawę z wpływu rosyjskiego imperializmu na polityczne i kulturowe paradygmaty Serbii. Przecież on sam formował się politycznie w takiej atmosferze. Vučić, były członek Serbskiej Partii Radykalnej kierowanej przez podżegacza wojennego Vojislava Šešelja, w międzyczasie przekształcił się w autokratycznego, ale umiarkowanego serbskiego nacjonalistę, który rządzi od 2014 r. Ostatnio z przewagą wygrał wybory prezydenckie, choć opozycja skrytykowała wybory jako niesprawiedliwe ze względu na całkowitą kontrolę prezydenta nad mediami i aparatem państwowym.

Jedną z głównych cech rządów Vučicia jest zachowanie równowagi w relacjach między Unią Europejską, której członkiem chce zostać Serbia (kandydowała w 2012 r.), a relacjami z Rosją i Chinami, z którymi Belgrad ma silne powiązania gospodarcze.

Marta Szpala, ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich, też podkreśla, że utrzymanie równowagi jest główną cechą serbskiej polityki zagranicznej ostatnich lat.

– Vučić ma ambicje, by Serbia, jak kiedyś Jugosławia, była liderem całego regionu Bałkanów Zachodnich i stara się kontynuować politykę niezaangażowania Josipa Broz-Tity. Tak jak Jugosławia, Serbia chciała korzystać z utrzymywania bliskich relacji zarówno z USA i UE z jednej strony, jak i Chinami oraz Rosją z drugiej. Wzmacniało to pozycję Serbii na arenie międzynarodowej, zapewniło Belgradowi pozycję lidera regionu. W czasie pokoju taka polityka była bardzo skuteczna – do Serbii napływały inwestycje. Zachód, obawiając się dryfu Serbii w kierunku Rosji i Chin, tolerował wzmacnianie w kraju systemu autokratycznego – mówi ekspertka.

Taka polityka ma jednak swoje ograniczenia i nie może funkcjonować w każdych warunkach. Na to zwraca uwagę również Szpala: – Serbia jednak jest o wiele słabsza niż Jugosławia i kontynuowanie takiej polityki w czasie ataku Rosji na Ukrainę, która spowodowała głęboką reorientację polityki państw Zachodu wobec Moskwy, będzie bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe. Jeśli Belgrad chce nadal korzystać ze współpracy z Zachodem, będzie musiał się opowiedzieć po jednej ze stron.

Właśnie tego jasnego opowiedzenia się Vučić cały czas stara się unikać.

Serbia to kraj, który nie nałożył jeszcze sankcji na Rosję i cały czas prowadzi z nią interesy. Jednocześnie przedstawiciele Serbii głosowali w ONZ za wykluczeniem Rosji z Rady Bezpieczeństwa i potępieniem rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Polityka siedzenia na kilku krzesłach, którą Vučić dotychczas z powodzeniem realizował, nie może funkcjonować w warunkach wojny w Europie.

„POD PRESJĄ"

Zachód już ostrzegł serbskiego prezydenta, że Serbia nie może kandydować do UE ani sprzeciwiać się sankcjom wobec Rosji. Moskwa wyraziła zaś swoje niezadowolenie z posunięć Serbii w ONZ. „Wiemy o naciskach, na jakie narażona jest Serbia. Ale słyszeliśmy też wypowiedzi serbskich polityków, że Serbia jest naszym przyjacielem. Jeśli się z kimś przyjaźnisz, to musisz się zachowywać jak przyjaciel" – oświadczyła niedawno Maria Zacharowa, rzeczniczka MSZ Rosji.

W wystąpieniach publicznych Vučić nieustannie narzeka, że jest pod presją, a swój oportunizm stara się przedstawić jako lojalność wobec zasad. Czy ta presja może spowodować całkowite odejście od Zachodu i przeniesienie w serbskiej polityce zagranicznej wektorów na Wschód?

Marta Szpala uważa, że „realnie rzecz biorąc, wpływy rosyjskie i chińskie w Serbii nie są aż tak duże, jak się je opisuje".

– Z pewnością jednak wzmacnianie prorosyjskich sentymentów służyło prezydentowi Vučiciowi. Dzięki temu zyskiwał w oczach Zachodu pozycję gwaranta prozachodniej orientacji Serbii, a zarazem społeczeństwo nie naciskało zbytnio na szybką integrację z UE – mówi ekspert. I dodaje, że taka polityka może mieć jednak poważne konsekwencje: – To postępująca militaryzacja społeczeństwa, która władze utrzymuje w przekonaniu nieustannego zagrożenia ze strony ościennych narodów – Chorwatów, Bośniaków, Albańczyków. To ożywienie starych idei Wielkiej Serbii, która inspirowana koncepcją „ruskiego miru" przyjęła teraz formę „serbskiego świata" i jest propagowana przez czołowych polityków serbskiego rządu. Co więcej, sama wojna na Ukrainie obudziła w części środowisk skrajnej prawicy nastroje odwetowe i nadzieję, że gdy Rosjanie podbiją Ukrainę, pomogą odzyskać Serbom Kosowo, część Bośni i Hercegowiny czy Czarnogóry. Już widzimy, że to bardzo niebezpieczna tendencja, tym bardziej że w wyborach mocną pozycję uzyskały prorosyjskie partie SPS, Zavetnicy, Dveri, NADA, uzyskując ponad 25 proc. głosów.

Wiadomość, że Serbia kupiła niedawno nową broń, odbiła się echem we wszystkich mediach na Bałkanach. Chiny przekazały jej zestawy przeciwlotnicze HQ-22, w efekcie czego Serbia będzie pierwszym państwem w Europie wykorzystującym chińskie systemy rakietowe.

– Wejście Serbii jednoznacznie w sferę rosyjskich wpływów byłoby bardzo niebezpieczne dla całego regionu, gdyż Moskwa zaczęłaby wykorzystywać Serbów dla destabilizacji Bałkanów Zachodnich – utrzymywania w regionie permanentnego napięcia i ryzyka konfliktu – ostrzega Szpala.

Wielu analityków uważa, że Vučić jest przede wszystkim politykiem pragmatycznym, świadomym złych konsekwencji, jakie miałoby pełne porozumienie z Rosją.

– Podobnie jak w latach 90. oznaczałoby to całkowitą izolację tego państwa na arenie międzynarodowej, konsekwencje ekonomiczne dla tego państwa byłyby bardzo negatywne. Izolowany Belgrad nie miałby możliwości także obrony interesów serbskiej mniejszości w państwach ościennych. Dlatego raczej spodziewam się, że Belgrad będzie się starał utrzymać dobre relacje z Chinami, poświęcając współpracę z Moskwą. Testem dla Belgradu będą szczególnie relacje w sferze energetycznej, gdzie Rosja ma najmocniejsze wpływy – konkluduje ekspertka OSW.

eprasa.pl b54370957a

Poganiacze wyborów

Opozycja chce wcześniejszych wyborów, choć nawet nie wie, jak do nich doprowadzić. Dlaczego więc odgrywa ten teatrzyk?

STANISŁAW JANECKI

Mimo że żadna opozycyjna partia nie chce przyspieszonych wyborów, wszystkie o nich mówią, a ich liderzy twierdzą, że się do nich przygotowują. Powód jest prosty: to rządzący mają ponoć chcieć przedterminowych wyborów, więc nie wolno dać się im zaskoczyć. A chcą dlatego, że niekomfortowo im się sprawuje władzę, gdyż są zmuszeni do szukania większości przy prawie każdym głosowaniu w Sejmie. Wprawdzie taka większość funkcjonuje co najmniej od 10 sierpnia 2021 r., gdy Jarosław Gowin przestał być wicepremierem, a Porozumienie wyszło z koalicji Zjednoczonej Prawicy, ale dopiero w kwietniu 2022 r. ma to być problemem. Sam Gowin ogłosił pod koniec marca 2022 r., że „gdyby okazało się, że wojna na Ukrainie wywołuje efekt skupiania się wokół obozu rządowego, to Jarosław Kaczyński zapewne sięgnie po instrument, jakim jest samorozwiązanie Sejmu. A jeśli Prawo i Sprawiedliwość zdecyduje się na przedterminowe wybory, to Platforma Obywatelska je poprze. Podobnie jak inne partie opozycyjne".

Jednocześnie opozycja twierdzi, że wybory w czasie wojny na Ukrainie to byłoby szaleństwo i skrajna nieodpowiedzialność. Ale problemem jest tylko to, komu to szaleństwo można by przypisać, a nie sam fakt ogłoszenia przedterminowych wyborów.

Rzeczywisty powód parcia do wyborów jest bowiem taki, że ma to być komunikat do społeczeństwa, iż władza nie radzi sobie z problemami, więc trzeba przyspieszyć polityczne procesy, żeby nie przedłużał się kryzys, który opozycja przedstawia jako fakt oczywisty. I tylko ona ma mieć receptę na ów opisywany przez nią kryzys.

Od kilku miesięcy przewodniczący Donald Tusk wieści apokalipsę w Polsce, którą trzeba przerwać. Tym bardziej że trwa wojna na Ukrainie, która tę kata-

Fot. Jacek Dominski / REPORTER / EastNews

eprasa.pl b54370957a

strofę jeszcze pogłębia. Narracja opozycji jest więc taka: kryzys zjadł już właściwie wszystkie socjalne osiągnięcia rządów PiS, czyli nie ma powodu, żeby trwał gabinet Mateusza Morawieckiego. A nawet warunkiem utrzymania zdobyczy socjalnych przyznanych przez rządy PiS, w tym sztandarowego programu Rodzina 500+, jest odsunięcie tej partii od władzy. Nie można czekać na konstytucyjny termin wyborów (jesień 2023 r.), gdyż w tym czasie dojdzie do tragedii. I tylko opozycja jest w stanie jej zapobiec. Ta sama opozycja, która nie jest w stanie sama doprowadzić do wcześniejszych wyborów, a nawet stworzyć rządu technicznego na czas przejściowy.

ASERTYWNOŚĆ ZAMIAST SUKCESÓW

W narracji opozycji rządzący niby nie chcą przyspieszonych wyborów, ale do nich dążą, tylko na takich warunkach, by opozycję zaskoczyć. A chcą dlatego, żeby uciec przed jeszcze większymi kłopotami, albowiem lepsze jutro było wczoraj. Ale jednocześnie rządzący wiedzą, że – jak mówi politolog prof. Rafał Chwedoruk – „w Sejmie nie ma ani jednego ugrupowania, które mogłoby dostać więcej mandatów niż w ostatnich wyborach". Ale wszyscy się łudzą, że tak nie będzie.

Samo dążenie do przejęcia władzy to za mało, więc musi być obiektywny powód. I ten powód wiosną 2022 r. ma na imię inflacja i drożyzna. Wprawdzie pojawił się jesienią 2021 r., ale skoro nie zniknął, to lepszej okazji nie będzie. Nic nie szkodzi, że propozycje Donalda Tuska i PO (20-proc. podwyżka dla budżetówki, zamrożenie rat kredytów i antyinflacyjne obligacje) to prosta droga do przyspieszenia katastrofy, ale zbawienny ponoć pomysł ma pochodzić od PO, jego realizacją powinien się zaś zająć jeszcze obecny rząd. Dlatego że nie ma czasu na czekanie.

Trzeba wprawdzie przegonić PiS od władzy, żeby uratować materialne podstawy bytu Polaków, ale na odchodnym mogłaby ta partia jeszcze coś pożytecznego zrobić (dla opozycji). Poza podwyżkami PiS powinno doprowadzić do skrócenia kadencji Sejmu. Jeśli nie poprzez wniosek o samorozwiązanie Sejmu (do czego potrzebna jest większość dwóch trzecich), to poprzez dymisję rządu. Trzeba tylko przejść procedurę trzech kroków. Pierwszy polega na tym, że prezydent desygnuje premiera i powołuje rząd. Jeśli by się to nie udało, w drugim kroku inicjatywa przechodzi na Sejm. A jeśli i to by zawiodło, w trzecim kroku znów prezydent powołuje premiera i rząd. Ale tym razem szanse są duże, gdyż potrzebna jest tylko zwykła większość. Gdyby w trzecim kroku nie udało się powołać rządu, prezydent musi skrócić kadencję Sejmu i zarządzić wybory – na dzień przypadający nie później niż w 45. dniu od decyzji o skróceniu kadencji. Wprawdzie nikt z opozycji tych wariantów nawet z prezydentem nie konsultował, przez co opozycyjni liderzy nie mają pojęcia, jak się głowa państwa zachowa, ale nieważne są realia, tylko plany. Podobnie jak nieważne jest stanowisko PiS, które wcale przyspieszonych wyborów nie chce, ale opozycja twierdzi, że chce, a tylko ukrywa termin i metodę do ich przeprowadzenia.

Donald Tusk, a za nim inni liderzy opozycji uznali, że jeśli będzie się głośno mówiło, iż potrzebne są przyspieszone wybory, to znaczy, że nie tylko się ich nie boją, ale są pewni zwycięstwa. Przecież nie domagaliby się wcześniejszych wyborów, gdyby mieli je przegrać. Choć ich szanse na zwycięstwo są czysto teoretyczne, ale tym trzeba się będzie martwić dopiero po wyborach. Teraz ważne jest przekonanie Polaków, że ich sukces jest gwarantowany. Tym bardziej że Donald Tusk po to wrócił do polskiej polityki, żeby wzrosła asertywność opozycji. Nie szanse wygranej, lecz asertywność właśnie. To ona ma się przekładać na większe poparcie w sondażach. Dlatego w swoich kolejnych wystąpieniach Donald Tusk już wygrał wybory (nie tylko parlamentarne), choć nawet nie wie, jak do nich doprowadzić. Wygrał dlatego, że – jak uważa – wystarczy przedstawić plany osądzenia i odwetu na obecnie rządzących, żeby wyborcy uwierzyli, iż wygrana jest tylko kwestią czasu. A skoro tak, to ten, kto ma dokonać zemsty i przygotowuje jej szczegółowe plany, np. listy proskrypcyjne, już tylko czeka na termin wyborów i ogłoszenie ich wyników. A rezultat jest pewny, głosy mają bowiem liczyć także alternatywne komisje powołane przez obecną opozycję.

Nieprzypadkowo mamy tu podwójne mrugnięcie do opozycji i jej elektoratu, że nie będzie uznana żadna porażka, skoro jest ona fizycznie niemożliwa. To się wprawdzie źle kojarzy, bo z referendum z 30 czerwca 1946 r. oraz z wyborami z 17 stycznia 1947 r., ale przecież współcześni demokraci to nie komuniści, choćby powód zapewnienia wyborczego zwycięstwa był podobny.

ZMIANA HIERARCHII

Przedterminowe wybory mają zmienić hierarchie w polskiej polityce. Bardzo niewiele może zrobić opozycja z tym, że niekwestionowanym liderem w Polsce jest w ostatnich miesiącach prezydent Andrzej Duda, doceniony także przez społeczność międzynarodową, w tym przez prezydenta USA Joego Bidena. A od prezydenta zależą „trzy kroki", gdy

eprasa.pl b54370957a

chodzi o wcześniejsze wybory. Szefowie opozycyjnych partii próbują wprawdzie obarczyć prezydenta odpowiedzialnością za inflację, wszak to wskutek jego decyzji prezesem NBP jest i ma być na kolejną kadencję prof. Adam Glapiński, ale te głosy są coraz cichsze.

Jeśli Andrzej Duda jest „nietykalny", to media sprzyjające opozycji zaczęły go nawet chwalić (jak TVN24). Robią to też politycy opozycji, licząc, że to głaskanie nastawi do nich przyjaźnie głowę państwa. Ale zawieszenie ataków na prezydenta rekompensują sobie uderzeniem w premiera Mateusza Morawieckiego, wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego i wicepremiera Jacka Sasina. Bo muszą się jakoś wypromować na alternatywę dla obecnego rządu.

Nieudana i banalna opozycyjna debata o konstytucji w związku z 25-leciem jej przyjęcia nie miała na celu promowania konstytucji, lecz nowej hierarchii liderów w Polsce, czyli Donalda Tuska, Szymona Hołowni, Władysława Kosiniaka-Kamysza, Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia. Przy tej okazji nie promowano Rafała Trzaskowskiego, bo zagrażałby przywództwu Donalda Tuska.

Także to, że opozycja tworzy apokaliptyczny obraz kryzysu w Polsce, ma wpłynąć na zgodę wyborców, by wywrócić obecne hierarchie władzy. Kryzys, i to ten dotyczący przede wszystkim sytuacji materialnej Polaków, ma być obiektywnym uzasadnieniem konieczności przewrotu w polskiej polityce. Sukcesy rządzących (co wzmacniałoby premiera Morawieckiego czy wicepremiera Kaczyńskiego) w radzeniu sobie z ogromną falą uchodźców wojennych są przypisywane samorządom i pospolitemu ruszeniu obywateli, a państwo i rządzący są pokazywani jako przeszkoda – głównie w dostępie do pieniędzy z Unii Europejskiej, bez których uchodźcy tylko pogłębią istniejący w Polsce kryzys.

Liderom opozycji, a głównie Donaldowi Tuskowi chodzi o to, żeby rządzących przedstawić jako tych, którzy nie tylko się już skończyli, ale wręcz muszą uciekać z tonącego okrętu, bo sobie nie poradzili i obawiają się zemsty ludu. Nieważne, że to pobożne życzenia, ważne, żeby wdrukowywać społeczeństwu, iż obecna władza jest „na wylocie" i realnie boi się gniewu ludu. Nawet jeśli ten lud w dużo większym stopniu popiera PiS niż całą opozycję. To wdrukowywanie strachu wobec rządzących, którzy rzekomo stracą władzę, gdy tylko dojdzie do wcześniejszych wyborów, ma pokazać, że przejęcie władzy przez obecną opozycję jest pełnym troski wzięciem na siebie odpowiedzialności za Polskę, a nie zwykłym skokiem na posady i przywileje.

Generalny cel opozycji i jej liderów jest taki, żeby zmianę władzy wskutek przedterminowych wyborów uzasadnić jako przegonienie szkodników (przede wszystkim w sferze socjalnej i materialnej), a siebie przedstawić jako odpowiedzialnych ratowników. Dlatego potrzebny jest obraz wszechogarniającego kryzysu, z wojną na wschodzie jako dodatkowym zagrożeniem, z którym obecna władza sobie nie radzi, choć jest akurat odwrotnie. A postawa rządów Donalda Tuska i Ewy Kopacz wobec Rosji i Władimira Putina jest wręcz aktem oskarżenia wobec nich i ich formacji, bo ugruntowali i pogłębili poczucie bezkarności rosyjskiego satrapy oraz dali mu świadectwo moralności, na które w żadnym wypadku nie zasługiwał. Dlatego teraz atakują PiS za kontakty z Marine Le Pen czy Matteo Salvinim oraz bliskie związki z Viktorem Orbánem jako „ludźmi Putina". Zapomnieli, że sami nie tylko mieli dużo bliższe związki z prawdziwymi dobrodziejami Putina, jak Angela Merkel, a nawet bywali w Moskwie nazywani (jak Donald Tusk) „naszym człowiekiem w Warszawie".

> Donald Tusk, a za nim inni liderzy opozycji uznali, że jeśli będzie się głośno mówiło o konieczności przyspieszonych wyborów, to znaczy, że nie tylko się ich nie boją, ale są pewni zwycięstwa. I tak chcą zaczarować swoją bezradność

Absolutnie błędnie większość opozycji, a PO w szczególności, oceniła atak przeprowadzony z udziałem imigrantów pchanych do Polski przez Białoruś, co było ewidentnie częścią planu agresji na Ukrainę. I gdyby to oni rządzili, bomba demograficzna zrobiłaby swoje i bardzo utrudniła bądź wręcz uniemożliwiła przyjmowanie w Polsce milionów uchodźców wojennych z Ukrainy.

HISTORYCZNE MANOWCE

PR-owcy doradzający Donaldowi Tuskowi czy Szymonowi Hołowni przygotowują nie tylko uzasadnienia wcześniejszych wyborów, głównie te katastroficzne w sferze gospodarki, finansów i bezpieczeństwa zewnętrznego. Podsuwają im także pomysły, jak wywierać presję na rządzących i ich wyborców oraz szerzej na opinię publiczną. Jeden z takich pomysłów podsuwany Tuskowi zakłada wdrukowanie opinii publicznej, a nawet samym rządzącym, przekonania, że jednym wyjściem jest dla nich ucieczka. Nie taka jak władz II RP we wrześniu 1939 r., ale mająca sugerować podobne bankructwo całej koncepcji rządzenia. Takie analogie, choć całkowicie zakłamane, mają się pojawić w kampanii, a wcześniej w narracjach uzasadniających przyspieszone wybory. Gdyby udało się zrealizować scenariusz wcześniejszych wyborów i odpowiednio zmanipulować wyborców, co jest raczej niewykonalne, liderzy opozycji mieliby dostać dodatkową premię. Jako ci, którzy doprowadzili do wcześniejszych wyborów, mimo że wydawało się to nierealne. I jako ci, którzy uratowali Polskę, w dodatku w najbardziej niebezpiecznym momencie jej istnienia po 1989 r. To miałoby liderom opozycji zapewnić rządzenie przez kilka kadencji, tym bardziej gdyby zmieniali się na stanowisku premiera.

Snucie takich scenariuszy pokazuje oderwanie opozycji od rzeczywistości i kompletną nieznajomość własnego społeczeństwa, ale widocznie nie widzi ona innej możliwości dorwania się do władzy. Na razie zyskała tylko tyle, że znowu mówi się o wcześniejszych wyborach. I tylko się mówi.

Reklama | 39/0222/F

eprasa.pl b54370957a

PRZYSZŁOŚĆ JEST
Z MIEDZI

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com

KGHM
POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl b54370957a

Urodziny Pana Janka

Jan Pietrzak to ojciec chrzestny polskiego kabaretu i kilku znakomitych karier. Robiony przez niego kabaret był świetną rozrywką, znakomite porozumienie z publiką politycznym dynamitem, a liryczne pieśni „Żeby Polska była Polską", „Święte słowa", „Panie kontrolerze" nadal poruszają. Twardy chłopak z Targówka kończy 85 lat

eprasa.pl b54370957a

MACIEJ WALASZCZYK

„Powtarzamy lekcję polskiej geografii:
Tutaj wschód, tam zachód,
szkopy i kacapy.
Niezmiennie, codziennie szarpią,
atakują
I tak od stuleci, złodzieje i zbóje".

Tekst z piosenki „Lekcja geografii" Jana Pietrzaka świetnie pasuje do obecnej sytuacji. Wojna Rosji z Ukrainą i bezpośrednie niebezpieczeństwo dla Polski to taki trochę niechciany prezent na 85. jubileusz jego urodzin. – Nie spodziewałem się tego, choć wiadomo, że Rosja jest państwem agresywnym i imperialnym. Skala zajadłości i nienawiści, które z nich wyłażą, jest czymś potwornym – mówi w rozmowie z naszym tygodnikiem znany satyryk. Jest w znakomitej formie. Występuje, śpiewa, komentuje.

Jan Pietrzak to prawdziwy warszawiak z Targówka, którego dzieciństwo mijało w ruinach Warszawy. Widział podpalanie własnego domu, zburzenie stolicy przez Niemców.

– Żyłem dokładnie w takim mieście jak zrujnowany Mariupol, wychowywałem się w gruzach, widziałem bomby lecące na nasze głowy. Z tego punktu widzenia jest to jakiś koszmar, który do mnie powrócił – przyznaje. Szybko ujawnia instynkt satyryka i odmalowuje Władimira Putina jako skrzyżowanie stereotypowych ruskich typów: agenta Stirlitza i Czapajewa.

– Putin jest groteskową postacią z tą swoją nienawiścią i szaleństwem. Znamy ich z najgorszej strony – mówi Jan Pietrzak. Max Otto von Stirlitz to postać fikcyjna z sowieckiego filmu szpiegowskiego „17 mgnień wiosny", a Wasilij Czapajew to uwieczniony w sowieckiej kulturze bolszewicki dowódca z czasów wojny domowej, który stał się obiektem powszechnych kpin, dowcipów i anegdot.

Młody Jaś w wieku 10 lat palił już papierosy, pił wódkę i uczył się życia. Dlatego matka postanowiła wysłać go do Korpusu Kadetów im. gen. Karola Świerczewskiego w Jeleniej Górze, gdzie ukończył również Oficerską Szkołę Radiotechniczną. Tam nauczył się też grać na gitarze. Dzięki temu debiutował na scenie, występując w wojskowym zespole podczas uroczystości, potańcówek, studniówek. – To był w moim życiu przełom, bo dowiedziałem się, że ktoś chce mnie słuchać – wspominał po latach.

„UMÓWMY SIĘ, ŻE JEST DOBRZE…"

Od 1960 r. był związany z klubem studenckim Hybrydy jeszcze na ul. Mokotowskiej. Trafił tam, recytując „W malinowym chruśniaku" Leśmiana. Dość szybko został kierownikiem teatru, wokół którego skupiła się spora grupa młodych artystów. Ci buntownicy stali się wielkimi gwiazdami. Po kilku latach władze krzywo spojrzały na ich twórczość i w 1967 r., po tekście w „Walce Młodych", kabaret zamknięto. – Dla mnie to było szokujące. Młodzi ludzie robili sobie żarty, czasem frywolne. Nagle postawiono nam zarzuty, że walczymy z ustrojem – opowiada. Wtedy uświadomił sobie, że to, co robi, ma dużą siłę oddziaływania. Na występy przychodziła inteligencja, elita, np. sędziwi profesorowie Tadeusz Kotarbiński i Władysław Tatarkiewicz, pisarze Melchior Wańkowicz, Leopold Tyrmand, Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Konwicki, Stanisław Dygat. I to dostrzegły władze PRL.

> Żyłem dokładnie w takim mieście jak zrujnowany Mariupol, wychowywałem się w gruzach, widziałem bomby lecące na nasze głowy. Z tego punktu widzenia jest to jakiś koszmar, który do mnie powrócił – mówi Jan Pietrzak

W 1968 r. powstał działający do dzisiaj Kabaret pod Egidą – pod egidą radiowej Trójki i Towarzystwa Sztuk Pięknych. – Znalazł się taki odważny człowiek, który nas przygarnął. Do sali na ul. Chmielnej 5 można było upchać najwyżej sto osób – wspomina satyryk. To wszystko działo się chwilę przed protestami studenckimi z marca 1968 r.

– Szybko rozeszło po Warszawie, że robimy coś ciekawego. Chodziło o styl mówienia, którego nikt wcześniej nie stosował. Wynikało to pewnie ze zbioru osobowości, które skupiliśmy, tekstów i tematyki, które były odmienne od wszystkiego, co działo się w naszej branży zajmującej się głównie tzw. obyczajówką – tłumaczy. W piwnicach na Chmielnej śmiano się z polityki mieszkaniowej państwa, uchwał biura politycznego, wrzucano aluzje o Związku Radzieckim. – Wszystko zakamuflowane. To się podobało. Ludzie przyjmowali występy hucznymi owacjami – opowiada Pietrzak.

Zaskakujące, że odbywały się one późnym wieczorem, a więc wtedy, gdy aktorzy wracali po skończonych przedstawieniach w swoich teatrach, żeby zagrać w kabarecie. I to był jeden ze świetnych pomysłów organizacyjnych Pietrzaka.

– Kabaret to forma towarzyska. My się po występie nie rozchodziliśmy – wyjaśnia. Dzięki jego zachętom Hybrydy i Kabaret pod Egidą ujawniły wiele talentów. Wśród nich byli Jonasz Kofta i Adam Kreczmar, ale także m.in.: Wojciech Młynarski, Barbara Krafftówna, Anna Prucnal, Jan Raczkowski, Wojciech Siemion, Jan Stanisławski, Ewa Błaszczyk, Ewa Dałkowska, Krzysztof Daukszewicz, Paweł Dłużewski, Jerzy Dobrowolski, Piotr Fronczewski, Janusz Gajos, Edyta Geppert, Kazimierz Kaczor, Marek Majewski, Wojciech Pszoniak. Z Pietrzakiem współpracowali muzycy i kompozytorzy Krzysztof Paszek, Włodzimierz Korcz, Marek Sart (Jan Szczerbiński) oraz autorzy tekstów, np. Daniel Passent, Ryszard Marek Groński, Agnieszka Osiecka.

– Wszystko odbywało się na planie towarzyskim. Byliśmy tym samym pokoleniem, mieliśmy dwadzieścia kilka lat. Piotrek Fronczewski przychodził do nas jeszcze jako student. Dla wielu aktorów pewnym wyzwaniem było sprawdzić się

Fot. Mateusz Zelnik

eprasa.pl b54370957a

w kabarecie – zauważa. Czy to się komuś dziś podoba, czy nie, Jan Pietrzak to ojciec chrzestny polskiego kabaretu.

Losy Kabaretu pod Egidą nie były jednak wcale łatwe, to – jak mówił satyryk – głównie ciąg „nieuzasadnionych przerw w pracy". Także po 1989 r. zrobiono wiele, by nie dopuścić do jego normalnego funkcjonowania. Jak mówi, prawdziwy satyryk płaci wysoką cenę za odwagę żartowania z nadętych wielkości. I to się sprawdziło. – Najpierw w czasach PRL zamykano nas formalnie. A po 1990 r. nieformalnie stała za tym rządząca kulturą michnikowszczyzna. W latach 90. nie mogłem grać w żadnym lokalu w stolicy i ubolewam, że teraz w Warszawie nie mam stałego miejsca. W dalszym ciągu w wielu miastach w Polsce jestem zakazany. Z powodów politycznych, nie artystycznych – tłumaczy.

W latach 90. kabaret występował w Krakowie i Bytomiu. A w czasach PRL nieustannie zmieniał siedziby, zaliczając po drodze „katakumby" na Chmielnej 5, bar Melodia przy Nowym Świecie, pierwsze piętro hotelu MDM na pl. Konstytucji, salę w hotelu Forum czy przy ul. Elektoralnej.

Pietrzak to solidny zawodowiec czujący odpowiedzialność za zespół, którym kieruje. Z czasów Kabaretu pod Egidą pozostała anegdota, że gdy wyjechali na występy dla Polonii amerykańskiej, zorganizował jego młodszą wersję pod szyldem Młoda Egida. Dzięki temu lokal, w którym wówczas występowano, nie został odebrany np. pod pretekstem remontu. W 2014 r., gdy współorganizował wielkie odtańczenie poloneza na pl. Zamkowym z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja, kilka godzin przed wydarzeniem dostał zawału serca. Nie pozwolił się odwieźć do szpitala i na własną odpowiedzialność pozostał w domu, by po południu być na miejscu.

„CZY TE OCZY MOGĄ KŁAMAĆ?"

Słynny program Kabaretu pod Egidą z 1980 r. Pietrzak, witając widownię, rzuca: „Na początku umówimy się, że to jest program dobry... Nieważne, jak jest, ważne, jak się umówimy. Poza tym przez tyle lat umawialiśmy się, że jest dobrze, że dla państwa nie powinno to stanowić większego problemu". Publiczność w warszawskich Hybrydach w lot chwyta aluzję. To działa latami. Już od początku pracy w Hybrydach program obmyślany był tak, by szukać luk, w których można sformułować sądy odbiegające od obowiązującej linii partii i cenzury. Cenzorzy czasem przymykali oko, często jednak ograniczali wolność wypowiedzi. Wysubtelniając formę i styl. „Czasem nie rozumieli, co ja mówię. Publiczność się śmieje, a oni zdurnieli" – wspominał w jednym z wywiadów.

Dlatego jego kabaret pełen był aluzji. Ale także tematów, z których nie każdy mógł być oficjalnie poruszony. „Tak się poruszają, że nie można ich dogonić" – śmiał się, tłumacząc publiczności lat 80., że „gra się tak, jak przeciwnik pozwala".

> „Żeby Polska była Polską" powstała zaraz po robotniczych protestach w Radomiu. – Ludzie trochę zdezorientowani oglądali się za siebie, patrzyli jeden na drugiego. Było trochę nerwowo – wspomina Jan Pietrzak jej pierwsze wykonania

Kabaret był satyrą wyrastającą z życia w PRL. Jej obiektem głównie ludzie władzy i ich gabinetowo-wiecowo-telewizyjne oblicze, a komunistyczna propaganda odbijała się w krzywym zwierciadle znakomitych monologów. Celebra i nadęcie partyjno-państwowych przedstawień w ciągu jednego wieczora odzierane były ze swojej sztucznej powagi. Nieustannym celem szyderstw były rządowe narady, parodiowanie telewizyjnych ekspertów, ministrów, sekretarzy partyjnych wszystkich szczebli. Mówienie o zależności od Sowietów okazywało się banalnie proste. Bo dokąd mógł pojechać po instrukcje jakiś sekretarz PZPR? Nigdy wprost do Moskwy, ale najwyżej „tam", to znaczy „jakby u nas, ale właściwie niezupełnie, bo za rogiem, kawałek w tamtą stronę, a potem tam dalej". Przecież tylko podczas odbywającego się „tam jakby u nas" kongresu pokojowego można podjąć uchwałę, że „pokój jest lepszy od wojny". „Tydzień im zajęło, zanim na to wpadli" – szydził Pietrzak z państwa grożącego światu wojną atomową. „Cyfry opanowałem w szkole arabskie, tyle lat temu, a już wiedzieli, że raczej arabskich się trzymać" – to o braku relacji dyplomatycznych PRL z Izraelem. A jak w jednym zdaniu ująć paradoks życia w zarządzonej przez reżim Jaruzelskiego odnowie narodowej po stanie wojennym? „Niedawno mówiło, że my teraz znowu razem, i że ono też my. Jak ono my, to my kto?".

Komunikacja z widzem była znakomita. Widownia w lot chwytała sparodiowane fragmenty gazetowych artykułów albo samych przemówień, np. Władysława Gomułki, które w kabarecie cieszyły się dużym powodzeniem. Jak tłumaczył satyryk, wystarczyło zmienić tembr głosu i każda brednia przechodziła jako cytat z Gomułki.

Propaganda ciągle inspirowała niekończącym się „serialem w odcinkach" wałkującym relacje ze żniw, kampanii cukrowniczych czy budowy Huty Katowice. „Nie było wieczora bez spustu surówki. Nie było jeszcze huty, a już tę surówkę nam lali" – szydził z paradoksów socjalizmu. Wystarczyło publice przypomnieć, że zgodnie z Marksem kryzysy są wynikiem „nadmiaru produkcji". Dokładnie wtedy kraj od lat znajdował się w stanie permanentnego kryzysu gospodarczego, którego głównym problemem był permanentny brak. „Ciągłe wytykanie bolesnych stron naszego położenia, bezcelowe naigrywanie się z sytuacji gospodarczej są łatwym żerem do śmiechu dla publiczności, ale są jednocześnie okrutnym błędem programowym, nie tędy droga do rozrywki, trzeba coś z tym zrobić" – pisała w jednym z donosów TW Zadra, aktorka teatru Syrena.

Jan Pietrzak musiał znaleźć drogę między tym, co było oficjalnie możliwe, a mówieniem ze sceny znacznie więcej i wyraźniej. „Człowiek zanurzony w cieczy traci na wadze, ale zanurzony w g... traci na odwadze" – tłumaczył w słynnym programie Kabaretu pod Egidą z roku 1980. Wyrastając z PRL, z rodziny o korzeniach komunistycznych, w jakiś sposób przyczynił się do jego demontażu. Kabarety

eprasa.pl b54370957a

Jan Pietrzak i Jonasz Kofta w klubie studentów Hybrydy. Program nosił tytuł „Uśmiech z erratą". Składał się niemal wyłącznie z piosenek – dowcipnych i złośliwych. Reżyserował Jan Pietrzak. Warszawa, marzec 1965 r.

z przełomu lat 70. i 80. wpłynęły na świadomość pokolenia Solidarności, które do socjalizmu nie pasowało. Pietrzak potrafił to świetnie opisać. „Dopasujcie nasz kraj do naszego charakteru, bo nie wyjdzie odwrotnie" – śpiewał.

„ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ"

Piosenka pojawiła się w Kabarecie pod Egidą w końcu lat 70. Jej premiera miała miejsce w 1977 r. w barze Melodia. Satyryk wspomina, że „Żeby Polska była Polską" powstała zaraz po robotniczych protestach w Radomiu. – Ludzie trochę zdezorientowani oglądali się za siebie, patrzyli jeden na drugiego. Było trochę nerwowo – wspomina jej pierwsze wykonania. Na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w 1981 r. przyniosła mu główną nagrodę. A w czasie tzw. karnawału Solidarności pieśń stała się jej hymnem. Już po 1990 r. doradcy z Warszawy skłonili Solidarność, by zmieniła sobie hymn, bo ten jest... nacjonalistyczny.

– „Żeby Polska była Polską" to pieśń nadziei i refleksji o wolnej Polsce. Zapraszano mnie i młodziutkiego Jacka Kaczmarskiego na wiece, masówki, spotkania w halach fabrycznych. Jeździliśmy po całej Polsce. To była zupełnie niezwykła sytuacja – wspomina. To ważna cezura, która zmieniała życie artysty. Wtedy rozeszły się też jego drogi np. z autorami związanymi z tygodnikiem „Polityka" i innymi.

– Solidarność spowodowała sytuację, że trzeba było się za czymś opowiedzieć. Wybuchały awantury, wmawiano mi, że „Żeby Polska była Polską" jest pieśnią polskiego nacjonalizmu, a już stan wojenny był ostateczną granicą. Dla mnie bunt Solidarności był sprawą zupełnie niezwykłą, która jednoznacznie związała mnie z ideą wolnej Polski – tłumaczy.

Stan wojenny zastał Jana Pietrzaka w Stanach Zjednoczonych. „Let Poland be Poland" to tytuł programu telewizyjnego wyreżyserowanego przez Marty'ego Pasettę, w którym angielską wersję pieśni „Żeby Polska była Polską" zaśpiewał sam Frank Sinatra. Było to w styczniu 1982 r., kilka tygodni po wprowadzeniu stanu wojennego. Mimo oferty pozostania w USA, pomocy ze strony administracji prezydenta Ronalda Reagana Jan Pietrzak nie zdecydował się na emigrację i w tym samym 1982 r. powrócił do Warszawy. Zrobił coś zupełnie odwrotnego niż tysiące rodaków w tym czasie.

Przesłanie „Żeby Polska była Polską", „Świętych słów" i „Panie kontrolerze" pozostaje aktualne. „Zakazane kwiaty" powróciły z tekstem nawiązującym do wydarzeń z 2010 r. Usuwanie przez służby porządkowe kwiatów i zniczy składanych dla ofiar katastrofy smoleńskiej było powtórką z takich samych sytuacji, ale czasu stanu wojennego, gdy z pl. Zwycięstwa milicja zabierała kwiaty i krzyż składane w miejscu papieskiej celebry z czerwca 1979 r.

„DO ZOBACZENIA W WOLNEJ POLSCE"

Tymi słowami Jan Pietrzak często kończył swoje występy. Po zmianie ustrojowej III Rzeczpospolita często rozczarowywała. Demokracja oznacza ciągły konflikt, upolitycznienie wszystkiego, a w ostatnich latach społeczne rozdarcie, nawet próby interwencji za granicą. Spór polityczny dotyka często spraw podstawowych. Samego istnienia Polski jako niepodległego państwa, obyczajów i tradycji narodowych, kultury. Podważane są rzeczy oczywiste. Jan Pietrzak reagował więc ostro, doczekując się z liberalnych mediów niesprawiedliwych opinii „zażartego i ślepo ksenofobicznego" nacjonalisty, odsłaniającego „kompleksy, resentymenty, niezrealizowane ambicje". A teraz wojna u granic Polski. W publikowanych w ostatnich latach felietonach przyznawał, że sprawność państwa – strażnika demokratycznych reguł gry – „mierzy się umiejętnością rozwiązywania tych konfliktów, sporów, batalii, małych wojenek". – Polityczny konflikt jest wpisany w demokrację. O polską demokrację się nie boję – mówi ze spokojem.

– W sytuacji, w której Polska się teraz znalazła, chodzi o wprowadzenie porozumienia społecznego, ułożenia spraw na nowo, oczyszczenie naszej rzeczywistości z ludzi, którzy służą komu innemu – tłumaczy. I choć, jak przyznaje, czas jest dramatyczny, to jest przekonany, że sprawy polskie znajdują się dobrych rękach. – Ja bym się jakoś szczególnie nie załamywał. Możemy teraz poobserwować zachowanie pana Tuska i innych. Gdyby dziś rządzili Polską, byłby dramat – dodaje.

Fot. PAP/CAF/Zbigniew Matuszewski, Mateusz Zelnik

eprasa.pl b54370957a

Dowód, że talent to cecha dziedziczna

DOROTA ŁOSIEWICZ

Jest niezwykle utalentowany, zdolny, wrażliwy i skromny. Krystian Ochman, zwycięzca „The Voice of Poland", wnuk wybitnego polskiego tenora Wiesława Ochmana, powalczy w Turynie o zwycięstwo Polski w muzycznym konkursie Eurowizja 2022

Najpopularniejsze w Europie widowisko muzyczne, w którym o Grand Prix zawalczą reprezentanci 40 krajów, w tym Polski, rozpocznie się 10 maja br.

Reprezentantem naszego kraju jest Krystian Ochman, który z piosenką „The River" w lutym wygrał lokalne eliminacje, pokonując dziewięciu innych artystów. Ochmana zobaczymy w drugim półfinale, 12 maja. Finał konkursu odbędzie się 14 maja.

Bukmacherzy typują, że wokalista może zająć miejsce w pierwszej piątce konkursu, a nawet stanąć na eurowizyjnym podium. Gdyby tak się stało, Krystian Ochman powtórzyłby sukces Edyty Górniak sprzed 28 lat. Wówczas w Dublinie wokalistka z utworem „To nie ja" zajęła drugie miejsce. Dziennikarze muzyczni podkreślają, że na Eurowizji najważniejsze jest to, żeby się wyróżniać, a młody artysta wyróżnia się osobowością, głosem i piosenką, która jest jedyna w swoim rodzaju.

„Uważam, że jest to jedna z najciekawszych osobowości w tej chwili na polskim rynku muzycznym. Jest człowiekiem, który opowiada muzyką absolutnie zjawiskowo, jest charyzmatyczny, jest osobowością mimo młodego wieku, ale jest bardzo świadomym artystą, który kiedy wychodzi na scenę, to wie, po co tam jest" – mówił w „Wiadomościach" TVP Marcin Kusy, dyrektor I Programu Polskiego Radia.

„Krystian jest artystą bardzo wrażliwym, a jego głos jest absolutnie magiczny. Ta polska prezentacja zostanie zapamiętana" – przekonywał w spocie podczas konferencji prasowej Krystiana Ochmana tancerz i juror Agustin Egurrola.

„Krystian to naturalna klasa, kultura osobista, przepiękny głos, pracowitość i wreszcie piękny utwór" – dodawała Edyta Górniak.

> Bukmacherzy typują, że polski wokalista może zająć miejsce w pierwszej piątce konkursu Eurowizji, a nawet stanąć na podium. Gdyby tak się stało, Krystian Ochman powtórzyłby sukces Edyty Górniak sprzed 28 lat

Debiutancka płyta Krystiana pod tytułem „Ochman" osiągnęła od razu status złotej, a teledyski artysty w internecie obejrzało już ponad 10 mln osób. „The River" ma w tej chwili ponad 3 mln odsłon.

Krystian Ochman ma 22 lata, urodził się i wychował w Stanach Zjednoczonych. Do Polski przyjechał cztery lata temu. Wtedy trafił do Akademii Muzycznej w Katowicach pod skrzydła prof. Jana Ballarina. O młodym Ochmanie jest głośno od momentu, gdy półtora roku temu pojawił się na scenie „The Voice of Poland". Tu pokazał swoją charyzmę oraz talent i głosami widzów został zwycięzcą 11. edycji muzycznego show. Później to do niego trafiła nagroda publiczności na Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu.

Młody artysta często opowiada o swojej rodzinie. Jego ojcem jest Maciej Ochman, znany z zespołu Róże Europy, a dziadek to Wiesław Ochman, słynny śpiewak operowy.

„Jak ktoś mnie rozpoznawał na Plantach, to mówił: »O idzie pan Ochman«, a teraz mówią: »O, idzie dziadek Krystiana«" – żartował w Polskim Radiu słynny tenor.

– W świecie, w którym większość z nas działa w olbrzymim stresie, nieustannie myślimy o tym, co przed nami i próbujemy zaplanować przyszłość. Z różnych powodów podskórnie towarzyszy nam mnóstwo wątpliwości na temat tego, co nas czeka. Piosenka opowiada o tym, jak bardzo chcemy i potrzebujemy przerwy od całego tego zgiełku – tak o utworze „The River" mówi nam Krystian Ochman.

„Ponieważ on poszedł teraz jak burza w tym kierunku, to chciałbym, żeby tam też osiągnął jak najlepszy wynik" – komentował w TVP 1 prof. Jan Ballarin udział Ochmana w konkursie Eurowizji.

eprasa.pl b54370957a

Chcę zwyciężyć głosem

Z Krystianem Ochmanem rozmawia Dorota Łosiewicz

Czuje się pan dojrzałym artystą?

Krystian Ochman: Na pewno chciałbym mieć dojrzałe podejście do tego, co robię, do mojej pracy. Umieć się na niej skupić w dojrzały sposób, mieć taką dynamikę pracy, jak dojrzały artysta. Chciałbym umieć dokonywać właściwych wyborów, umieć rozróżnić, co jest najważniejsze w danej sytuacji. O sobie tego, że jestem dojrzałym artystą, jeszcze nie powiem, bo na pewno wciąż muszę pracować. Dojrzały artysta to taki, który jest pewny priorytetów, dokonuje właściwych wyborów, mądrze decyduje.

Na scenie czy w życiu?

Głównie w życiu. Scena jest już finałem pasma życiowych decyzji podjętych wcześniej. Od tego, jak zaprezentujemy się na scenie, będzie zależała nasza przyszłość, ale od decyzji podjętych wcześniej zależy, jak wypadniemy na scenie. Przykładowo, gdybym prowadził rozrywkowy tryb życia, co dzień wychodził na miasto, pił alkohol, to efekt na scenie byłby zupełnie inny, niż jest. Nie umiałbym się też pewnie skoncentrować odpowiednio na śpiewie. Wszyscy patrzą na tę chwilę, gdy jesteśmy na scenie, ale mało kto wie, jak się do tego dochodzi.

A co jest w życiu najważniejsze?

Na pierwszym miejscu jest rodzina. Potem szacunek do innych ludzi. Cały czas nad tym pracuję, nikt nie jest idealny. Spotykamy w życiu różnych ludzi. Oni nie wiedzą, co się dzieje w naszym życiu, a my nie znamy ich historii. Dlatego zawsze trzeba starać się rozumieć innych, być uprzejmym, życzliwym. Sam chciałbym być w ten sposób w życiu traktowany. Trzymam się więc zasady, żeby traktować innych tak, jak chciałbym, żeby podchodzono do mnie.

Podobno wybiera się pan na Eurowizję z całą rodziną?

Oni są dla mnie bardzo ważni. Wspierają mnie. To, kim jestem dzisiaj, zawdzięczam mojej rodzinie. Przynajmniej w dużej części. To oni dają mi narzędzia do odniesienia sukcesu, popychają mnie naprzód, wskazują właściwy kierunek. Oczywiście nikt mnie do niczego nie zmusza, ostateczny efekt zależy ode mnie. Ale bez ich wsparcia i podpowiedzi byłbym w innym punkcie. Gdy jesteśmy młodsi, nie potrafimy docenić, że rodzina chce dla nas dobrze, że ich pomoc może się w przyszłości okazać bezcenna. Jestem wdzięczny, że zostałem popchnięty w dobrym kierunku. Dziadek udzielał mi w życiu dobrych rad. Podpowiedział, żebym się przeprowadził do Polski i poszedł na studia muzyczne w Katowicach. Rodzice także podpowiadali tę ścieżkę. I to był dobry pomysł.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl b54370957a

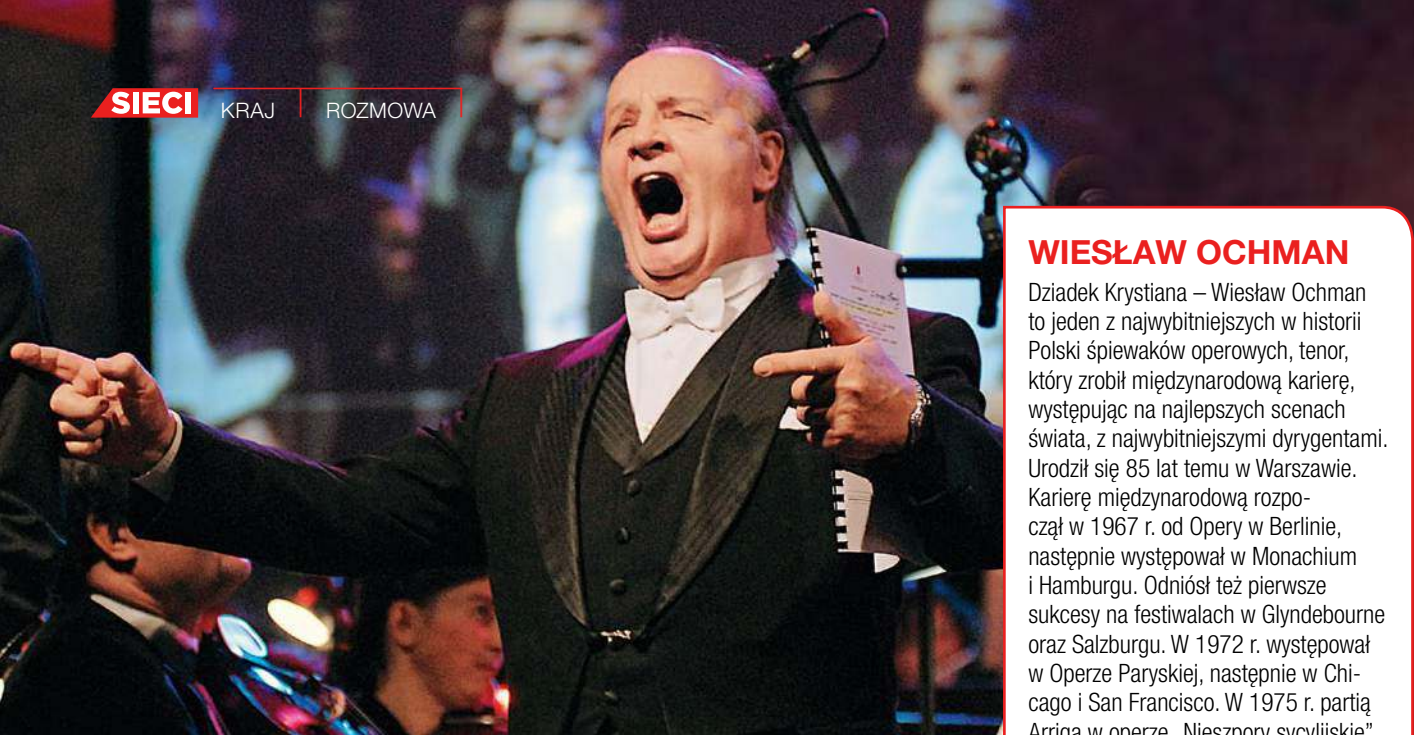

Fot. Niemiec/AKPA

WIESŁAW OCHMAN

Dziadek Krystiana – Wiesław Ochman to jeden z najwybitniejszych w historii Polski śpiewaków operowych, tenor, który zrobił międzynarodową karierę, występując na najlepszych scenach świata, z najwybitniejszymi dyrygentami. Urodził się 85 lat temu w Warszawie. Karierę międzynarodową rozpoczął w 1967 r. od Opery w Berlinie, następnie występował w Monachium i Hamburgu. Odniósł też pierwsze sukcesy na festiwalach w Glyndebourne oraz Salzburgu. W 1972 r. występował w Operze Paryskiej, następnie w Chicago i San Francisco. W 1975 r. partią Arriga w operze „Nieszpory sycylijskie" Verdiego zadebiutował na scenie nowojorskiej Metropolitan Opera, w której występował przez kolejne 15 sezonów. Śpiewał także na scenach m.in. mediolańskiej La Scali (1982), Gran Teatre del Liceu w Barcelonie i Opery Wiedeńskiej oraz w operach w Buenos Aires, Madrycie, Moskwie, Rzymie i Sewilli. Uczestniczył w festiwalach muzycznych z udziałem m.in. Wiener Philharmoniker i Berliner Philharmoniker pod dyrekcją Herberta von Karajana i Karla Böhma. Po 1999 r. zajął się reżyserią, wystawił w bytomskiej Operze Śląskiej: „Don Giovanniego" Mozarta, „Traviatę" Verdiego oraz „Carewicza" Lehára. Osobną dziedziną artystyczną działalności Ochmana była muzyka oratoryjna. Nagrywał dla firm fonograficznych, takich jak Deutsche Grammophon, Polydor, EMI, Decca, Supraphon, Polskie Nagrania i Muza.

Dlaczego?

Poznałem wyjątkowego prof. Jana Ballarina i jestem bardzo wdzięczny, że mogłem pracować z tak wspaniałą osobą. Jest dla mnie jak drugi ojciec, jest moim mentorem, inspiracją. Bez niego nie byłbym w tym miejscu, w którym jestem. Nauczył mnie pokładać zaufanie w głosie. On mi zawsze mówił: „Głowa do góry i po męsku". Kiedyś bardzo stresowałem się egzaminami. On mi mówił, żeby się skoncentrować na tym, co muszę zrobić i wszystko będzie dobrze. Studia bardzo poszerzyły mi horyzonty, dużo dowiedziałem się o historii muzyki. To nie była tylko nauka śpiewu, ale dużo więcej. Przez dwa pierwsze lata uczyłem się włoskiego, to też mi dużo dało.

Urodził się pan i wychował w USA. Jak bardzo różni się życie młodych ludzi w Polsce i Stanach Zjednoczonych?

W Polsce zaskoczył mnie stosunek do kobiet, które są o wiele lepiej traktowane niż w Stanach. Większy jest szacunek do nich. Poza tym kobiety same mają do siebie większy szacunek. W USA nie otwiera się kobietom drzwi, nie podstawia krzesła. Amerykanie mają do wszystkiego bardziej otwarte i luźne podejście. Polacy są trochę bardziej zamknięci niż Amerykanie. W Polsce trzeba się napracować, żeby zasłużyć na zaufanie, ale w ten sposób tworzą się głębsze relacje, a co za tym idzie, trudniej zostać oszukanym, wystawionym do wiatru. Więzi między ludźmi są dzięki temu głębsze. Natomiast taka amerykańska otwartość i luz ułatwiają rozmowę, pierwszy kontakt. Jeśli chodzi o moją branżę, to inne jest też podejście do muzyki. Trendy z USA z dużym opóźnieniem trafiają do Polski. Jeśli chodzi o priorytety młodych ludzi, to jednak zależą od osoby. Wszędzie są tacy, którzy skupiają się na pieniądzach i karierze, na pracy, bo chcą być finansowo niezależni, stabilni. Wszędzie są też ludzie, dla których najważniejsza jest rodzina. To już nie zależy od kraju, tylko od człowieka. Wszędzie to życie uczy i wychowuje. Wszędzie można spotkać ludzi, którzy chcą się tylko bawić, i takich, którzy koncentrują się na pracy.

W kontekście tej otwartości zapytam więc, czy zaskoczyło pana, jak Polacy otworzyli się na uchodźców z Ukrainy?

To jest wspaniałe. Polacy okazali pomoc tym, którzy jej potrzebują. Świetnie, że wspieramy Ukraińców, nie postawiliśmy żadnych granic, jeśli chodzi o liczbę uchodźców. Nie wyobrażam sobie, żeby nie pomóc w sytuacji wojny. Wspaniale zachowali się też wolontariusze. Bardzo szanuję tych wszystkich, którzy zostawili swoje życie, zrezygnowali ze snu, żeby pomagać. To wyjątkowe. Nie wystarczy mówić, że jest się przeciwko wojnie, nie wystarczy o tym śpiewać. Trzeba coś robić. I Polacy pokazali, że potrafią. Niestety wojna trwa.

Czy podczas Eurowizji powinno się dużo mówić o wojnie?

Świat musi pokazywać, że jest przeciwny wojnie. Świat artystyczny musi pokazywać, że stoi przy Ukrainie. Dlatego dobrze, żeby podczas Eurowizji nie zabrakło takich akcentów. Tylko nie na siłę. Ja nie jestem politykiem, ale artyści też muszą pokazywać, po której są stronie.

Jak chce podbić pan serca publiczności podczas Eurowizji?

Głosem, emocjami, postawą na scenie. Chcę po prostu jak najlepiej zaśpiewać. Dać z siebie wszystko. W piosence „The River" jest dużo dramaturgii, refren się trochę różni od całości i nie chciałbym, żeby ta energia spadła, więc głosowo

Reklama | 23/0222/F

eprasa.pl b54370957a

TAURON

Fotowoltaika dla biznesu

Chcesz produkować własną energię elektryczną i obniżyć koszty funkcjonowania firmy?

Zamów już dziś fotowoltaikę dla biznesu od TAURONA i zyskaj:

- kompleksową obsługę inwestycji,
- analizę techniczną dachu,
- elastyczne warunki finansowania inwestycji,
- bezpieczny i profesjonalny montaż,
- szybkie i bezproblemowe podłączenie,
- serwis gwarancyjny i posprzedażowy.

Pokaż swoim klientom, że dbasz o środowisko i korzystasz z energii ze słońca!

biznes.tauron.pl/fotowoltaika

eprasa.pl b54370957a

będę działał tak, żeby to jak najlepiej wyszło w Turynie. Nie śledziłem wcześniej tego, czy jest jakiś sposób na wygranie Eurowizji, czy jest jakaś moda. Siłą Eurowizji jest to, że różne kraje prezentują różne style muzyki. Nie znam natomiast recepty na utwór idealny, który zapewniłby zwycięstwo. Trzeba po prostu dobrze zaśpiewać.

Chciałby pan rozpropagować muzykę klasyczną wśród młodych ludzi?

Przede wszystkim nikogo nie chcę do niczego zmuszać, tylko inspirować. Muzyka klasyczna to podstawa. Myślę, że wielu wokalistów powinno zaczynać od muzyki klasycznej. Być może wtedy ze swoim głosem i karierą zaszliby dalej. Każdy muzyk powinien znać nuty, choć wiem, że są tacy, którzy są wybitnie zdolni i nie uczą się nut. Zasada powinna być jednak inna. Żeby się rozwijać, robić postępy, trzeba zacząć od początku. Technika śpiewu operowego powinna być dla wokalisty bardzo ważna. Każdy powinien znać technikę brania oddechu z przepony, jak najniżej, nie z gardła. Tu nawet nie chodzi o brzmienie i barwę, ale o wytrzymałość głosu. To wszystko wywodzi się z opery i to najzdrowszy sposób śpiewania. Mam nadzieję, że uda mi się wzbudzić, odnowić w ludziach miłość do opery. Warto ją doceniać i całą tę tradycję, którą ona ze sobą niesie.

To, kim jestem dzisiaj, zawdzięczam mojej rodzinie. Dziadek udzielał mi w życiu dobrych rad. Podpowiedział, żebym przeprowadził się do Polski i poszedł na studia muzyczne w Katowicach. Rodzice także podpowiadali tę ścieżkę. I to był dobry pomysł – mówi nam Krystian Ochman

Choć świat idzie w innym kierunku, ja ze swojej drogi śpiewania nie zejdę. Przez to, że nagrywam taką muzykę, wypuszczam taką płytę, promuję taki rodzaj muzyki, ale nikogo nie będę na siłę zachęcał do jej polubienia. Jeśli kogoś zainspiruje to, co robię, będę szczęśliwy.

A kto inspiruje pana?

Oczywiście dziadek, Luciano Pavarotti, Gérard Souzay – to wspaniały baryton, uwielbiam Michaela Bublé, Franka Sinatrę.

Co pan chciałby osiągnąć w życiu i na scenie?

Robię to, co kocham. I to jest najważniejsze. Cieszę się, że innym też się moja praca podoba. Na scenie myślę tylko o tym, żeby jak najlepiej pokazać to, co potrafię, żeby jak najlepiej się zaprezentować. W życiu zależy mi na stabilności, niezależności finansowej. Pewnie za jakiś czas pomyślę o wyjeździe do Stanów Zjednoczonych i pracy tam. Na razie jestem tutaj i chcę jak najlepiej zrobić to, co przede mną. Kiedyś pewnie wydam płytę w całości po angielsku, ale jeszcze nie teraz.

Myślałam, że pan powie, że marzy pan o żonie, rodzinie.

To nie ten moment. Mam na to jeszcze czas. Kiedyś na pewno. Teraz nie mam nikogo, coś nie wyszło, choć to na pewno wspaniałe mieć obok siebie bliską osobę, której można zaufać. Teraz całkowicie skupiam się na wyjeździe na Eurowizję.

Jest pan gotowy na ten konkurs?

Tak. Czuję się bardzo dobrze. Byliśmy już w Turynie na próbach, zobaczyć scenę. Na razie nie czuć konkurencji między uczestnikami. Jest bardzo dobra atmosfera, wspieramy się wzajemnie, chcemy, żeby każdy wypadł jak najlepiej. Zaprzyjaźniłem się już z kolegami z Czech, są świetni. Bardzo fajny artysta będzie reprezentował Australię, jest bardzo skupiony na swojej pracy. Rozmawialiśmy już nawet o jakiejś przyszłej współpracy.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl b54370957a

O kasowym przeboju sprzed pięciu dekad, niebieskim składaku, rodzinnych rewirach, powrocie „szkaradka", najwspanialszym tacie i dzielnym ubijaniu masła – opowiada Katarzyna Bareja, córka reżysera Stanisława Barei

Poszukiwany: Stanisław Bareja

Fot. Archiwum rodzinne

eprasa.pl b54370957a

Jolanta Gajda-Zadworna rozmawia z Katarzyną Bareją, córką reżysera Stanisława Barei, filmoznawczynią, psychoterapeutką i autorką książki „Żaby w śmietanie"

Mija pięć dekad od czasu, gdy Stanisław Maria Rochowicz stał się „Poszukiwanym, poszukiwaną".

Katarzyna Bareja: To był bardzo ważny film w reżyserskiej karierze Stanisława Barei. Rozpoczął nowy okres w jego twórczości i nastąpił po kilku latach utrudnień i szykan. Do czasu tej premiery napisali z Jackiem Fedorowiczem wiele interesujących scenariuszy – filmów kryminalnych czerpiących z baśniowych motywów, np. „Czerwonego Kapturka" czy „Jasia i Małgosi". Niestety kolejno odrzucano im te projekty i tata przez parę lat nie stawał na planie filmowym. Kiedy wreszcie pozwolono mu zrealizować „Poszukiwanego, poszukiwaną", a potem jeszcze rok czekał na premierę [zdjęcia powstały w 1972 r., film trafił do kin 22 kwietnia 1973 r.– red.], nie bez niepokoju wypatrywał recenzji. Tymczasem komedia, w której pojawiły się już elementy nowego stylu Barei z celnymi nawiązaniami do współczesności, stała się kasowym przebojem i otworzyła do tej pory pozamykane drzwi do kolejnych produkcji.

Katarzyna Bareja na planie filmu „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz"

Inspirację do „Poszukiwanego, poszukiwanej" przyniosła z pracy Hanna Kotkowska-Bareja?

Mama – wybitny historyk sztuki współczesnej – pracowała jako kustosz w Muzeum Narodowym. Tam usłyszała historię dzieła, którego odbiór z muzealnego magazynu nie został pokwitowany, więc uznano je za zaginione.

W książce „Żaby w śmietanie, czyli Stanisław Bareja i bliscy", która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Axis Mundi, przywołuje pani wspomnienie ojca jadącego na niebieskim składaku „w spodniach spiętych spinaczem do papierów, z nieodłączną teczką ze scenopisem i kanapką oraz siatkami pełnymi zakupów z bazaru przy ulicy Dolnej". Przypomina to sceny z filmu „Poszukiwany, poszukiwana".

Rzeczywiście, bohater grany przez Wojciecha Pokorę pomyka ulicami niczym Stanisław Bareja. Zaznaczam, że niebieski składak ma się dobrze. Jego renowację powierzyłam panu o świetnie rokującym nazwisku Wiatr. Rower jest więc gotowy, by znowu ruszyć na ulice Mokotowa, bo tam najczęściej można było tatę zobaczyć.

W „Poszukiwanym, poszukiwanej" widzimy chyba reżysera sfilmowanego poza ulubioną dzielnicą?

Chodzi o scenę nad Wisłą, w której bohater jedzie na rowerze, z siatkami wypełnionymi cukrem, i zostaje ochlapany przez mijający go samochód. Za tym samochodem widać kolejny. To niebieski ford taunus. W środku siedzi Stanisław Bareja, a obok niego mój brat Jaś.

Czy filmy ojca mogą panią jeszcze czymś zaskoczyć?

Ze zdziwieniem, ale i wielkim wzruszeniem raptem rok temu – obejrzawszy wcześniej „Misia" kilkadziesiąt razy – zorientowałam się, kogo widać u boku Stanisława Tyma na teatralnej widowni. Otóż przy Staszku Paluchu – sobowtórze głównego bohatera,

eprasa.pl b54370957a

Stanisław Bareja z córką Kasią, Wenecja 1984 r.

siedzi moja babcia, mama Stanisława Barei. Nie dostrzegałam jej wcześniej, bo byłam tak wgapiona w kudłatego faceta obok. Ostatnio zauważyłam jeszcze coś. Wspominany już niebieski ford taunus pojawia się również pod koniec „Poszukiwanego, poszukiwanej". Stoi zaparkowany na moście Poniatowskiego, a tata pędzi do niego wściekły, bo Pokora rzekomo przejechał mu po palcach.

Przywołała pani kilka warszawskich plenerów, jeszcze sprzed przeprowadzki pod ursynowski adres Alternatywy 4, dokąd reżyser trafił 9 grudnia 1981 r. i z wiadomych powodów musiał się tam zatrzymać na dłużej. A wcześniej, gdzie najchętniej stawiał kamerę?

Lubił kręcić zdjęcia blisko domu, więc dużo scen było realizowanych na Mokotowie i Sielcach – to nasze rodzinne tereny. W alei Niepodległości pradziadek Bareja (który mieszkał przy Madalińskiego) miał przed wojną zakład masarski. Na Puławskiej był sklep wędliniarski Barejów. Przy ul. Wiktorskiej jest liceum im. Reytana, do którego uczęszczał tata. Ja chodziłam do Kochanowskiego, kawałek dalej.

W aptece przy Rakowieckiej kręcono pamiętną scenę z „Misia", w której usłużny chłopiec (grany przez mojego brata Jaśka) melduje dzwoniącemu z aptecznego aparatu Bronisławowi Pawlikowi ilu jest kolejkowiczów. Dziś w tym miejscu jest kawiarnia. Wielu z utrwalonych na ekranie obiektów już nie ma...

...ale pozostają w pamięci widzów. Podobnie jak filmowe postaci, sceny, grepsy. Mimo 35 lat, które 14 czerwca miną od śmierci Stanisława Barei.

Czymś niezwykle dla mnie poruszającym jest to, że nie ma dnia, żebym nie usłyszała jakiegoś cytatu z twórczości taty. Choćby w teleturniejach „Va banque", „Jeden z dziesięciu" czy „Milionerzy". Znam osoby, które na co dzień posługują się językiem z jego filmów, zwłaszcza z „Misia", ale też z „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz" czy „Nie ma róży bez ognia". Poprawiają mnie, gdy po 25 latach życia w Kanadzie nie wszystkie kwestie jestem w stanie powtórzyć słowo w słowo.

Twórca „Misia" cały czas jest wśród nas obecny?

Niekiedy w zaskakujący sposób. W książce – w której dzięki skrupulatności i zapobiegliwości mamy, gromadzącej zapiski i dokumenty, mogłam przedstawić wiele pamiątek, także rysunków pokazujących rodzinne relacje Stanisława Barei – opisałam m.in. historię „szkaradka". Był to płaszcz ojca, który nosił w latach 50. Podobno mama, gdy wczesną wiosną tata chciał prosić o jej rękę, ociągała się z przedstawieniem kandydata dziadkom do czasu, gdy zrobi się cieplej. Żeby tylko w tym palcie nie wystąpił. Parę miesięcy temu pokazano mi projekt i płaszcz wzorowany na tym właśnie okryciu taty, a zatytułowany „Bareja wiecznie żywy".

Miała pani wyjątkową, prywatną perspektywę obserwowania intrygującego reżysera, scenarzysty. Jakie rodzinne scenki zapamiętała pani w związku z jego realizacjami?

Niejednokrotnie odnajduję na ekranie ślady domowych sytuacji. Jak tej z czosnkiem (przez tatę uwielbianym, a niecierpianym przez mamę). W jednej ze scen serialu „Zmiennicy", w epizodycznej rólce bossa mafii narkotykowej, tata faszeruje wydrążone kiełbasy torebkami z białym proszkiem, tłumacząc, że psy niczego nie

eprasa.pl b54370957a

wyczują, bo to „sama sól i czosnek". – To jedzą wyłącznie krokodyle i moja żona – uzasadnia bohater.

Pomysły do scenariuszy powstawały często w trakcie rodzinnych wypadów samochodem. Rokrocznie wyjeżdżaliśmy na wakacje pod namiot (to była jedyna dostępna finansowo forma), ale za to do Bułgarii czy Rumunii. Zdarzało się, że tata milkł za kierownicą na dłuższą chwilę, po czym mówił: „A wiecie... mam taki pomysł". I zaczynał opowiadać. Wciągająco i zabawnie.

Jakim ojcem był Stanisław Bareja?

W tej roli zasługiwałby na osobną książkę. Uczył i wychowywał na wiele sposobów. Nauczył mnie pływać, czytać, jeździć na rowerze, gotować, ale też zamiatać, chociaż tego nie lubił robić. Zaszczepił we mnie fascynację literaturą i przyrodą. Na spacerach śpiewaliśmy piosenki ludowe i partyzanckie, a z czasem też musicalowe (uwielbiał ten gatunek). Kiedy miał dłuższe zdjęcia poza Warszawą, przysyłał mi w listach bajki, wiersze, zagadki. Będąc w domu, wymyślał dla nas zabawy. Był tatą „uczestniczącym", a wręcz „wiodącym".

Umiał cieszyć się z każdego dnia. Był mistrzem teraźniejszości. I potrafił słuchać. Tym, co dziś mnie bardzo przygnębia, jest widok rodziców prowadzących za rękę smutne dzieci, a w drugiej ręce trzymających komórkę i cały czas w nią stukających. Serce się kraje. Tymczasem tata czerpał radość z tego, że przebywał ze swoimi dziećmi i je inspirował. Dzięki jego podejściu ja też potrafiłam odczuwać radość z bycia mamą.

Czym są tytułowe „Żaby w śmietanie"?

Mają podwójne znaczenie. Taki tytuł nosił niezrealizowany scenariusz napisany przez tatę i Jacka Fedorowicza, a opowiadający o całodziennej wędrówce młodego człowieka, który zakochany w pięknej dziewczynie rikszą przewozi jej dobytek z Pragi na Mokotów. W książce zamieściłam urzędniczy świstek, na którym, w charakterystyczny dla tamtych czasów sposób, odmówiono tacie realizacji tego projektu.

Jest też inne, o wiele bardziej budujące wytłumaczenie tego tytułu. Gdy tata chciał nas (mnie i brata) do czegoś zachęcić, przywoływał opowiastkę o dwóch żabach, które wpadły do kadzi ze śmietaną i nie mogły się z niej wydostać. Jedna się poddała i utonęła. Druga tak długo machała łapkami, aż ubiła masło i mogła wyjść na wolność. Tata przypominał nam, że trzeba być dzielnym, trzeba się starać, wtedy się wygra. Myślę, że nie tylko indywidualnie, ale i zbiorowo my, Polacy, jesteśmy, jak ta żaba, która uwolniła się z kadzi. I obyśmy zawsze potrafili tak sobie radzić.

Pink Floyd dla Ukrainy

Adam Ciesielski

Światową sensacją jest nowe nagranie grupy Pink Floyd. Słynna formacja przerwała milczenie i udostępniła w sieci singiel „Hey Hey Rise Up", będący wariacją na temat ukraińskiej pieśni „Czerwona kalina", z wokalem kijowskiego rockmana Andrija Chływniuka. Celem jest moralne i finansowe wsparcie naszych wschodnich sąsiadów walczących z barbarzyńskim najazdem moskiewskim.

Fani Pink Floyd, w uszach których wciąż brzmią dźwięki z pamiętnych albumów „The Dark Side of the Moon" (1973) czy „The Wall" (1979), nie wierzyli, że po „The Division Bell" z 1994 r. i „The Endless River" z 2014 r. pojawi się jakiś nowy materiał. Po odejściu Rogera Watersa w 1985 r. i sądowym podziale schedy aktywność legendy podtrzymywał drugi z liderów – David Gilmour. Ale i on skupiał się na projektach solowych.

Niejednokrotnie angażował się politycznie. Uważnie śledzi też sytuację na Ukrainie, zwłaszcza że ma synową Ukrainkę i wnuki brytyjsko-ukraińskiej krwi. Z podziwem przyjął decyzję Andrija Chływniuka – lidera popularnej także za granicą kijowskiej formacji Boombox – który na wieść o rosyjskiej napaści odwołał amerykańskie tournée i wraz z kolegami z zespołu wstąpił do ukraińskiej obrony terytorialnej. W mundurze, z ukraińską opaską i karabinem, na kijowskim placu nagrał w marcu „Czerwoną kalinę", mającą podnosić bojowego ducha rodaków.

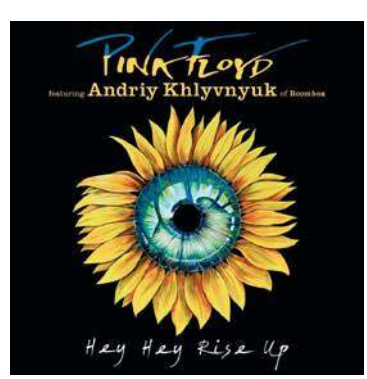

Śpiewana a capella piosenka stała się przebojem internetu, z milionami odsłon na całym świecie. Najgłośniejszą jej wersję – „Hey Hey Rise Up" – wykreował zespół Pink Floyd. Mięsiste gitarowe riffy Davida Gilmoura, perkusja Nicka Masona, klawisze Nitina Sawhneya, bas Guya Pratta tworzą niezwykłą oprawę dla głosu Andrija Chływniuka z ukraińską pieśnią.

U nas zainteresowanie też jest wielkie, ale recepcja zróżnicowana. Rockową wersję „Czerwonej kaliny" z polskim tekstem umieścił w sieci Limboski. Pojawiają się i inne interpretacje, ale publiczne wykonania budzą protesty środowisk kresowych, przypominających, że pieśń napisana w 1914 r. przez Stiepana Czarneckiego, w czasie I wojny światowej będąca hymnem Legionu Ukraińskich Strzelców Siczowych, była potem m.in. na ustach oddziałów dokonujących krwawych czystek na Wołyniu. Trzeba też o tym pamiętać.

eprasa.pl b54370957a

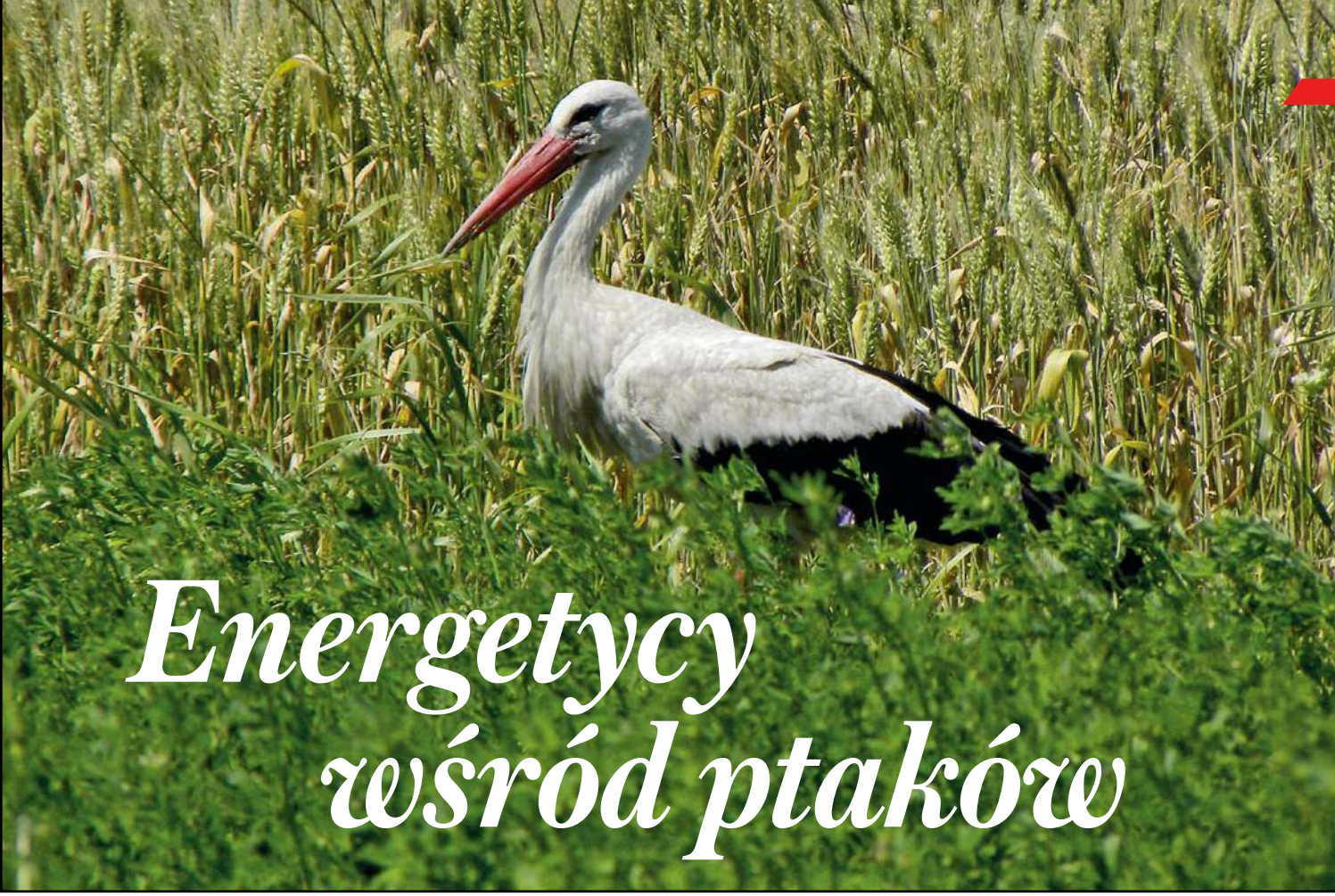

Energetycy wśród ptaków

Wiosna to czas, kiedy świat ptaków budzi się na nowo. Wiele gatunków wróciło już do Polski na okres wiosenno-letni. Ptaki stanowią ważny element naszego ekosystemu. PGE Polska Grupa Energetyczna od wielu lat otacza je szczególną ochroną

Bocian biały to jeden z najczęściej spotykanych ptaków w Polsce. Przedstawiciele tego gatunku często wybierają słupy energetyczne na miejsce zakładania swoich gniazd. Z tego powodu oraz ze względu na dużą rozpiętość skrzydeł ptaki te są narażone na ryzyko śmiertelnego kontaktu z liniami energetycznymi. Na straży ich bezpieczeństwa stoją energetycy przy wsparciu najnowszych dostępnych technologii.

Najskuteczniejszym sposobem na uchronienie bocianów przed porażeniem prądem jest budowanie specjalnych platform na słupach powyżej linii energetycznych. Ptaki mogą na nich bezpiecznie zakładać swoje gniazda. Energetycy z PGE już od kilku lat montują takie platformy. Skala tych działań jest ogromna. Obszar dystrybucyjny PGE zajmuje ponad 40 proc. powierzchni Polski, na którym rozlokowanych jest ponad 290 tys. km sieci energetycznej. Na tym terenie zamontowano blisko 28 tys. bocianich platform.

Tworzenie platform dla bocianów to niejedyne działanie podejmowane przez Grupę PGE w celu ochrony tych ptaków. To również montaż specjalnych zabezpieczeń w infrastrukturze energetycznej – „odstraszaczy", podestów czy specjalnych kolorowych kul zawieszonych na liniach, które mają na celu ostrzegać ptaki przed niebezpieczeństwem, jakim jest dla nich przewód wysokiego napięcia.

Grupa PGE już od 19 lat aktywnie działa także na rzecz odtworzenia populacji sokoła wędrownego w Polsce. To jeden z najrzadziej występujących ptaków w naszym kraju, objęty ścisłą ochroną gatunkową. Jeszcze 20 lat temu ptaki te były niemal nieobecne w naszym kraju, a dziś w Polsce żyje już 80 sokolich par. Sokoły upodobały sobie obiekty należące do PGE, w szczególności kominy elektrociepłowni i elektrowni, gdzie zakładają swoje gniazda. Od 2003 r. z gniazd umieszczonych na instalacjach Grupy PGE wyleciało 110 młodych sokołów, co stanowi blisko 20 proc. wszystkich młodych sokołów wędrownych, które przyszły na świat w Polsce od 1999 r.

Zagrożeniem dla ptaków są też wiatraki. Aby uchronić je przez zderzeniem się z łopatami turbin wiatrowych, PGE prowadzi pilotaż systemu monitoringu zbudowany przez polską firmę Bioseco, który w ciągu dwóch sekund może wykryć ptaki zbliżające się do turbiny, a następnie samodzielnie wybrać działanie, które minimalizuje ryzyko kolizji. Może to być ostrzegawczy sygnał dźwiękowy lub świetlny, a w razie konieczności automatyczne zatrzymanie turbiny. Takie rozwiązanie zwiększa bezpieczeństwo ptaków i wpisuje się w długoterminowe działania Grupy PGE w zakresie ich ochrony.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 27/0422/F

eprasa.pl b54370957a

Fot. Jakub Kamiński/East News

„Bankructwo polskiej inteligencji”

Pod tak intrygującym tytułem ukazała się niedawno nowa książka prof. Aleksandra Nalaskowskiego, wybitnego pedagoga i publicysty, znanego czytelnikom również z łamów tygodnika „Sieci”. Publikujemy recenzję tej pracy autorstwa prof. Jacka Koronackiego, matematyka i filozofa w jednej osobie, autora rozpraw zarówno o statystyce, jak i o cywilizacjach europejskiej i amerykańskiej

Ta książka jest jak symfonia, jakkolwiek nieklasyczna, ponieważ ma nietypowy układ części i po bardzo dobrym wstępie następuje jeszcze wprowadzenie opisujące te elementy aparatu pojęciowego stosowanego przez autora, na których budowana jest całość opowieści. Dzieło ma cztery części, z których każda składa się z krótkich rozdziałów. Te cztery części poprzedzone są wspomnianym już wstępem oraz rozdziałem zatytułowanym „Metoda”. Niniejszy recenzent jest przekonany, że rozdział pt. „Metoda” powinien zawierać w sobie również dwa pierwsze rozdziały części pierwszej, ponieważ to one wspólnie tworzą metodologiczne wprowadzenie do całości. Przyjęty układ psuje spójność dzieła, ale też jest to jedyny zarzut, jaki potrafię postawić jego kompozycji.

Rzeczone wprowadzenie jest tyleż potrzebne merytorycznie, co mylące ze względu na swoją formę. Ma ono charakter mocno teoretyczny. Autor rozszczepia włos przyjętej metodologii na czworo, opisuje mędrca-autora szkiełko i oko, a to – skoro mowa jest o wprowadzeniu do dzieła – zapowiada taki też, skłonny do teoretyzowania, akademicki ciąg dalszy całości. Na szczęście nic bardziej mylnego, ponieważ dalej mamy części mieniące się różnymi barwami, zawsze poruszające, czy to głębią oraz odkrywczością treści i wtedy raczej „powolne” (by wrócić do muzycznej analogii), czy mocą trafności oraz ostrości widzenia obserwowanych zjawisk (Nalaskowski ma pióro znakomite, o ogromnej sile rażenia, gdy razić należy, które potrafi grać piano i pianissimo, gdy głos należy ściszyć).

Autor zastanawia się we wprowadzeniu nad rolą symbolu w kulturze albo lepiej – w życiu wspólnoty. Opisuje tę rolę w kontekście i w przeciwstawieniu do ról

eprasa.pl b54370957a

odgrywanych przez pojęcie znaku oraz pojęcie modelu obserwowanego zjawiska. Pisze, że symbol to „hybryda złożona z wytworu kultury ze skojarzonymi z nim emocjami". Ale zdaniem tego recenzenta nadmiernie eksponuje subiektywny charakter emocji, której to emocjonalnej warstwy symbolu „się już definiować nie da". Wprowadzenie (zwłaszcza pierwszy rozdział pierwszej części pt. „Kilka herezji na początek") zawiera niejedno stwierdzenie, z którym nie może się zgodzić niżej podpisany, będący osobą może zbytnio przywiązaną do myśli Akwinaty, m.in. dotyczącej docierania do istoty zjawiska czy szerzej bytu, oraz nieskorą nieledwie utożsamiać patriotyzm czy bohaterstwo z emocjami. Ale to są z kolei jedyne zarzuty merytoryczne, jakie potrafię postawić książce, do tego nieistotne w świetle jej treści zasadniczej.

Dlaczego zatem zatrzymałem się na krytyce rozdziałów wprowadzających w zawartość całości? Nie tylko dlatego, że chciałem je poddać pewnej krytyce, ale także dlatego, że cenną cechą książki jest uchwycenie roli symbolu w życiu inteligencji. O współczesnej tak pisze Nalaskowski:

„Z punktu widzenia badawczego interesująca jest niemal całkowita indolencja inteligencji na polu kreowania nowych symboli. Tak, jakby historia, życie, zmiany stanęły w miejscu. Jakby symbole były niepotrzebne. Umieliśmy do poziomu potężnego symbolu wynieść decyzję konklawe z października 1978 r., słynne »Niech zstąpi Duch Twój«, ale całego pontyfikatu św. Jana Pawła II nie byliśmy w stanie udźwignąć i zamienić w symbol. Obecnie obserwujemy tendencję wręcz odwrotną, próbę obrzydzania tej postaci i obwiniania za to, czemu nie był winny. Przykładem nieudźwignięcia tego symbolu jest ewidentny niewypał z wykreowaniem »pokolenia JP2«. Straszliwy (tak, straszliwy!) obraz wyłaniający się z manifestacji młodych ludzi w ramach tzw. strajku kobiet, obieranie sobie za mentorów postaci o podejrzanym lub dwuznacznym autoramencie, sprowadzenie poziomu komunikacji do potoku bluzgów, to wskaźniki klęski najszerzej pojętej edukacji (w tym szkoły) niemal całkowicie »wolnej« od nauk Papieża Polaka. Jeszcze pamiętamy, jak ze śmiechem wspominał kremówki, ale nie chcemy pamiętać, co wykrzyczał w Kielcach o życiu nienarodzonym. Tak bowiem wygląda edukacja bez symboli, a co gorsza z symbolami unieważnianymi".

Warstwę inteligencką określa autor – i to bardzo dobrze – na sposób tradycyjny i typowy, tak jak to czynili myśliciele okresu międzywojennego: Józef Chałasiński w 1946 r. czy później Bohdan Cywiński. Historycznie to migrująca do miast zubożała albo pozbawiona majątku szlachta oraz ziemiaństwo, słowem populacja, ogólnie rzecz biorąc, nieźle wykształcona, obyta w świecie, kultywująca dobre tradycje i związana szczególnym etosem – służby dla kraju i skądinąd różnie się objawiającego patriotyzmu. W dwudziestoleciu międzywojennym, jak napisze słusznie Nalaskowski, „do inteligencji zaliczano osoby co najmniej z maturą. Byli to jednak przede wszystkim absolwenci uczelni wyższych, księża, artyści i oficerowie. Niepisanym, ale kulturowo przyjętym wymogiem była pewna postawa moralna niekiedy utożsamiana z kindersztubą. Tym samym warstwa inteligencji otworzyła się także na osoby o nieszlacheckim pochodzeniu. Dziedziczenie szlachectwa miało już wtedy znacznie mniejsze znaczenie niż kompetencje intelektualne i społeczne".

Autor ledwie szkicuje obraz „starej" inteligencji, tej rodem z międzywojnia, ale czyni to celnie, zaś lapidarność ujęcia tej historii jest książki zaletą. To książka o inteligencji współczesnej, chodzi więc o właśnie jej opisanie i tylko zderzenie jej obrazu z obrazem owej inteligencji „starej".

Część pierwsza dzieła, której przedmiotem jest przedstawienie stanu inteligencji dzisiaj, jest porażająco prawdziwa, przez to momentami wstrząsająca. Autor dobrze rysuje smutną historię marginalizowania – oraz prześladowania! – inteligencji przedwojennej, także historię tworzenia przez komunistyczną władzę „nowej inteligencji", ale to są historie szeroko znane i przez to już nie porażają, mimo że zdajemy sobie sprawę, iż nasze dzieje między rokiem 1945 a rokiem 1979 były dla polskiej kultury (i w jej ramach dla inteligencji) czasem wojny o przetrwanie. Nie bez kozery jako cezurę wyznaczyłem rok 1979. To był rok wyboru Polaka na papieża.

Chciałoby się napisać, że naszą historię po roku 1979 znamy doskonale, po części z autopsji, po części dzięki rodzicom. Ale gdybym mógł to napisać, to... nie byłoby książki o bankructwie polskiej inteligencji! A już na pewno nie byłoby jej pierwszej części. Przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przyniósł nadzieję na odrodzenie etosu inteligenckiego. I mogła ta nadzieja trwać przez czas jakiś, ale na pewno nie dłużej niż do odzyskania przez Polskę suwerenności w roku 1989.

Dziś, by tak rzec, nie mamy innego wyjścia niż utożsamiać inteligencję z populacją osób z wyższym wykształceniem. To jest znak czasu. Bogu dzięki, mamy w Polsce wąskie elity kulturalne zdolne udźwignąć jakiś znaczący dla kultury symbol, zdolne udźwignąć jakikolwiek ciężar – jak napisze Nalaskowski – „w imię Polski, w imię dobra wspólnego". Ale to są elity niszowe, niewidoczne na scenie publicznej i nie o nich traktuje jego książka. Możemy mieć nadzieję, że przeniosą one w przyszłość ducha kultury i polskości, ale jak się rzekło, dziś nie są one widoczne. Zaś ta szeroka populacja, którą widać i którą przyszło nam dziś utożsamiać z inteligencją, nie jest w stanie udźwignąć żadnego z wymienionych ciężarów. A jeśli nie ma w narodzie elity przewodzącej mu dobrymi wzorcami i widocznej na scenie publicznej, to naród ulega degeneracji.

eprasa.pl b54370957a

Tak naprawdę my to wszystko dobrze wiemy, właśnie z autopsji, ale świadomość tego faktu wypieramy. Większość ulega emocjom – to dlatego właściwie słusznie przyznał im Nalaskowski w swoim wprowadzeniu wielką wagę – i albo daje się zwodzić guru antykultury, albo zamyka w mniejszych wspólnotach i im zresztą nierzadko dobrze służy. Autor „Bankructwa" nie zajmuje się tymi w istocie indywidualnymi poszukiwaniami, pokazuje natomiast co zamierzył – obraz współczesnej inteligencji oraz jak doszło do tego, iż o powstałej kiedyś w Polsce warstwie inteligencji należy mówić w czasie przeszłym.

Nie chcę odbierać przyszłym czytelnikom satysfakcji z lektury i przeto pomijam omówienie zawartości części pierwszej książki. Poza jednym anegdotycznym przykładem. Są miejsca, w których nie należy bywać, jeśli zachowało się dobry smak i wierność zasadom. Takim miejscem jest dom gen. Jaruzelskiego z jego portretem na ścianie i jego ulubioną zastawą podawaną do popijania herbaty. Nie opisał tego Nalaskowski, żeby oponować przeciw rozmowom z panią Moniką Jaruzelską, ale by zaprotestować przeciw ich miejscu. Spotkania w domu generała to nie tylko brak kindersztuby, to wyraz obojętności na co prawda przeszłe, ale bezwzględne zło. A tam spotykała się z panią domu także najlepsza część naszej inteligencji.

O tym, co w książce Nalaskowskiego najgłębsze i najbardziej odkrywcze, napiszę... najkrócej. Części druga i trzecia mają wartość ogromną, trudną do przecenienia. Najpierw dostajemy fascynujący wykład o tym, dlaczego kultura stoi zespoleniem w jedno i wykluczeniem innego – innej kultury. Nie ma żadnego „między", to kpina ze zdrowego rozsądku i ludzkiej normalności. Ludzkiej, a nie jakiejś wymyślonej, abstrakcyjnej oraz niemożliwej do przyjęcia przez człowieka, jeśli ten chce zachować swoje człowieczeństwo (chce pozostać członkiem gatunku homo sapiens). Absolutnie nie implikuje to wrogości wobec innych kultur, mamy pozostać im przychylni, byle one nas nie atakowały. Te ogólne myśli Nalaskowski wspaniale i z naukową dokładnością ilustruje przykładem Izraela – jego wieloetnicznej i wielokulturowej ludności oraz wszechobecnych turystów. Krótko i żeby zaciekawić – gdyby nie turyści, nie byłoby jako takiego współżycia różnych kultur w ramach jednego państwa izraelskiego.

Część trzecią poświęcił autor szkole. W tym przypadku mamy autora specjalistę wybitnego – profesora pedagoga z ogromnym dorobkiem naukowym, z trzydziestoma wypromowanymi doktorami, oraz praktyka, twórcę i dyrektora liceum społecznego z 25-letnią praktyką, liceum, którego dobre imię było znane w całej Polsce i które dopracowało się własnej, oryginalnej metody pedagogicznej, dobrze sprawdzającej się przez wiele lat. Nalaskowski daje wykład szczegółowy, sięga do historii, analizuje współczesność z jej informatyzacją i problemami nauczania zdalnego, dodaje moc materiału empirycznego, by wykazać, że szkoła w obecnym, najszerzej pojętym kształcie jest zupełnym przeżytkiem. Taka szkoła jest nie do uratowania, tu nie chodzi o jakąkolwiek reformę, tu chodzi o szkołę zupełnie inną. Jaką, o tym autor też pisze. Najkrócej: kiedyś szkoła przyciągała ucznia, była atrakcyjna. Dziś jest miejscem, w którym uczeń musi i tylko musi. Uczeń zgadza się na to, ponieważ potrzebne mu jest świadectwo jej ukończenia. Szkoła jest dla rodziców wygodną i koniecznie im potrzebną przechowalnią dzieci, niczym więcej. Co z tym zrobić, Nalaskowski pisze po niezwykle rzetelnej analizie całości zagadnienia. Tę część jego dzieła powinni poznać wszyscy nauczyciele i zwłaszcza ci, którzy o kształcie polskiej edukacji decydują – od kuratorów po ministrów.

> Jeśli nie ma w narodzie elity przewodzącej mu dobrymi wzorcami i widocznej na scenie publicznej, to naród ulega degeneracji

Czwartej części książki nie mogę przyznać już tego niesłychanie istotnego znaczenia, jakie przyznałem części trzeciej. Ale to dlatego, że przyszłość szkoły jest najważniejsza, gdy myśleć o przyszłości. Ta czwarta część jest poświęcona Akademii, czyli społeczności naukowców i nauczycieli akademickich jako bardzo ważnemu segmentowi inteligencji. Jest to część znakomita, wspaniale udokumentowana, np. doskonale pokazująca, jak bardzo głos tego segmentu rozmija się z głosem ogółu obywateli RP. Jak bardzo głos Akademii jako całości opowiada się po stronie kulturalnego nihilizmu i moralnego zepsucia pod płaszczem radykalnej lewicowości oraz poprawności politycznej.

Wymowa części czwartej skłania – co notabene nie zaskakuje, ponieważ widać to na co dzień – do najgłębszego pesymizmu. Toż mowa tu jest o elicie inteligenckiej, której zadaniem jest m.in. kształcenie przyszłych pokoleń, zwłaszcza nauczycieli. A ta „elita" okazała się bezradna wobec odzyskanej przez kraj suwerenności. Doskonale opisuje ten fakt autor „Bankructwa" i, jak poprzednio, nie będę tu streszczał jego wykładu. Co zaś było od roku 1989 widać jak na dłoni. W niemałej części chwalebny dla tej elity krótki okres Solidarności i po nim czas opozycji stanu wojennego umarł w akademijnej masie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Albo raczej jak za dotknięciem rózgą relatywizmu etycznego oraz troski o dobrą pozycję na akademijnym rynku. Rózga ta wypędziła z duszy Akademii wierność pryncypiom oraz pamięć historyczną, unieważniła historię oraz kazała się poddać płynącemu z Zachodu idolowi poprawności politycznej.

Na koniec dodaję, że autor wymyślił na użytek opisu kondycji Akademii model nie tylko zaskakująco oryginalny, ale – co nieskończenie ważniejsze – doskonale adekwatny.

Książkę polecam każdej i każdemu, także tym, którzy jak niżej podpisany byli przed lekturą przekonani, że niczego nowego w dziele Aleksandra Nalaskowskiego nie znajdą.

Jacek Koronacki

eprasa.pl b54370957a

Projekt Smart Field – więcej gazu dzięki sztucznej inteligencji

Smart Field wykorzystuje zaawansowane technologie cyfrowe do wsparcia działalności poszukiwawczo-wydobywczej. To m.in. kompleksowe podejście umożliwiające niezwykle dokładne analizy całego systemu produkcyjnego – od złoża po system przesyłowy, a to z kolei oznacza nie tylko zwiększenie bazy zasobowej węglowodorów, ale także obniżenie kosztów ich pozyskania poprzez optymalizację inwestycji w infrastrukturę wydobywczą

Efektem wdrożenia projektu Smart Field w latach 2021 i 2022 będzie wzrost krajowych zasobów wydobywalnych gazu o 7,3 mld m sześc. Dzisiaj możemy potwierdzić, że wspierane sztuczną inteligencją symulacje różnych wariantów zagospodarowania złoża umożliwiają m.in. ograniczenie liczby odwiertów oraz infrastruktury przesyłowej, gdzie wybór odpowiedniej strategii zarządzania złożem węglowodorów zależy od ogromnej liczby różnych zmiennych, często od siebie współzależnych. To z kolei oznacza, że stosując standardowe modele, rozwiązując jedną ze zmiennych, mogliśmy pogarszać drugą. Zastosowanie narzędzi programu Smart Field przekłada się także na mniejszy ślad węglowy związany z działalnością poszukiwawczo-wydobywczą.

Projekt Smart Field oparty na technologii chmury obliczeniowej dostarczanej przez partnera projektu, Operatora Chmury Krajowej, to przede wszystkim nieograniczone możliwości zarówno pod kątem zasobów, jak i mocy obliczeniowej wtedy, kiedy tego potrzebujemy. Nasze wymagania przestrzeni dyskowej sięgają nawet 5 PB (peta bajtów), co odpowiada ok. 150 tys. telefonów komórkowych o pojemności 32 GB i mocy obliczeniowych rzędu 1 PF (peta flopa), co przekłada się na 30 tys. średniej klasy telefonów komórkowych. Powszechny dostęp do stworzonych w chmurze rozwiązań gwarantuje nam ich wykorzystanie na niespotykaną dotychczas skalę we wszystkich lokalizacjach PGNiG – od Emiratów Arabskich po Tromso na północnych krańcach Norwegii.

Pierwszym realnym zadaniem projektu Smart Field było wdrożenie narzędzia w pełnej skali na rzeczywistym złożu ropy naftowej i gazu ziemnego. Wykonana w ten sposób strategia intensyfikacji wydobycia ze złoża Barnówko–Mostno–Buszewo, dzięki wykorzystaniu elementów sztucznej inteligencji, pozwoli zwiększyć wydobycie o kilka miliardów m sześc. gazu i kilka milionów m sześc. ropy naftowej w perspektywie 20 lat pracy złoża.

Ważnym aspektem prac jest kwestia przyspieszenia wykonywanych obliczeń. W ramach współpracy specjalistów PGNiG z Operatorem Chmury Krajowej testowane były różne konfiguracje obliczeń realizowanych na lokalnych stacjach obliczeniowych, klastrach obliczeniowych opartych na GPU, klastrach obliczeniowych opartych na serwerach GPU oraz na technologii chmury obliczeniowej. W ramach testów z początkowych kilkudziesięciu minut czas jednej symulacji został zmniejszony do dziewięciu minut. Jest to niezwykle ważne, ponieważ proces optymalizacyjny wymaga setek wykonanych iteracji i każda zaoszczędzona minuta robi znaczną różnicę w sumarycznym czasie realizowanego procesu. Uzyskany wzrost efektywności symulacji umożliwia akcelerację działań w sektorze poszukiwań i wydobycia. Dla przykładu w 2019 r. przyrost objętości możliwego do wydobycia gazu ziemnego wynikający z wykonanych modeli wyniósł 1,85 mld m sześc., a w 2021 r. przyrost ten osiągnął już 5,56 mld m sześc. Mocną stroną narzędzia jest również jego uniwersalność. Po udanym wdrożeniu na obecnym złożu, przy niedużym wkładzie pracy można jego funkcjonalności przenieść na inne aktywa PGNiG.

Jednym z pierwszych zakładów PGNiG objętych projektem Smart Field jest też Kopalnia Gazu Ziemnego Kościan–Brońsko. Przeprowadzone analizy i symulacje pozwoliły wybrać optymalny wariant zagospodarowania złoża, w tym lokalizację dwóch nowych odwiertów – Brońsko-31H oraz Brońsko-32 położonych na terenie gminy Śmigiel. Dzięki nim wydobycie gazu ze złoża Brońsko (pow. kościański, woj. wielkopolskie) zwiększy się o 13 proc., czyli 120 mln m sześc. rocznie.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 38/0222/F

eprasa.pl b54370957a

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Czarownice walczą o poprawność

Obejrzałem na HBO amerykańsko-kanadyjską „Szkołę czarownic. Dziedzictwo", film sprzed dwóch lat. To dość konwencjonalny soft horror (albo po trosze fantasy). Stanowi kontynuację bardziej znanej „Szkoły czarownic" z 1996 r. Przy czym kontynuacja nie oznacza losów tych samych bohaterów, lecz podobny motyw podjęty raz jeszcze w zmienionych realiach.

To się dzieje w kinie dość często (podobnie jak jeszcze częściej tematem są szkoły czarów). W tym przypadku jednak przepaść tych 24 lat ma szczególne znaczenie. Opowiedzenie historii czterech szkolnych koleżanek, które uprawiają czarną magię nie w Hogwarcie, a w amerykańskim liceum, wtedy i teraz – to dwa różne światy, dwie epoki.

W 1996 r. temat podjął facet, Andrew Fleming. Robin Tunney była Sarah, nowicjuszką dającą się namówić trzem weterankom do zabawy w czary. Jednym, choć bynajmniej niejedynym motywem tych igraszek było ukaranie szkolnego podrywacza (skądinąd w liceum katolickim). Jednak akcja wyrwała się spod kontroli, a uśmiercenie przez jedną z przyjaciółek Chrisa (granego przez modnego wtedy Skeeta Ulricha) stało się dla Sarah granicą nie do przekroczenia. Ponieważ zaś dziewczyny używały swojej mocy i do innych porachunków, między sojuszniczkami doszło w końcu do wojny i to totalnej, bo magicznej.

„Szkołę czarownic. Dziedzictwo" wyreżyserowała kobieta, Zoe Lister-Jones. Także tu Cailee Spaeny jest Lily dającą się dokooptować do kółka samozwańczych wiedźm, które odkryły w sobie magiczne zdolności. Ale potem jest już mocno inaczej. Poddanie czarom Timmy'ego, mniej nawet podrywacza, bardziej licealnego terrorysty, to nie tylko odwet. To także lekcja dla nas wszystkich.

Chłopak zostaje totalnie zmieniony. Zaczarowany w ideał, co polega nie tylko na rezygnacji z brutalności w relacjach z płcią przeciwną, ale także na preferowaniu niemal siostrzanej przyjaźni z dziewczynami, a nawet na puszczaniu muzyki artystek „walczących z rasizmem i nierównościami". Czy to zabawa w magię czy w polityczną poprawność? Ano właśnie...

W tej wersji przyjaciółki są przestraszone skutkami własnej magii, a zarazem w finale nie stają wcale do walki między sobą. Przeciwnie, wrogiem jest kto inny. To narzeczony matki Lily, demoniczny mag uosabiający pierwiastek męski. Trzyma krótko swoich synów i uczy ich pośród dziwnych obrzędów twardości wobec kobiet. Gra go David Duchovny, sławny agent Mulder z serialu „Z archiwum X". Jak myślicie, czym się kończy to starcie?

Ten film nie jest skrajną wersją feministycznej politgramoty, jak choćby horror „Czarne święta", w którym dziewczyny po prostu rozprawiają się z chłopakami na studenckim kampusie. Tu zły jest tylko ojciec, zresztą o symbolicznym imieniu Adam. Reszta młodych panów jest zaledwie otumaniona. Pozbawionych przywódcy, możemy ich spokojnie porzucić. Ważna jest w ostateczności, na różnych poziomach, babska solidarność, do której można dojść bez facetów.

Mimo wszystko różnica jest jednak spora. Świat wykreowany przez Fleminga jest poprzecinany rozmaitymi podziałami, jak to w szkole (konflikty w świecie dziewczyn też mają duże znaczenie). U pani Lister-Jones podział jest prosty i tak naprawdę jeden, nawet jeśli same bohaterki nie od razu to w pełni pojmują. Pojąć to mamy przede wszystkim my (film jest skądinąd lekcją dla młodzieży). W dawnej „Szkole czarownic" było wciąż miejsce na odrobinę emocji wywołanych magicznymi pojedynkami. W tej nowej tajemnicy prawie nie ma. Ustępuje ona miejsca pogadance.

Piotr Zaremba

Reklama | 16/0422/F

prasa.pkbs.370957a

Ocalmy Bałtyk dla przyszłych pokoleń

BALTYKDLAPOKOLEN.PL

W Morzu Bałtyckim od zakończenia II wojny światowej zatopiono co najmniej 50 tys. ton broni chemicznej i 500 tys. ton broni konwencjonalnej. Na dnie akwenu spoczywają również tysiące wraków statków, z czego część z nich na polskich wodach. Z upływem czasu, przy postępującym procesie korozji, ryzyko związane z rozszczelnieniem pojemników z amunicją i zbiorników paliwowych jest coraz większe.

Enea wraz z UN Global Compact Network Poland uruchomiły kampanię edukacyjną #BałtykDlaPokoleń, by informować o zagrożeniu i angażować społeczność międzynarodową.

Wspólnie apelujemy do Komisji Europejskiej o podjęcie niezwłocznych działań zmierzających m.in. do zabezpieczenia zagrażających środowisku wraków statków i okrętów, a także działań związanych z wykonaniem przyjętej przez Parlament Europejski rezolucji wzywającej Unię Europejską do oczyszczenia dna Morza Bałtyckiego z wraków statków oraz broni chemicznej z okresu II wojny światowej.

Zeskanuj kod QR i podpisz apel na stronie baltykdlapokolen.pl

Enea

Global Compact Network Poland

eprasa.pl b54370957a

3 MIŁOŚCI

Zabić Putina, czy modlić się za niego

ROBERT TEKIELI

Czy cywilizowani ludzie mogą życzyć śmierci wielokrotnemu cynicznemu i bezkarnemu mordercy, którego ofiarami możemy za rok albo dwa stać się i my, Polacy?

Barbarzyńca zewnętrzny, stepowy dawno przekroczył granicę Europy. Na wschodzie wyznacza ją bowiem zasięg barokowych katolickich świątyń. Na zachodzie nie ma wyrazistej linii frontu. Tu naszym przeciwnikiem jest barbarzyńca wewnętrzny. Środowiska, których wrogiem jest miłość, więzi rodzinne, religijne, narodowe uznały bowiem za ograniczenie wolności.

Widać dziś jak na dłoni, że pod przykrywką wojny przyspieszyły prace nad realizacją planu zniszczenia zachodniej cywilizacji. Elity Niemiec i Francji oraz unijni liberał/marksiści wykorzystują agresję Rosji na Ukrainę do realizacji wizji Europy bez ojczyzn włoskiego komunisty Altiero Spinellego. Miesiąc temu odbyła się w Parlamencie Europejskim konferencja poświęcona komunistycznemu „Manifestowi z Ventotene" jego współautorstwa. Jednym z prelegentów był Guy Verhofstadt, znany z agresji wobec Polski lider liberałów w Parlamencie Europejskim. Uczestnicy spotkania wzywali do jak najszybszej i bezkompromisowej budowy scentralizowanego europejskiego superpaństwa.

Plan Spinellego jest prosty: całkowita likwidacja państw narodowych choćby wbrew woli samych Europejczyków. Jego zwolennicy tworzą w PE formalną grupę polityczną. W jej zarządzie znalazło się dwoje Polaków: Danuta Hübner eks-PZPR i eks-antykomunista Radosław Sikorski.

Polska suwerenność jest dziś zagrożona po równi ze wschodu i z zachodu.

Plan federalizacji Unii wdrażany jest poprzez przejmowanie kolejnych narodowych kompetencji przez organy TSUE i urzędników KE. Najbardziej widoczne są działania związane z instrumentalnym wykorzystywaniem „braku praworządności" przeciwko suwerenności państw członkowskich. Trwa cywilizacyjny pucz prawników. Niewielu pamięta przesłanie radzieckich pionierów: „Przyznanie się do winy jest matką sądownictwa". I Bruksela, i Moskwa to obce nam cywilizacje. Tu nie ma prawa do obrony, do uczciwego procesu. Ola Watowa zapisała w swych wspomnieniach scenę, gdy w sowieckim łagrze nowoprzybyła, powalona na ziemię i pobita przez miejscową samicę alfa została wśród rechotu naznaczona moczem. Zwierzęcy świat woli moc w garniturach i w walonkach. Ale na siłę zawsze znajdzie się siła.

W latach 2020 i 2021 Parlament Europejski potępił wyrok polskiego Trybunału Konstytucyjnego, który potwierdził, że aborcja eugeniczna jest niezgodna z polską konstytucją. Większość eurodeputowanych wprost domagała się złamania przepisów konstytucyjnych i samowolnej odmowy publikacji wyroku przez polski rząd. OBWE próbowała ostatnio wpłynąć na przebieg węgierskich wyborów parlamentarnych i na referendum w sprawie obecności ideologii gender w szkołach. Czy mieszkańcy Międzymorza są w stanie wygrać wojnę na dwa fronty? A to nie koniec. WHO zapowiada w 2024 r. przyjęcie globalnego traktatu antypandemicznego opartego na doświadczeniach globalnego zarządzania reżimem sanitarnym w czasie epidemii COVID-19. To już totalne zagrożenie dla suwerenności naszego kraju i wolności podstawowych jego obywateli.

Unijni, oenzetowscy i zdrowotni globaliści, europejscy federaliści, handlarze krwią w wolnym świecie, marksiści wielu odcieni, od krwawoczerwonego, przez zielony po tęczowy, oraz enigmatyczni, ale coraz bardziej widoczni wielcy globalni gracze niepostrzeżenie wdrażają radykalne postulaty polityczne, gospodarcze i ideologiczne niebezpieczne dla suwerenności naszej Ojczyzny, dla godności i samego istnienia pojęcia osoby ludzkiej, niebędącej jedynie cząstką zbiorowości, masy, dla wolności religijnej, dla rodziny opartej na monogamicznym małżeństwie mężczyzny i kobiety oraz dla samej idei praw człowieka, bo człowiek przestał być ważniejszy od natury.

Wielki Bunt, wielkie NIE. Ludzkość w piaskownicy, na podłodze supermarketu waląca o podłogę nóżkami i rączkami, bo nikt nigdy nie kupi jej nieśmiertelności. Człowiek uczynił się narzędziem nicości, sługą tego, który nic nie stworzył, a potrafi tylko niszczyć, dzielić.

A w tym całym naszym katolicyzmie chodzi o miłość. O jedność, współczucie. O człowieka obok, o leżącego w rowie, o tego, który od dziesięciu lat nie wyszedł ze swego pokoju. O dobre słowo, o uważne spojrzenie. Pół godziny twego bezcennego czasu, który i tak zostawisz przed tym czy tamtym bezsensownym ekranem. Po Bogu najważniejsi są ludzie. Planować swój czas ze względu na miłość. Idź ją rozdawać tam, gdzie ciągnie cię serce. Dla nas jest albo-albo. Katolicy najwięcej dostali. Pomaganie naszym siostrom z Ukrainy i ich dzieciom, ugoszczenie ich w naszych domach nie jest wyborem. To oczywistość. Inaczej nie moglibyśmy nazywać się uczniami Chrystusa.

eprasa.pl b54370957a

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Czy chrześcijanin może życzyć śmierci wielokrotnemu mordercy, który cały czas gwałci i zabija? Będę o to pytał w najbliższy czwartek w Filmotece Narodowej. Spotkanie, które rozpocznie się seansem filmu Nikity Michałkowa „Spaleni słońcem", zapowiada plakat z Putinem: „Zabić czy modlić się za niego?". Zaprosiłem najmądrzejszego człowieka, jakiego znam, ojca Jacka Salija, zaprosiłem Bronka Wildsteina; ojciec Salij powiedział o nim: „Geniusz, gdzie mnie do niego"; oraz Yourę Lubacha. Z tej wielkiej trójki najmniej znany jest ten ostatni. Zacytuję początek jego eseju zatytułowanego „Spodlić własną sztukę": „Oto moja głęboko niesłuszna jeremiada przeciw bardziej ode mnie utalentowanym, zasłużonym dla kultury światowej filmowcom, których – powodowany niskim uczuciem zawiści – pomawiam o świadomie złe intencje w użytkowaniu ich bezsprzecznych zdolności". Po czym Jerzy Lubach cytuje „Udział diabła" Denisa de Rougemont: „Jakub Boehme opowiada, że gdy zapytano Szatana: – Dlaczego opuściłeś Raj? Ten odrzekł: – Ponieważ chciałem stać się autorem". Ale demon nic nie może zrobić własnymi rękami. Szuka więc podwykonawców. Najlepszych w swym fachu. I znajduje.

Lubach: „Nie ma takiego zestawienia »100 najbardziej znaczących filmów w historii kina«, gdzie by zabrakło dzieł sowieckiego Homera – Siergieja Eisensteina". Twórca „Pancernika Potiomkina" i „Iwana Groźnego" gloryfikujący przewrót bolszewicki i wysławiający okrucieństwa Stalina oraz jego bandytów z NKWD „to talent niewątpliwie monumentalny, choć przy tym ewidentnie demoniczny. Nawet w filmie zatytułowanym imieniem, było nie było, prawosławnego świętego Aleksandra Newskiego Eisenstein na zlecenie czerwonego Kremla nie tylko jak zawsze fałszuje na całego historię, ale udaje mu się przez półtorej godziny seansu dokonać iście szatańskiego »cudu«: w kadrze przez cały czas krzyż obecny jest jedynie na białych płaszczach i w rękach okrutnych, podłych i butnych teutońskich rycerzy, wrzucających biedne ruskie dziecięta żywcem w płomienie". Takich jak Eisenstein filmowych geniuszy zatrzęsienie, ale odchodzą jeden za drugim i ich pośmiertny „seans trwa nie tylko w kinoteatrach niebiańskich, ale – niestety – i piekielnych, pełnych rogatych i kozłonogich koneserów filmowych oraz protegowanych przez nich za życia utalentowanych mistrzów »najważniejszej ze sztuk« (wedle skrzydlatego wyrażenia jednego z ich ulubionych menedżerów kultury, znanego pod pseudonimem artystycznym Lenin)".

Tytuł filmu, którym rozpocznie się spotkanie – Salij, Wildstein, Lubach, Tekieli – nie powinien zostać przetłumaczony jako „Spaleni słońcem". „Utomlionnyje" to właściwie: umęczeni, nieprzytomni, naćpani słońcem. Słońcem, czyli Stalinem. Na Kremlu nic się nie zmieniło od czasów białego, a potem czerwonego caratu. Stalin czy Putin różnica skali. Rosję trzeba rozerwać wzdłuż szwów narodowościowych. Nikita Michałkow naćpany Stalinem. Rosjanie naćpani Putinem. Czy ktoś zaprzeczy?

Jak ludzie źli mogą robić genialną sztukę? Są uczciwi wobec świata. Wielką sztukę robi się sercem, nie przekonaniami, nierzadko wbrew nim. „Spaleni słońcem" to uczciwość mikroobserwacji i sprawne budowanie wielkiej opozycji: moc kontra dom, masa, ludzka miazga kontra miłość/rodzina – oto pęknięcie rosyjskiej duszy.

Trwa wojna duchowa. Barbarzyńcy atakują ze wschodu i z zachodu. Jedni mordują i gwałcą, drudzy niszczą pornografią i aborcją nasze rodziny i nasze dzieci, chcą unicestwić miłość do Ojczyzny, zabić patriotyzm.

Zabijanie ciał i zabijanie duszy. Ale i step, i marksiści to tylko narzędzia. Trwa odwieczna walka duchowa. Jedną ze strategii wroga natury ludzkiej jest wzbudzanie nienawiści. Demon chce, żebyśmy nienawidzili funkcjonariuszy zachodniej cywilizacji śmierci, żebyśmy nienawidzili Rosjan, żebyśmy życzyli Putinowi śmierci. A przecież chodzi o to, by każdy z tych ludzi się nawrócił, żeby Putin zrozumiał, że i za niego Jezus Chrystus oddał życie. Ten człowiek zaszedł tak daleko w złu, że może odrzucić nawet ostatnią szansę i odpowiedzieć Miłości „Nie" już po śmierci. Pytacie, czy piekło jest puste? Jezioro ogniste jest faktem. Bóg nie oszukuje: sprawiedliwość istnieje. Choć większą potęgą jest Jego miłosierdzie.

Istnieje tylko jedno wielkie pytanie, są tylko dwie odpowiedzi. Albo rozpacz/samounicestwienie, albo Bóg i Jego Miłość.

Robert Tekieli

Polskie Radio, saLon 44|44

eprasa.pl b54370957a

Witriolowe vitae

Jeśli Krasowski naprawdę wrócił do pisania historii III RP, której próbkę dał przed 10 laty w swojej trylogii, będzie to szansa na zrozumienie tego czasu, podsumowanie mijającej epoki

Wojciech Stanisławski

Iznów trzeba by zaczynać od zastrzeżeń, które mnożyłem, rekomendując niemal równo przed rokiem „Demiurga" Romana Graczyka: „O Michniku" Roberta Krasowskiego to również książka, nie tarcza do rzutków. Jeśli kogoś po 33 latach III RP nadal trawi ten sam co w początku lat 90. żar polemiczny, sławna niesławna fraza „generał Kiszczak jest człowiekiem honoru" pali go tak samo jak wówczas, jeśli nadal trwa w niezatartej zgrozie wobec „okrągłego stołu", Magdalenki, wyboru Jaruzelskiego na prezydenta i nieudanej dekomunizacji, a Adama Michnika ma za jedynego autora tych wszystkich nieprawości – nie warto, by sięgał po Krasowskiego. Będzie się tylko zżymał na symetryzm, dzielenie włosa na czworo, niuansowanie, zmiany punktu widzenia, a przecież wszystko jest jasne: dalej, bracia, karabelę każdy w dłonie chwyta...

Ta książka jest dla tych, których – podobnie jak czytelników „Demiurga" – fascynuje Adam Michnik, jedna z postaci, które najmocniej wpłynęły na kształt transformacji, czyli przedziwnej, pijanej żeglugi między PRL a III RP, i która chyba w największym stopniu (przynajmniej na tyle, na ile mogło to być dziełem jednego człowieka) najpierw nakreśliła, a potem zabetonowała linie podziałów mentalnych i frontów wojen kulturowych, które do dziś tworzą mapę świadomości współczesnej Polski. Linie Zygfryda i Maginota mogą się schować przy linii Michnika, arbitralnie betonującej w latach 1989–1990, wbrew żywym i oczywistym podziałom na S i postkomunistów, protoprawicę i protolewicę, podział na entuzjastów światłej Polski i ciemnogrodzian. Ten podział najpierw został jednoosobowo wymyślony, potem oblókł się w ciało, dziś obumiera, lecz trwa. Coś niesłychanego! Zola, Tołstoj, Bertrand Russell też mieli ambicje sprawowania rządu dusz, ale nie ukształtowali Francji, Rosji, Wielkiej Brytanii na taką skalę.

Krasowski pisze, skacząc po górach, ukazując Michnika w jego ekstremach: odwadze i bezinteresowności oraz pysze, skłaniającej go do pchania przed oczy świata swoich cierpień i prywacji jako ostatecznego argumentu, w błyskotliwości skojarzeń i zamknięciu w orzeszku obsesji. Dawny naczelny „Dziennika" nie od dziś tak pisze, lecz mam wrażenie, jakby styl jego jeszcze się udoskonalił, niezrównanie cierpki, suchy, celny. Gdyby pisał z pozycji moralisty, jedna wpadka Michnika wystarczyłaby mu na kilkadziesiąt stron jeremiad. Ale Krasowski jest mizantropem, nie moralistą, od aktorów życia publicznego wymaga, oprócz może niepopełniania jakichś wyjątkowych już świństw, tylko jednego: skuteczności. „To, co w polityce wielkie, rodzi się z tego, co w człowieku jest małe" – ten cytat z „Czasu gniewu" dobrze oddaje jego rozumienie polityki. I tak też opisuje Michnika w jego najlepszych, nie, najskuteczniejszych latach, od końca lat 70. do afery Rywina.

Robert Krasowski, „O Michniku", Czerwone i Czarne, 2022

Od wielu lat nikt nie pisał tak o polityce w Polsce. Jako jedyna, ale słaba dość analogia nasuwa się Cat-Mackiewicz, też chodzący własnymi drogami i kokietujący immoralizmem. Ale to inna epoka, szlagonom można suflować Krasowskiego jako „Cata III RP", ale tak naprawdę w tym autorze jest dużo więcej. Cat był nieufny wobec urzędników, ale nie przestawał oferować szabli Komendantowi. Krasowski nie ma idoli, jego narzędziem działania jest cichy, oczyszczający jad Anatola France'a podszyty goryczą Vonneguta i tonami erudycji.

I oczywiście wybrał zupełnie inną drogę niż Graczyk. Można by powiedzieć, że ułatwił sobie zadanie, zrzucając cały bagaż mrówczego biografizmu, objaśnień, cytatów, przypisów, które przytłoczyły „Demiurga", nie dając w zamian szczegółowej wizji Michnikowego życia, bo do tego potrzebny byłby nie jeden, lecz dziesięć tomów oraz złamanie polityki milczenia przyjętej przez wychowanków i przyjaciół Czerskiej, uniemożliwiającej wszelkie próby stworzenia rzetelnej biografii Michnika. Krasowski napisał w miejsce tego esej biograficzny, galopujący, pełen niedopuszczalnych skrótów, przeskakujący nad całymi la-

eprasa.pl b54370957a

tami w życiu redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej", doskonale wolny od jednego choćby przypisu – i bez reszty prawdziwy, tak jak dobry portret jest prawdziwszy niż fotografia.

Raz jeszcze to podkreślę, takiego eseju biograficznego dotąd w Polsce nie było. Owszem, traktuje o jednej z najbarwniejszych postaci życia publicznego, ukazując to, co wstydliwsze od romansów: formuły demagogii, uwodzenia, zmienność przymierzy, stałość obsesji. To pisanie bezlitosne jak chirurgia – i równie skuteczne w nazwaniu tego, co dotąd kryło się niewyartykułowane ani w pretensjach, ani w podziwie. Jeśli Krasowski naprawdę wrócił do pisania historii III RP, której próbkę dał przed 10 laty w swojej trylogii, będzie to szansa na zrozumienie tego czasu, podsumowanie mijającej epoki – gorzkie, dorosłe, wyzbyte emocji. Kandydatura na drugą biografię jest oczywista. Sam Krasowski wysuwa ją, pisząc o roku 1990 i rywalizacji dwóch 40-latków, Michnika i Lecha Kaczyńskiego, którzy wywrócili stolik i odebrali inicjatywę trójce starszych panów: Wałęsie, Geremkowi i Mazowieckiemu. Ale liczę na to, że tych tomów będzie więcej.

Gorycz kronikarzy

W 70 lat od wojny wydaje się, że istnieje pewien kanon świadectw tamtego czasu, spisywany w trybie kronik czy dzienników: każdy, kto ciekaw jest tamtego czasu, tamtego abyssu, zna dzienniki Dąbrowskiej i Nałkowskiej, „Kronikę lat wojny i okupacji" Ludwika Landaua i „Dziennik z lat okupacji" Zygmunta Klukowskiego. Najodważniejsi sięgną po „Kronikę getta warszawskiego" Emanuela Ringelbluma oraz „Adama Czerniakowa dziennik getta warszawskiego". Można by do tego doliczyć drugie tyle tekstów, równie doniosłych ludzko i literacko, które nie pretendują do opisu całości doświadczenia ludzkiego, skupiają się na doświadczeniach samego kronikarza lub po prostu później weszły do obiegu czytelniczego: myślę o świadectwach Iwaszkiewicza, Mary Berg, Andrzeja Trzebińskiego, Stanisława Rembeka. To wydaje się tworzyć zrąb kanonu, choć nasze rozumienie lat wojny stale rozszerzają nowo publikowane, przyczynkarskie świadectwa.

Tym razem mamy do czynienia z inną sytuacją: w początkach tego roku pojawiły się dwie książki, które – za sprawą swoich rozmiarów czasowych, systematyczności prowadzonych zapisków, ambicji autorów, by utrwalić całość dostępnych im faktów, pogłosek, wrażeń – mają szanse awansować do ścisłego kanonu, stać się punktem odniesienia dla wielu badaczy. Myślę o prowadzonych bardzo systematycznie, w większości zachowanych, zapiskach Stanisława Srokowskiego, przedwojennego geografa i wysokiego urzędnika II RP, oraz o impresyjnych, cudem zachowanych i odczytanych, nieciągłych, lecz nader gęstych notatkach pamiętnikarskich Aurelii Wyleżyńskiej, literatki, dziennikarki i damy (wydanych jako „Kroniki wojenne").

Świadectwa te są niezwykle szczególnie, gdy (za sprawą okoliczności wydania) czyta się je równolegle, być może ich kontrastowość mniej będzie uderzać po włączeniu ich do kanonu. Zdaję sobie sprawę, że kategorie proza męska i proza kobieca brzmią staroświecko, wręcz okropnie, nawet pod konserwatywnym piórem; że taki binarny podział genderowy przystoi może projektantom przestrzeni biurowych, ale nie czytelnikom. Cóż jednak począć, skoro ten stereotyp odżywa i narzuca się od pierwszych zdań?

Prawdopodobnie trzeba to tłumaczyć edukacją i karierą obojga autorów. Srokowski – nauczyciel, wykładowca, wojewoda i konsul RP, bliższy środowiskom narodowym, lecz realistyczny, wolny od częstych w tym środowisku fobii czy zacietrzewień, państwowiec, sporządza swoje zapiski, jakby pisał raport dla Londynu. Pogłoski, stacjonowanie i detaszowanie oddziałów (szczególnie częste w węźle kolejowym, jakim było Legionowo), ceny węgla i drobiu, Żydzi i Polacy zabijani przez policjantów i gestapo odnotowywani są niczym w wielkim zestawieniu buchalteryjnym. Można się wciągnąć w rytm tej prozy, towarzyszyć jej jedniodniowym bohaterom w ucieczkach przez legionowskie ogrody, cieszyć się z kolejnej „podwarszawskiej" perspektywy okupacyjnej (Iwaszkiewicz – Brwinów, Rembek – Grodzisk, Srokowski – Legionowo), jest to jednak okupacja widziana okiem urzędnika: dopust, który trzeba przetrwać.

Stanisław Srokowski, „Dziennik 1939–1944", wyd. Instytut Pileckiego, 2022
Aurelia Wyleżyńska, „Kroniki wojenne: Tom 1 1939–1942, Tom 2 1943–1944", wyd. PIW, 2022

Wyleżyńska – filozofka i poetessa, finezyjna w każdym zdaniu (choć z dumą deklaruje uwolnienie się od Młodej Polski, co drugie zdanie pobrzmiewa moderną), skupiona na swoich doznaniach, wspomnieniach i snach. Proustowska w rozpamiętywaniu dawnych związków i doświadczeń, obserwowaniu przemian bliskich jej ludzi. Kołująca, obsesyjna w odnotowywaniu po kilka razy tych samych wrażeń i plotek. Cierpka, uszczypliwa, błyskająca mentalnym monoklem, „nieprzysiadalna" do pań z towarzystwa ani rodziny z podlaskiego dworku. Wolna od patriotycznych uniesień, pokazująca głębię okupacyjnej samotności.

Konsul i literatka, dur i moll, metr marchwi i wyleniały wachlarz: na dwa głosy opisują zniknięcie Polski.

eprasa.pl b54370957a

O niezauważonym i dramatycznym aspekcie wyborów prezydenckich we Francji

Emmanuel Macron i Marine Le Pen

Francję po wyborach czekają gorące czasy – niezależnie od tego, kto zostanie prezydentem. Bo wobec kryzysu gospodarczego mający małe poparcie społeczne zwycięzca będzie miał kłopoty ze sprawnym zarządzaniem krajem. Mimo wszystko jednak Francja uniknęła katastrofy, która nazywa się... Jean-Luc Mélenchon

BERNARD MARGUERITTE

Pod tym tytułem można by pisać o tym, że za mało się podkreśla, jak bardzo wynik pierwszej tury wyborów świadczy o słabości demokracji we Francji. Ponad jedna czwarta uprawnionych obywateli po prostu nie głosuje. Piszę przed drugą turą i nie

eprasa.pl b54370957a

Jean-Luc Mélenchon

wątpię, że będzie jeszcze więcej absencji w tym decydującym starciu. Jeśli wygra pan Macron, co jest prawdopodobne, będzie prezydentem 20,07 proc. Francuzów, bo tyle dostał w pierwszej turze. Jeśli pani Le Pen, sytuacja będzie nie wiele lepsza, gdyż – nawet dodając głosy, które padły na panów Zemmoura i Duponta-Aignana, którzy reprezentują podobne poglądy co kandydatka Zjednoczenia Narodowego – uzyska 23,28 proc. Wniosek: wybrana czy wybrany będzie miał/a bardzo ograniczoną legitymację do sprawowania władzy.

SŁABA WŁADZA

Konsekwencją tego będą zapewne bardzo gorące czasy po wyborach we Francji, niezależnie od tego, kto zostanie prezydentem. Jak on czy ona będą mogli sprawnie kierować krajem, mając tak słabe poparcie społeczne? W drugiej turze wyborów Francuzi w obecnym układzie nie głosują „za", lecz „przeciw". Pytanie brzmi, czy front anty-Macron będzie liczniejszy niż front anty-Le Pen, czy też odwrotnie. A nadchodzące czasy wiążą się z ciężkim kryzysem gospodarczym i dalszym spadkiem poziomu życia. Jak niepopularny szef państwa będzie mógł temu podołać? Patrząc pod tym kątem, można wręcz powiedzieć, iż wybrany/a odniesie pyrrusowe zwycięstwo i że właściwie w niedzielę 24 kwietnia lepiej było nie wygrać!

NA PROGU KATASTROFY

Mimo wszystko, wybierając tytuł, myślałem o czymś innym. Francja nie zdaje sobie nawet sprawy, że o mało nie uniknęła politycznej katastrofy. W drugiej turze wyborów mógł bowiem znaleźć się Jean-Luc Mélenchon, kandydat „islamolewicowców" – jak się mówi we Francji. Szef ultralewicy opiera swój program na trzech filarach. To tradycyjna lewicowa obrona ludzi pracy i sprawiedliwości społecznej (co można uznać za uzasadnione), ideologii „woke", czyli ogólnej demoralizacji, LGBT i odrzucenia naszej historii i naszych wartości, i wreszcie promocji imigracji islamskiej, której każde wymagania mają być spełnione. Nic więc dziwnego, iż pan Mélenchon dostał aż 69 proc. głosów wśród francuskich muzułmanów! Dzięki temu prawie dogonił panią Marine Le Pen. Skończył 1,20 proc. niżej od niej. I tylko dlatego, że było trzech innych kandydatów lewicy, którzy razem otrzymali 6,25 proc. głosów. Wystarczyło, aby jeden z nich się wycofał i Mélenchon byłby w drugiej turze! Dalej jest wysoce prawdopodobne, iżby wygrał z panem Macronem!

Innymi słowy, o włos kandydat muzułmanów (nie tylko, ale w dużym stopniu) nie został prezydentem Francji. Już widzimy, do czego prowadzi polityka liberalnej imigracji. Tym razem cudem się to nie udało, ale jak będzie w następnych wyborach? Czy wspólnota islamska we Francji, w dużym stopniu finansowana i kierowana politycznie przez Erdoğana, będzie już wyznaczać prezydenta Francji? Erdoğan nie musi się już nawet domagać przyjęcia Turcji do Unii, on nią zawładnie od środka! Tym bardziej że sytuacja nie jest bynajmniej lepsza ani w Niemczech, „dzięki" szalonej polityce masowej imigracji pani Merkel, ani na przykład w Szwecji, jak widzimy w tych dniach.

Nie chodzi tu nawet o niechęć w stosunku do muzułmanów. Wielu z nich przyjechało do Francji czy do innych europejskich krajów i jak najbardziej się zasymilowało. Przyjęli styl życia, kulturę i wartości państw, do których zawędrowali, i często odgrywają znaczącą rolę w życiu kulturalnym, społecznym, sportowym. Sęk w tym, iż we Francji ta asymilacja jest za słaba. Zostały utworzone „enklawy" muzułmańskie w całym kraju, gdzie prawa republiki nie są już respektowane. W miastach takich jak Roubaix czy Trappes życie toczy się po muzułmańsku. Nawet policja coraz bardziej waha się tam zajrzeć. Tak samo w wielu dzielnicach peryferyjnych. A nawet w jeszcze niemuzułmańskich miastach każą nam zaakceptować obecność kobiet noszących burkę (często wbrew własnej woli). Czy Europejczycy domagają się, aby kobiety naszych krajów paradowały w państwach arabskich w minispódnicy czy w bikini? Nikt się tak nie zachowuje, bo jest świadom, iż należy szanować styl życia i wartości krajów, do których się przybywa. Dlaczego muzułmanie nie mogą zachować się tak samo u nas?

Prawdą jest, że większość krajów Unii Europejskiej nie potrafiła zarówno ograniczyć naporu imigracji, jak i tak nią kierować, aby ułatwić asymilację. Pozwoliliśmy zbudować całe dzielnice czy wręcz całe miasta, gdzie panują tylko i wyłącznie reguły muzułmańskie. Chyba jedynie Austria potrafiła utworzyć drogę do autentycznej asymilacji. W Wiedniu nie ma dzielnic tej czy innej mniejszości. Ludzie różnych klas społecznych i różnego pochodzenia mieszkają razem w tych samych osiedlach miejskich. Integracja się dokonuje i nie ma problemów bezpieczeństwa.

Ale to wyjątek. To, co się stało teraz we Francji, jest ostatnim ostrzeżeniem. Tym bardziej że groźba nie jest jeszcze całkiem zażegnana: Mélenchon wzywa swoich zwolenników do walki, twierdzi, że może wygrać nadchodzące wybory parlamentarne i zostać premierem. Jak widać, jeżeli nie chcemy, aby europejskimi krajami zawładnęli „islamolewicowcy", należy mieć pełną świadomość tego zagrożenia.

Fot. Ludovic MARIN/POOL/AFP/East News, Shutterstock

eprasa.pl b54370957a

Wielkie Polki

Elżbieta Łokietkówna

Żelazna dama

Była królową Węgier, Polski i regentką Dalmacji. W Rzymie na jej powitanie stawiło się całe kolegium kardynalskie, a w Niemczech para cesarska wydawała na jej cześć wystawne uczty. Czwarta córka Władysława Łokietka, siostra Kazimierza Wielkiego, matka Ludwika Węgierskiego i babka królowej Jadwigi była najpotężniejszą kobietą XIV-wiecznej Europy i jedną z najsilniejszych osobowości ówczesnej polityki

Mówiono, że wynalazła eliksir młodości, co miało tłumaczyć jej istotnie długie, jak na XIV stulecie, życie. Zmarła bowiem w wieku 75 lat, wciąż zachowując ślady dawnej urody, którą do dziś można podziwiać choćby na miniaturze przechowywanej w Bibliotece Narodowej w Budapeszcie. Szczupła, zgrabna, o miłej twarzy prezentuje się doskonale w czerwonej sukni i w otoczeniu synów. Co prawda dzisiejsi badacze sądzą, że był to raczej opracowany przez nią lek na reumatyzm, ale jest faktem, że do XVIII w. modna była w Europie tzw. woda królowej Elżbiety.

Jakkolwiek było, czwarta córka Władysława Łokietka, siostra Kazimierza Wielkiego, matka Ludwika Węgierskiego i babka królowej Jadwigi była najpotężniejszą kobietą XIV-wiecznej Europy i jedną z najsilniejszych osobowości ówczesnej polityki. Oprócz władającej dwa stulecia później Bony Sforzy była najwybitniejszą królową w dziejach Polski, a zapewne również Węgier.

Ślub, który zakończył rozbicie dzielnicowe

Kiedy przyszła na świat, nic nie wskazywało, by miała odegrać jakąkolwiek rolę. Jako czwarta córka mało jeszcze znaczącego peryferyjnego księcia mogła liczyć co najwyżej na małżeństwo z jakimś możnowładcą i spokojne życie w jego dobrach. Tak to wyglądało w 1305 r., ale w ciągu kolejnych 15 lat Władysław Łokietek wyraźnie zdominował scenę polityczną rozbitej na dzielnice Polski i w 1320 r. doprowadził do jej zjednoczenia pod swoim berłem. Pierwsze 15 lat życia młodej księżniczki upłynęło pod znakiem wielkiej aktywności księcia. I choć nic o tych latach jej życia nie wiemy, musiała chłonąć tę atmosferę, a jak wynika

Fot. Wikipedia

eprasa.pl b54370957a

z dalszych jej losów, również uważnie obserwować posunięcia ojca, uczyć się meandrów władzy, a także nabierać ambicji.

Pierwsza pewna data i wydarzenie związane z Elżbietą to jej małżeństwo z królem Węgier Karolem Robertem, zaledwie kilka miesięcy po zjednoczeniu Polski i koronacji Łokietka. Jej notowania jako królewny w matrymonialnych rankingach Europy z pewnością gwałtownie wzrosły i ślub ten jest na to najlepszym dowodem. Prawdopodobnie ani Łokietek, ani Karol nie przewidywali dla Elżbiety żadnej znaczącej roli, poza przypieczętowaniem polsko-węgierskiego sojuszu przeciwko Czechom i rodzinnym zbliżeniem Piastów z Andegawenami. Zresztą Elżbieta miała zaledwie 15 lat, sama więc zapewne nie oczekiwała wiele więcej niż szczęśliwego pożycia z królewskim małżonkiem, i zapewne takie ono było, skoro w ciągu siedmiu lat urodziła pięciu synów.

Już to zapewniało młodziutkiej Elżbiecie wysoką pozycję na dworze, ale w tamtym czasie na Węgrzech rola królowej generalnie była dość ważna. Koronowano ją tą samą koroną co króla. Oficjalnie była drugą po nim osobą w państwie. Posiadała własny dwór z identycznymi urzędami jak Karol. Miała określone funkcje polityczne, a w swoich dobrach sprawowała pełnię władzy. Z całą pewnością nie była jedynie reprezentacyjną pięknością u boku swojego męża, a na co ją stać, pokazała po jego nieoczekiwanej śmierci w lipcu 1342 r. „Z chwilą śmierci Karola i wstąpienia na tron Ludwika rozpoczęła się dla Elżbiety nowa era, w której stała się pierwszorzędną osobistością polityczną" – pisał blisko sto lat temu Jan Dąbrowski.

Objazd Europy

W tym momencie królowa dobiegała już czterdziestki, a jej urody wcale nie osłabiał brak czterech palców u prawej dłoni. Nawiasem mówiąc, straciła je z winy ukochanego brata Kazimierza Wielkiego, który goszcząc u siostry, uległ pokusie jednonocnego romansu z „dziewiczą Klarą" – jak określa ją Jan Długosz. Dowiedziawszy się o tym, rozsierdzony ojciec wpadł z mieczem do królewskiej jadalni. Króla, który mało rycersko schronił się pod stół, lekko ranił, Elżbietę zaś ciął właśnie w dłoń. Napastnika dość szybko obezwładniono, po czym poćwiartowano. Ścięto też wszystkich męskich członków jego rodziny. Wyjątkowo okrutnie potraktowano samą Klarę, której obcięto nos, wargi oraz palce u obu rąk.

O dalszych losach dziewczyny historia milczy, o Elżbiecie zaś przeciwnie – robi się w Europie coraz głośniej. Natychmiast po pogrzebie Karola wyjechała do Neapolu, by zapewnić tam tron swojemu synowi Andrzejowi. W tym samym celu wysyłała poselstwo do Awinionu, sama zaś ruszyła do Rzymu (był to czas wielkiej schizmy). O znaczeniu królowej najlepiej świadczy właśnie przyjęcie, jakie przygotowano w Wiecznym Mieście. „Gdy wjechała do Rzymu, naprzeciw wyszli przedstawiciele dwóch wielkich rodów, Colonnów i Orsinich, którzy witali ją radośnie, stojąc po przeciwległych brzegach Tybru. Gdy Elżbieta pojawiła się przed bazyliką, przywitało ją w procesji całe kolegium kardynalskie" – pisał Stanisław Sroka. A Dąbrowski uzupełnia ten obraz: „Papieże uciekają się do pośrednictwa Elżbiety w każdej niemal ważniejszej kwestii, od spraw neapolitańskich począwszy, a skończywszy na wyprawie tureckiej i zatargach kurii z władcami państewek włoskich".

Skoro sprawy z Rzymem ułożyły się pomyślnie, Elżbieta postanowiła zadbać o poparcie swoich interesów dynastycznych przez cesarza Karola IV. Wyruszyła do Niemiec z orszakiem, z którym mogłaby rozpocząć małą wojnę. Towarzyszyło jej mianowicie 700 jeźdźców, wśród których znajdowało się wielu książąt śląskich i niemieckich. Żeby zrozumieć, jak wielka to była liczba, trzeba sobie uświadomić, że każdemu rycerzowi towarzyszył zastęp giermków i pomocników, co oznacza, że orszak składał się z kilku tysięcy ludzi, którym towarzyszył cały tabor wozów. Zważywszy, że ten wystawny orszak miał do przebycia ponad tysiąc kilometrów z Wyszehradu do Marburga, było to wydarzenie na skalę europejską. Nic też dziwnego, że również sprawy z cesarstwem ułożyły się pomyślnie, co było o tyle istotne, że Ludwik, syn Elżbiety, z powodzeniem zakończył właśnie wojnę z Wenecją o Dalmację i Elżbieta została regentką podbitych ziem. Wkrótce miała też zostać regentką Polski.

Spajanie Polski

Kazimierz Wielki zmarł w 1370 r. i zgodnie z wcześniejszymi układami jego następcą został Ludwik. 65-letnia Elżbieta wykazała się wówczas niezwykłą energią. Formalnie została regentką, w praktyce używała tytułu królowej Polski i rzeczywiście swoje rządy nad Wisłą rozpoczęła po królewsku. Zjednoczony całkiem niedawno kraj znów zaczynał pękać. Uniezależniała się Wielkopolska, odrywało Mazowsze, a w dodatku pogranicze zaczęli podgryzać z jednej strony Brandenburczycy, z drugiej Litwini. Oparciem dla królowej stała się głównie Małopolska, ale to Elżbiecie wystarczyło.

Choć widziała w życiu wiele zamachów – Karola próbowano zgładzić nieraz – nie wykazując strachu, ruszyła osobiście w objazd buntujących się prowincji i już po dwóch latach nie tylko pozbyła się opozycji i uspokoiła kraj, ale zapewniła też sukcesję w Polsce domowi Andegawenów. Podpisując w 1374 r. przywilej szlachecki w Koszycach, jednym dokumentem wynosiła na Wawel córkę Ludwika, Jadwigę – co dało początek dynastii Jagiellonów, która wkrótce stała się jedną z największych w Europie, panując w Polsce, na Litwie, na Węgrzech i w Czechach. Ale nie tylko. Przywilej koszycki otworzył drogę do kształtowania się w Polsce demokracji szlacheckiej, co jakkolwiek oceniać, wyznaczyło charakter państwa i wpływało na jego kulturę przez kolejne 400 lat. W tym momencie Elżbieta czuła się już jednak stara. Miała prawo, dobiegała siedemdziesiątki, a przez ostatnie 30 lat żyła niezwykle intensywnie. Rok po podpisaniu przywileju uznała, że osiągnęła wszystko, co było w jej mocy, i zdecydowała się usunąć w cień. Nie tak do końca co prawda, bo przez pewien czas rządziła jeszcze Dalmacją, bywała też w Krakowie, by dopilnować drobniejszych spraw. Ale w wielką politykę już się nie bawiła. Najchętniej przebywała w klasztorze klarysek w Starej Budzie, gdzie też chciała zostać pochowana. Jej życzenie spełniono w 1380 r. ●

Wojciech Lada

Cykl powstał dzięki
LINK4
POLSKIEJ FIRMIE UBEZPIECZENIOWEJ
52/0222/F

eprasa.pl b54370957a

KATARZYNA WĘGRZYN*

Od Białegostoku po Wrocław

Przez lata, podróżując po kraju, odwiedzałam nie tylko kopalnie, góry, zamki czy parki narodowe, ale i nasze największe aglomeracje – podkreśla autorka bestsellerowego przewodnika „Gdzie w Polsce na weekend" oraz bloga podróżniczego o tym samym tytule.

– Zawsze fascynowała mnie ich historia, nierzadko obejmująca przecież setki lat bardzo skomplikowanych dziejów. Mam wrażenie, że niewiele wiemy o polskich metropoliach. Na weekendowe wypady do miasta, tzw. city breaki, wolimy wybierać europejskie stolice, zapominając, że Kraków, Gdańsk czy Poznań mają do zaoferowania co najmniej tyle samo.

W swojej najnowszej pracy „Gdzie w Polsce do miasta. Przewodnik po niezwykłych i nieoczywistych miejscach w największych miastach Polski" Węgrzyn przybliża dziesięć aglomeracji: Białystok, Bydgoszcz, Gdańsk, Kraków, Lublin, Łódź, Poznań, Szczecin, Warszawę oraz Wrocław.

Przy okazji opisywania każdej z nich daje czytelnikom nie tylko pakiet niezbędnych, aktualnych informacji oraz wszelkie dane przydatne przy poznawaniu nowych turystycznych przestrzeni. Proponuje też wkroczenie na nieoczywiste szlaki oraz poszukanie nowych perspektyw, które pozwolą inaczej spojrzeć nawet na bardzo dobrze znaną miejską przestrzeń.

Skąd najlepiej oglądać panoramę Krakowa? Czy wybrać tradycyjnie Wawel, kościelne wieże (w tym Mariacką), kopce Kościuszki lub Piłsudskiego, a może tarasy Akademii Muzycznej?

Wyzwaniem, przyznaje autorka, był dla niej Białystok. Bo chociaż w ostatnich latach wschodnia część Polski zyskuje na popularności, to jednak wciąż zdecydowanie przegrywa z konkurencją. Mimo że ma sporo do zaoferowania. Na przykład drogę z centrum do granic, którą można przebyć, poruszając się cały czas po terenach zielonych. – Czeka tu na was egzotyka kulturowa i kulinarna, a wszystko w otoczeniu pięknej przyrody – zapewnia Węgrzyn.

W Łodzi odkrywa m.in. Muzeum Światła, a w nim obszary, w których można bawić się iluminacją, nagrywać filmy ze stroboskopem czy wejść do niekończącej się przestrzeni.

Przedstawiając swoją najnowszą pracę, obiecuje: – Ta książka zawiera ciekawostki i pomysły na wycieczki [...]. Znajdziecie w niej plany z atrakcjami zaznaczonymi tak, by przypadkiem nie przegapić wartych zobaczenia, a leżących koło siebie miejsc. Opisuję nietuzinkowe muzea, parki, punkty widokowe i atrakcje, które warto odwiedzić z dziećmi. Wypisałam w niej też najlepsze restauracje i miejsca noclegowe oraz instaspoty – miejsca, w których naprawdę warto zrobić sobie zdjęcie, jeśli chcecie udostępniać je w mediach społecznościowych. Liczę, że wszystko to nie pozwoli wam się nudzić!

Jolanta Gajda-Zadworna

** Blogerka, autorka książki „Gdzie w Polsce do miasta"*

SŁODKO-SŁONY

Kalarepka i coleslaw

ANNA MONICKA

Chyba rzeczywiście idzie wiosna. Kosy za oknem śpiewają serenady, a sójki wyskubały moją trawę „pony tail" tak, że z puchatego i okazałego ogona sterczą smętne resztki – ale złość mi zaraz przeszła, gdy zobaczyłam małą złodziejkę taszczącą w dziobie cały pęczek siana do gniazda. W warzywniaku coraz częściej na półkach goszczą młode kapusty i piękne pękate kalarepki, z których sterczą zawadiackie listki. To jedne z moich ulubionych nowalijek – a przy okazji najzdrowszych. Doskonale nakarmią spragniony witamin organizm. Jak je zrobić, żeby zachować jak najwięcej cennych składników? Nie gotować za długo, a najlepiej jeść na surowo.

Kapusta jest najcenniejsza, gdy puści sok, który ma działanie bakterio- i grzybobójcze (dlatego lodówki w szpitalach położniczych wypełnione są zbitymi liśćmi służącymi do okładania obolałych piersi). Trzeba ją więc poszatkować i trochę zbić tłuczkiem do mięsa. Genialnym daniem do młodych ziemniaków z koprem i masłem jest prosta surówka coleslaw. Aż dziw, że nie wymyślili jej Polacy, w końcu to u nas pola porastają całe rzędy odmiany o wdzięcznej nazwie kamienna głowa. Tymczasem przepis najpewniej pochodzi z czasów antycznych – jadali ją już starożytni Rzymianie. Była tania i pożywna – drobno pokrojona kapusta zmieszana z poszatkowaną marchewką, jabłkiem, czasem ananasem, doprawiona octem winnym i oliwą lub olejem. Prawdziwą karierę zrobiła dzięki europejskim osadnikom, którzy opuścili Stary Kontynent i zaczęli kolonizować Amerykę. Z czasem dołączył do niej wynaleziony przez Francuzów w XVIII w. majonez. Pojawiło się też mnóstwo wariacji i różnych warzyw, ale podstawą zawsze była kapusta.

Moim zdaniem świetnie smakuje z kalarepką, która zresztą jest bliską kuzynką kapusty. Starta jest delikatna, słodka i soczysta. Poszatkowana na plasterki zastąpi z powodzeniem niezdrowe i tłuste czipsy. Można ją odrobinę posolić i skropić sokiem z cytryny – niczego więcej nie potrzebuje. Liście warto zachować – są doskonałe na wiosenną zupę lub do gołąbków. Krem z młodej kalarepy z koperkiem to wiosenny rarytas. Wystarczy ją pokroić i poddusić z cebulką i porem na maśle, a potem zalać bulionem, króciutko pogotować i zmiksować.

Fot. Materiały prasowe, Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Rok krzewu

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pomysł jest prosty. I jak wiele prostych pomysłów może przynieść niesamowite efekty, jeżeli zostanie zrealizowany. Realizacja jest łatwa, ważna jest powszechność.

Pomysł brzmi następująco: niech każdy zasadzi w tym roku chociaż jedno drzewo albo jeden krzew. Gatunku rodzimego naszej przyrodzie, naturalnej odmiany i pokroju, z dopasowaniem do siedliska. O posadzone drzewo lub krzew można zadbać, np. podlewając w suchych okresach pierwszych dwóch sezonów, aż się przyjmie i głęboko zapuści korzenie. Jakie gatunki można polecić?

Do moich ulubionych krzewów należą śliwa tarnina *Prunus spinosa* i dzika róża *Rosa canina*. Lubią miejsca ciepłe, słoneczne i suchsze. Cały rok dają schronienie zwierzętom, wiosną żywią pszczoły i trzmiele, a owoce – przydatne też dla ludzi – utrzymują przez lato, jesień i zimę. Ze względu na pancerne ciernie tarniny i potężne kolce dzikiej róży są najlepszymi krzewami obronnymi na żywopłoty.

Z krzewów iglastych na miejsca suche i słoneczne świetny jest jałowiec pospolity *Juniperus communis*. W miejscach wilgotniejszych pięknie rozrośnie się czeremcha pospolita *Padus avium* (in. *Prunus padus*) i wierzby: szara, czyli łoza *Salix cinerea*, wierzba wiciowa *Salix viminalis* i wierzba pięciopręcikowa *Salix pentandra*.

Z drzew zaproponowałbym gatunki lasotwórcze. Sosnę zwyczajną *Pinus silvestris* można polecić w całym kraju za wyjątkiem Bieszczadów. Świerk pospolity *Picea abies* potrzebuje wilgotnego powietrza i chłodu, jest więc odpowiedni na południu i północnym wschodzie. Jodła pospolita *Abies alba* pasuje na południu i w centrum Polski.

Buk zwyczajny *Fagus silvatica* znajduje dobre warunki wszędzie, z wyjątkiem tylko północnego wschodu. W całym natomiast kraju odpowiedni jest dąb bezszypułkowy *Quercus robur*. Na żyźniejszych glebach zawsze warta polecenia jest miododajna lipa drobnolistna *Tilia cordata*, a jeżeli potrzebny jest szybki efekt – brzoza brodawkowata *Betula verrucosa*.

Ważne jest wybranie bezpiecznego miejsca i dopilnowanie, żeby nikt naszej sadzonki nie skosił ani nie usunął.

Im większą sadzonkę zasadzimy, tym większe szanse, że przetrwa. Krzewy dobrze sadzić po kilka obok siebie i pozwolić im po prostu rozrastać się jak najbujniej. Wierzby świetnie przyjmują się ze zrzezów, czyli wetkniętych w ziemię gałązek.

eprasa.pl b54370957a

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Pracujący według scjentologicznego schematu

Amerykański milioner i przedsiębiorca L. Ron Hubbard opracował własny system psychologiczny i nazwał go dianetyką. To mieszanka technik psychoterapeutycznych, psychoanalizy, buddyzmu tybetańskiego i magii satanisty Aleistera Crowleya, która jest reklamowana jako antidotum na zło świata pomagające odnaleźć ludzkości szczęście. Liczne publikacje dotyczące tego systemu nie przypadkiem w tytule czy podtytule brzmią „Droga do szczęścia".

System ten ostatecznie przekształcił się w Kościół scjentologiczny i jako taki znajduje na świecie wciąż nowych wyznawców. W USA popularność zdobył w kręgach gwiazd Hollywood. Ale przywędrował także do Europy. Co ciekawe, znalazł wielu zwolenników i rozwinął w sposób nadzwyczajny swoje struktury organizacyjne w Niemczech i we Francji. Jego aktywiści w Polsce byli szczególnie widoczni przez ostatnie dwie dekady. Pojawił się u nas w okresie transformacji ustrojowej, w latach 90.

Kościół scjentologiczny, dziś już nieco zapomniany, wbrew pozorom jednak wciąż jest obecny i aktywny, warto więc go przypomnieć, zwłaszcza że zdobywa nowe obszary, także w Rosji czy na Ukrainie, gdzie do niedawna prowadził ożywioną działalność i zyskiwał wyznawców.

Scjentologia ma różne szyldy i nazwy. Przedstawiana bywa także jako technologiczny buddyzm czy technologiczny gnostycyzm, jednak zawsze jej składowe to magiczne praktyki i pseudofilozofia Wschodu połączone ze strukturą organizacyjną Zachodu oraz działaniem i językiem technologicznym XXI w.

„REGENERACJA" LUDZKICH SIŁ

Doktryna scjentologów głosi, że jej wyznawcy opanowali technologię regeneracji ludzkich sił, zwłaszcza podwyższenie współczynników ilorazu inteligencji oraz samooceny poprzez wzrost pewności siebie. Kościół scjentologiczny, jak większość nowych ruchów religijnych, powołuje do życia różnego typu organizacje jemu podległe i działające na jego korzyść. Tylko na terenie Niemiec badacze odnotowali ok. 18 tys. przedsięwzięć pracujących według scjentologicznego schematu.

Tak bogata działalność i powoływanie licznych organizacji możliwe jest dzięki temu, że organizacja posiadała i posiada różny status prawny w zależności od kraju. W USA funkcjonuje jako kościół, w Europie wciąż uchodzi za sektę. To jednak na Starym Kontynencie doskonale funkcjonuje pod szyldem fundacji pozarządowych, stowarzyszeń i innych organizacji non profit. W obronie Kościoła scjentologicznego stawali dyplomaci Stanów Zjednoczonych i ONZ. Podstawą not dyplomatycznych było powoływanie się na zagrożenie wolności jednostki. Inwigilację i procesy sądowe wyznawców scjentologii uznawano za łamanie praw człowieka.

Za sektę scjentologia uznana została w raporcie parlamentarnym z 1995 r., choć jej działalność nie została zakazana. Odnotowano jej wielokrotne zatargi z prawem, zwłaszcza w Niemczech i we Francji. Szczególnym nadzorem była objęta na terenie Niemiec. To właśnie tam 11 grudnia 1990 r. sąd administracyjny w Hamburgu uznał Kościół scjentologiczny za „przedsiębiorstwo ukierunkowane na przynoszenie zy-

eprasa.pl b54370957a

sków". Prawomocność tego orzeczenia została potwierdzona wyrokiem sądu administracyjnego. W Kolonii 11 listopada 2004 r. oskarżano scjentologów o dążenie do przejęcia kontroli nad gospodarką. Mieli oni zakaz pracy w służbach publicznych, wstrzymano również zamówienia publiczne od ich firm. Organizacja była objęta stałą obserwacją Urzędu Ochrony Konstytucji (odpowiednik polskiego ABW).

WYŁUDZANIE PIENIĘDZY I OSZUSTWA

We Francji 23 scjentologów znalazło się na ławie oskarżonych pod zarzutem wyłudzania pieniędzy, nielegalnego uprawiania medycyny i nieumyślnego spowodowania śmierci (jeden z wyznawców popełnił samobójstwo, gdyż nie udało mu się oszczędzić pieniędzy na kolejny kurs). W 1995 r. pierwsza we Francji organizacja scjentologiczna została rozwiązana, ponieważ uchylała się od płacenia podatków, powołując się na status kościoła, którego jej nie przyznano. Po jakimś czasie wznowiła jednak swoją działalność. W 1999 r. skazano za oszustwo kolejnych pięciu członków sekty. W 2003 r. na organizację nałożono karę finansową za niezgodne z prawem przechowywanie akt byłych członków. We Francji konkretne zarzuty przeciwko scjentologom dotyczyły „zorganizowanego oszustwa grupowego", a także – w przypadku niektórych członków organizacji – „nielegalnego praktykowania farmacji". Na karę 600 tys. euro sąd w Paryżu skazał dwie główne francuskie struktury wspólnoty scjentologicznej za „zorganizowane oszustwo". Pozwolił im jednak na kontynuację działalności.

W Polsce wciąż brakuje szczegółowych informacji na temat pracy scjentologów. Jak wynika z analiz medioznawców, sekty w polskim dyskursie publicznym jawią się jako organizacje wykorzystujące swoich członków, stosujące pranie mózgu i psychomanipulację. Jednak istnieje wiele wydawnictw i pism propagujących bezkrytycznie komercyjną ezoterykę, stanowiącą składową licznych destrukcyjnych ruchów religijnych, w tym także scjentologów.

Warto zauważyć, że obok istnienia ruchów i stowarzyszeń antykultowych nie funkcjonują w Polsce stowarzyszenia mające na celu pomoc członkom sekt, którzy dopiero pragną je porzucić. Na problem ten we Włoszech wskazywała Maria Pia Gardini, która opuściła scjentologów dopiero po trzech latach prób. Wcześniej bezwiednie dała się wciągnąć w mechanizm organizacji polegający na zdobywaniu kolejnych stopni, możliwych do osiągnięcia tylko po opłacaniu kolejnych, coraz droższych kursów. W efekcie w kasie scjentologów zostawiła ok. 1,5 mln dol.

> Scjentologia bywa przedstawiana jako technologiczny buddyzm czy technologiczny gnostycyzm, a jej składowe to magiczne praktyki połączone z doskonałą zachodnią organizacją i językiem technologicznym XXI w.

JAK WYDOBYĆ SIĘ Z PATOLOGII

Istnieje stały deficyt danych na temat organizacji scjentologów w Polsce i Europie. Niewiele wiemy o tych, którzy organizację porzucili. Ani o tym, jak wygląda ich powrót do społeczeństwa. Dopiero naruszenie prawa przez sektę kieruje w jej stronę uwagę opinii publicznej i odpowiednich organów państwa. Tymczasem tym, na co szczególnie warto zwrócić uwagę, jest zachwianie zdrowia umysłowego poszczególnych członków sekt, zniekształcające świat zewnętrzny, zaburzone stany świadomości, głębokie stany alienacji. O ile np. we Włoszech, Niemczech czy Francji powoływane są instytucje rządowe (np. sekcja antysekta) regularnie monitorujące patologie wokół sekt, o tyle w Polsce szarą strefą jest liczba samobójstw czy tragicznych wypadków związanych z działalnością destrukcyjnych kultów.

W Polsce w „Raporcie o niektórych zjawiskach związanych z działalnością sekt", sporządzonym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w 2000 r., hasło „scjentologia" nie pojawiło się wcale. Z kolei w VII rozdziale raportu o stanie bezpieczeństwa państwa pt. „Sekty i niektóre związki wyznaniowe w Polsce", sporządzonym przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego przy Prezydencie Rzeczypospolitej, wspomniano, że „zagrożenia ze strony Kościoła scjentologicznego przejawiają się m.in. w podejmowaniu działań dążących do wyłudzania środków materialnych na tzw. orientalne techniki odnowy psychicznej".

Kościół scjentologiczny (w 1993 r. organizacja ubiegała się w Polsce o oficjalną rejestrację) miał dosyć czasu, by zbudować nowe szyldy, podejmując różne formy oficjalnej i nieoficjalnej działalności. Wiadomo, że od chwili upadku muru berlińskiego nieoficjalne misje scjentologiczne rozpoczęły swoją pracę w całej Europie Środkowej. Potrafią one uniemożliwić rzeczywiste rozpoznanie ich działań na terenie każdego kraju. Dopiero odpowiednie wytyczne Parlamentu Europejskiego (PE uznał Kościół scjentologiczny za organizację „parareligijną mogącą przyczynić się do zagrożenia ładu i porządku społecznego") być może zainteresują nasze organa rządowe do przyjrzenia się tej organizacji. Chociaż teraz, gdy wojna na Ukrainie przysłania wszystkie inne sprawy, różne resorty siłowe mają mnóstwo innych zadań. A to oznacza, że właśnie w tych niespokojnych czasach sekty i inne organizacje podejrzanego autoramentu mają prawdziwe żniwa i nikt im nie patrzy na ręce.

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

eprasa.pl b54370957a

Duch prawdziwej wolności

Alina Czerniakowska

Codziennie media donoszą o wojnie na Ukrainie, o kolejnych rosyjskich atakach i dzielnej obronie Ukraińców. A z drugiej strony tego walecznego frontu oglądamy relacje z trwających dyskusji, spotkań najważniejszych przywódców państw Europy i świata. Temat ten sam – sankcje, które mają powstrzymać zbrodnicze działania Rosji. Jakie mają być, tu zdania są podzielone, bo każdy polityk kieruje się własnym interesem i wcześniejszymi zobowiązaniami, układami często opartymi na korupcji i wzajemnej zależności.

Na naszych oczach dokonuje się podział świata. Nietrudno to zauważyć, obserwując już wcześniej międzynarodowe kontakty Rosji, Niemiec, Chin, Stanów Zjednoczonych. Często słyszy się w rozmowach zwykłych ludzi zdziwienie i rozczarowanie bezradnością wielkich tego świata. Polska pokazuje jasno, że wszystkie dotychczasowe sankcje są niedostateczne, pozorowane i odnoszą niewielki skutek.

Tymczasem Putin robi swoje. Każdego dnia giną niewinni ludzie, matki, dzieci, całe rodziny są mordowane w sposób okrutny, trudny do wyobrażenia, a przecież każde życie jest jedyne, niepowtarzalne, jest cudem. „Uratować jedno życie, to jakby uratować świat" – powtarzała polska bohaterka Irena Sendlerowa, ratując Żydów w czasie niemieckiej okupacji. Mamy XXI w., a stopień barbarzyństwa, zdziczenia, brak człowieczeństwa zatrważają. Młodzi rosyjscy żołnierze w rozmowach telefonicznych ze swoimi bliskimi i na stronach internetowych chwalą się, jak gwałcą i mordują kobiety, dzieci, a nawet, o zgrozo, noworodki. To wszystko dzieje się przy bardzo dużym poparciu społeczeństwa rosyjskiego dla Putina.

Jak to możliwe, że jeden tyran zawładnął całym światem, robi, co chce, morduje, niszczy dorobek wieków, rujnuje życie rodzin i całych społeczeństw. I nic! Zwykły człowiek przerażony niedawną grozą pandemii zadaje proste pytanie: o co w tym wszystkim chodzi? Jest 195 państw na świecie i nie mogą sobie poradzić z jednym szaleńcem ludobójcą? Jaka więc czeka nas przyszłość, jakie sojusze dają gwarancję, że nie zostaniemy sami, tak jak już nieraz było w naszych dziejach. Żyją jeszcze świadkowie II wojny światowej i potem kolejnych lat sowieckiego komunizmu na polskiej ziemi. Polska nie dała się ujarzmić, nie dała sobie odebrać ducha wolności, chociaż wielu było zdrajców, targowiczan, których dzisiaj również nie brakuje. Zwyciężyli ci, którzy za Niepodległą oddawali życie i dla których wcale nie były to tylko wzniosłe słowa. „Tak zostaliśmy wychowani" – powtarzali bohaterowie moich filmów, ostatni legioniści, potem żołnierze września, powstańcy Warszawy, żołnierze wyklęci i bohaterowie wszystkich patriotycznych zrywów w czasach PRL aż do powstania Solidarności, upadku muru berlińskiego i pierestrojki.

Józef Piłsudski pisał: „Pamiętajcie, że dusza Rosjanina, jeśli nie każdego, to prawie każdego, jest przeżarta duchem nienawiści do każdego wolnego Polaka i do idei wolnej Polski. Ja ich znam dobrze i dawniej, niż wy ich znacie. Oni są łatwi i zdolni do uczucia nawet wielkiej przyjaźni i będą was kochać szczerze i serdecznie jak brata, dopóki nie poczują, że w sercu swoim jesteście wolnym człowiekiem i boicie się ich miłości, w której dominującym pierwiastkiem jest żądza opieki nad wami, inaczej mówiąc: władzy. To jest skaza urodzeniowa ich duszy, dziedziczna i kilkusetletnia, za ich niewolę, za Tatarów, za Iwana, za opryczników, za odwieczne bunty topione we krwi. Jeśli własna wolność jest nieosiągalna, wolność cudza wzbudza zawiść i odrazę. Jesteśmy od wieków zbyt bolesnym dla nich wzorem, zaprzeczeniem ich własnego losu. Obawiam się, że dużo czasu upłynie, zanim oni zrozumieją, że nikt i nic, chyba śmierć, odbierze nam prawa do wolności...".

Wielokrotnie rozmawiałam z autorką książki „Kazachstan 1940–1946", znaną architekt, Grażyną Jonkajtys, zesłaną na Syberię z matką i pięciorgiem rodzeństwa (ojca wcześniej zamordowali oprawcy z NKWD). Jej relacje są żywym dowodem na to, jak bardzo trafne są myśli i opinie Józefa Piłsudskiego. Po trzech tygodniach jazdy w bydlęcym wagonie ci, co przeżyli, usłyszeli zaraz na wstępie: „My was na to zdies prywiezli, sztob wy podochli". Każdy dzień zesłania był walką z dziką syberyjską przyrodą, głodem, chorobami i najgorszym wrogiem człowieka – drugim człowiekiem. To był XX w., świat wiedział, co robią Stalin i jego sowiecka Rosja, i nie reagował! Statystyki podają, że tak wywiezionych, zamordowanych, odartych z godności ludzkiej, było łącznie ok. 2 mln Polaków.

„Wolności nie można tylko posiadać, ale trzeba ją stale zdobywać! Wolność krzyżami się mierzy / Historia ten jeden ma błąd" – cytował Jana Pawła II i Feliksa Konarskiego, autora „Czerwonych Maków", inny wielki niepodległościowiec, Wojciech Ziembiński, otwierając w Warszawie pomnik symbol poświęcony polskiej Golgocie Wschodu – tory kolejowe i krzyże różnych wyznań, obraz naszej wielonarodowościowej kultury. „Wolność może być użyta dobrze lub źle, na służbę dobra prawdziwego lub pozornego. Dziś przez świat idzie spaczone pojęcie wolności. Nie brak takich, którzy taką właśnie wolność głoszą. Każdy kraj winien odkryć i jak najlepiej wykorzystać przestrzeń własnej wolności. Wolność jest trudna, trzeba się uczyć być prawdziwie wolnym tak, ażeby nasza wolność nie stawała się naszą własną niewolą, zniewoleniem wewnętrznym ani też nie stawała się przyczyną zniewolenia innych" (JP2 1991).

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl b54370957a

PRZEZ ŚWIETLIK

Załgani na śmierć

Wiktor Świetlik

Niemiecka firma Continental przywróciła produkcję w Rosji. Jak tłumaczy, robi to tylko ze względu na troskę o tamtejszych pracowników, którzy inaczej mogliby być gnębieni przez Putina. Ot tak, w żywe oczy. Była kiedyś taka głośna książka socjologicznego gwiazdora Neila Postmana „Zabawić się na śmierć" o upadku pogrążonego w hedonizmie i beztrosce Zachodu. Myślę, że dużo groźniejsze jest zakłamanie się na śmierć, choć szczęśliwie dla nas wszystkich jest szansa, że pierwsi będą Rosjanie.

Zwrócił na to uwagę kilka dni temu (w portalu wPolityce.pl) analityk dr Rafał Brzeski. Jak tłumaczył, Rosja wyrafinowaną propagandę zamieniła w ordynarne, usankcjonowane, wszechogarniające kłamstwo. Żołnierze jadący na manewry trafiali w środek walki. Ukraińcom mówiono, że się ich wyzwala, a naprawdę się ich morduje. Zachodowi, że to jakaś operacja antynazistowsko-antyterrorystyczna. I nikt już nawet nie zakłada, że ktokolwiek w to uwierzy. Problem z tak permanentnie stosowanym kłamstwem jest taki, że zaczęło ono działać we wszystkie strony. Współczesny Iwan Groźny znał stan armii i przygotowań na tyle, na ile usłyszał. A jeśli wierzyć Catherine Belton, autorce znakomitej książki o kremlowskich operacjach finansowych, gdy ktoś z otoczenia do czegoś chce przekonać pana na Kremlu, najpierw musi leczyć jego kompleksy dłuższym podlizywaniem się. Całkiem jak Petroniusz schlebiający Neronowi w „Quo vadis". Rosja – od poziomu plutonów i pododdziałów aż po facetów rozstawiających fronty i armie – utonęła we łgarstwach i złodziejstwie, a hodowany przez Niemcy i Zachód potwór jest tylko tego emanacją. Z gigantycznej ilości relacji i faktów wyłania się taki właśnie obraz. A czy wyłania się jakiś morał? Na morałach się nie znam i niespecjalnie mam kwalifikacje, by je prawić. Za to zastanawiam się, czy w mikroskali, zachowując proporcje, sami nie mamy problemu z tym zakłamywaniem się na śmierć. Narracje, profesjonalna komunikacja korporacyjna, rady spin doktorów sprowadzają się tak naprawdę do wciskania kitu. Jeśli zaczynamy akceptować powszechne łgarstwo, a w naszej polityce stało się to profesjonalnym standardem wszystkich stron, to w końcu trudno znaleźć fakty. A bez faktów to jednak jak jazda prawdziwym samochodem, ze wzrokiem wlepionym nie w drogę, a w ekran telefonu, na którym wyświetla się gra w wyścigi. Musi skończyć się marnie.

Kremlowski psychopata nie przetestował tylko zakłamania swojego własnego narodu i jego zbrodniczej postbolszewickiej deformacji. Przetestował już załganie Zachodu, a i dużej części naszych elit. „Po pierwsze, niech pan nie okłamuje sam siebie" – mówił stary mnich w „Braciach Karamazow" Fiodora Dostojewskiego, tłumacząc, że kończy się to upadkiem i zezwierzęceniem. Na szczęście dla Ukrainy kraj wielkiego pisarza tonie dziś w najtandetniejszym i powszechnym łgarstwie, i oby utonął. Ale dobrze by było nie iść w jego ślady. Choć Niemcy akurat trochę też mogą.

Wojenne wici

Lech Makowiecki

Cieszy mnie decyzja MEiN wprowadzająca do programu nauczania przysposobienie obronne. Zwłaszcza że ustawa o obronie ojczyzny nie przywraca powszechnego poboru do wojska (mimo bezpośredniego zagrożenia wojną). Skąd zatem polski obywatel ma pozyskać elementarną wiedzę o zachowaniu się podczas działań wojennych? O postępowaniu podczas alarmu lotniczego, udzielaniu pierwszej pomocy rannym, skutecznym działaniu w grupie, że o obsłudze podstawowego sprzętu strzeleckiego, granatów czy wyrzutni rakiet nie wspomnę? Mam nadzieję, że tych umiejętności uczyć będą nasze dzieci doświadczeni instruktorzy: żołnierze liniowi czy weterani z misji. Generalnie – ludzie potrafiący zarazić młodzież swą strzelecką pasją czy wojskowym surwiwalem.

Czas przywrócić nam etos obrońców ojczyzny! Mamieni od lat tzw. profesjonalizacją armii i nowoczesnością hybrydowych wojen ze zdumieniem patrzymy dziś na heroiczny i skuteczny opór ukraińskiego pospolitego ruszenia, ratującego kraj przed pewną – zdawałoby się – klęską. Wojna zdemolowała pacyfistyczno-genderowe mrzonki, przywróciła tradycyjny podział płci. To mężczyźni walczą dziś na froncie, a kobiety chronią dzieci. W zderzeniu z okrucieństwami wojny prysnął jak bańka mydlana sanitaryzacyjny terror (co zapewne wyjdzie nam na zdrowie, lekarze zaczną wreszcie leczyć wszystkich chorych).

Celebryckie pięknoduchy – do niedawna żerujące na Polsce i obśmiewające tę polskość – nie kwapią się jakoś do wyjazdu z „tenkraju" (bo gdzież indziej mogliby tak pięknie żerować?). Będą chować się za plecami żołnierzy WP i „bogoojczyźnianej cywilbandy" ochotników z WOT. Może nawet zaśpiewają coś wzruszającego o Ukrainie (bo słowo Polska nadal nie przejdzie im przez usta).

PS Zegar odlicza. Czasu zostało niewiele. Każdy odpowiedzialny mężczyzna powinien stać się dziś polskim żołnierzem. I do tego przysposabiać swe dzieci. Albo uczyć się rosyjskiego/niemieckiego (niepotrzebne skreślić).

eprasa.pl b54370957a

Ruska wypadkowa

Piotr Cywiński

„Bij, póki cię nie pobiją", „Tam, gdzie wszyscy kradną, nikt nie jest złodziejem", „Bóg dał ręce po to, aby brać" – nie wiem, czy przed kolejnymi atakami na Ukrainie ruscy dowódcy cytują podkomendnym te akurat przysłowia, ale zaiste są to rosyjskie porzekadła. „Bieda potrzebuje dużo, żądza wszystkiego" – to kolejne z ichniego zbioru. Więc biją i biorą... Jeśli wierzyć w ukraińskie nagrania ich rozmów, nawet na zamówienie żon i dzieci. I wysyłają z frontu w paczkach do domu co popadnie.

Zdziczenie, odczłowieczenie, rozbestwienie, sadyzm, gwałt, ludobójstwo... – nie dość słów charakteryzujących współczesnych nam czerwonoarmiejców. Gdyby ktoś miał wątpliwości, niech posłucha relacji różnojęzycznych mediów z Ukrainy. W ruskim pojęciu nie ma szacunku dla człowieka, żywy czy umarły, to co najwyżej mięso armatnie, truchło, ścierwo, padlina, której odmawia się nawet godnego pochówku. Nie ma w tym cienia przesady, „Gdy głowa ucięta, nikt nie opłakuje włosów" – to też ichnia sentencja. My, Polacy, mamy ten ruski genotyp wygrawerowany na milionach nagrobków z setek lat naszej historii, czasu zaborów, powstań, wojen, aż do upadku komunizmu.

Atoli cmentarze są dla nas miejscami świętymi, także naszych odwiecznych wrogów. Jest na polskiej ziemi wiele nekropolii i lapidariów rosyjskich, tudzież niemieckich okupantów, na ich mogiłach nasi rodacy w Święto Zmarłych palą nawet znicze. Co innego pomniki wdzięczności stawiane przez rodzimych komunistów bratnim zbrodniarzom sowieckim – te powinny być zburzone z chwilą upadku komuny, a nie są. W odwecie ruscy grożą anihilacją... grobów pomordowanych Polaków. Według meldunku PAP pierwsza rosyjska bomba spadła na cmentarz polskich oficerów w Charkowie z miesiąc temu, rzekomo przypadkowo. W ubiegłym tygodniu przypadkowości już nie było; jakoby mieszkańcy obwodu smoleńskiego demonstracyjnie podjechali pod memoriał w Gniezdowie z ciężkim sprzętem budowlanym, z wetkniętymi weń flagami Rosji i nabazgranymi literami Z – symbolem zbrojnej napaści na Ukrainę. Na nagraniu, które trafiło do internetu, widać wywrotki, spychacze i koparki podstawione pod sam napis „Katyń", pozorujące łychami rozkopanie mogił polskich jeńców, zabitych przez NKWD strzałami w tył głowy, i likwidację cmentarza. Ma to być ostrzeżenie, byśmy my, Polacy się opamiętali.

Ot, ruska wypadkowa istoty bytu ujęta w ich, jakże osobliwym dla cywilizowanego świata, gnomie: „Nigdy nie wierz ochrzczonemu Żydowi i jednanemu wrogowi".

Autopromocja

2 maja

w tygodniku SIECI dodatek z okazji

231. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja

Wzloty i upadki króla Stanisława Augusta Poniatowskiego | Alfabet Sejmu Wielkiego

PARTNERZY DODATKU:

ORLEN

TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl l-54370957a

Michał Korsun prezentuje:
Kremlowski propagandysta Władimir Sołowjow tęskni za willą na zgniłym Zachodzie

Wycinki z przeszłości

Współcześnie 1 maja pozostaje świętem, ale przemyka niezauważenie jako początek majówki. W latach PRL był to w kalendarzu państwowym i prasowym jeden z najważniejszych dni, co widać choćby na tej okładce „Przekroju" z 1977 r. Był to szczyt epoki gierkowskiej, redakcja zatem podkreślała: „W okresie ostatnich sześciu lat radykalnie rozbudowaliśmy i zmodernizowaliśmy techniczne uzbrojenie ludzkiej pracy. W 1980 roku będziemy mieli w kraju ok. półtora miliona inżynierów i techników. Nauka i technika stały się podstawowymi siłami napędowymi naszego rozwoju. Trzeba jeszcze – a jest to przesłanie partii do narodu – abyśmy budując nasz socjalizm dla ludzi i przez ludzi, pamiętali codziennie, iż wszyscy jesteśmy gospodarzami kraju i wszyscy za Polskę odpowiadamy".

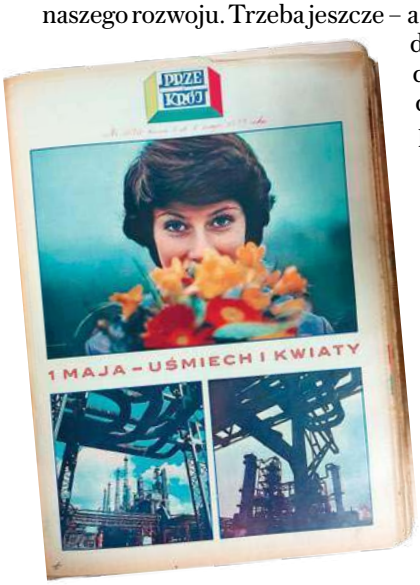

Był to optymizm nie tylko urzędowy. Ale moment, w którym wszystkie złudzenia prysły, był dosłownie za rogiem.

(mk)

W 25 lat po...

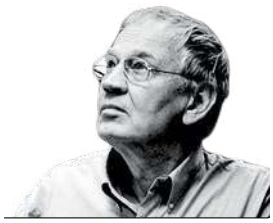

Leszek Długosz

27 kwietnia minie 25 lat od śmierci Piotra Skrzyneckiego, w Krakowie – ale nie tylko tam – postaci legendarnej. Dla mnie? Szefa, przyjaciela, kumpla, podpowiadacza, kontrolera, instruktora... Kogoś serdecznego i „nieznośnego". Nie zostawił po sobie konkretnego „indywidualnego dzieła", ale może i coś więcej? Legendę swego życia i stylistykę... Trudną do zdefiniowania, lecz niewątpliwą jakość rozpoznawalną – „stylistykę piwniczną". Tę spod (ówczesnych) Baranów. Wykreował i wzmógł pewien styl i poziom życia artystycznego, ale też i towarzyskiego. W świadomości wielu jest żywo obecny. W wielu częstych odniesieniach, porównaniach. W rozmowach żywych, ale i w tych dalej po cichu kontynuowanych.

„Do Piotra Skrzyneckiego"
(z tomu „Piwnica idzie do góry" 2000 r.)

Piotrze jak suche liście akacji
Na Krakowskim Rynku
I nas
Któraś zmiecie godzina
I któż poświadczy żeśmy tędy biegli?
Radosne okrzyki serc wczorajszych
Czyjego serca radiostacja
Pochwyci jeszcze i potwierdzi?
Komu jak jedwab czule zaszeleści?
Bogu dziękujmy i Wszystkim Jego Dobrym Wysłannikom
Że tak i tyle do nas tu adresowano
Niech będą dzięki
Za zaistnienie ocalenie i urządzenie nam
Wszystkich pokoi tego świata
I tej jedynej w całym świecie Piwnicy
Gdzie młodość ta nasza młodość
Przetoczyła się, rozprysła i przeszumiała
Tak szumnie

Że tak
I że to nam się przydarzyło
Bogu i Wszystkim Jego Dobrym Wysłannikom
Dziękujmy
Lecz póki jeszcze
Słuchaj, dopóki jeszcze...
– Niechaj Muzyka zerwie się i poniesie
I dzwonek Piotrze Twój niech dźwięczy
W podzięce i na pochwałę
Dni i Nocy
Niemożliwie pięknie, przyznaj, jak niemożliwie pięknie
Wtedy tam rozszastanych...

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**82** zł	**149** zł	**265** zł
wSIECI HISTORII	–	**34** zł (3 wydania)	**59** zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**169** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**295** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl b54370957a

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Ciężko pomyleni

Wszyscy się ciężko pomylili (może z wyjątkiem Ukraińców). Władcy Moskwy przecenili swoje możliwości i nie docenili nie tylko woli wolności u swoich „braci" z południa, ale także ich inteligencji, zdolności organizacyjnych oraz pozyskiwania sojuszników na Zachodzie.

Podobnie mało rozgarnięte okazały się elity „starego" Zachodu. Politycy zadufani w swój rozum strategiczny z wyższością lekceważyli sygnały wysyłane przez „młody" Zachód – przez Polaków, Bałtów i Rumunów. Sygnały, które powinny otrzeźwiać, informować, jaka jest faktyczna natura władców Rosji, były z pogardą odrzucane. Dobrym, czy raczej paskudnym, przejawem tej pogardy były niedawne słowa prezydenta Francji przypisujące antysemityzm polskiemu premierowi.

Jako socjologów interesuje nas fenomen owego ciężkiego pomylenia – wystąpił z równą czy podobną siłą w autorytarnej Rosji, co na demoliberalnym Zachodzie. Według klasycznych teorii demokracji nic takiego nie powinno mieć miejsca.

W krajach autorytarnych media są kontrolowane, ludzie zastraszeni, ich psychika zmanipulowana, szaleje korupcja. Korupcja, z którą nie można skutecznie walczyć, gdyż jest to korupcja systemowa – stanowi jeden z filarów ustroju, który w moskiewskim kraju panuje. W zastraszonym i przeżartym korupcją kraju obieg informacji jest zdeformowany, gubią się nawet tajne służby i efekt znamy: decyzja o agresji na Ukrainę podjęta na podstawie błędnej oceny sytuacji.

Putin przecenił sprawność rosyjskiej armii i swego państwa. Nie rozpoznał przemian społecznych, jakie nastąpiły na Ukrainie po agresji roku 2014. Przez lata, z powodzeniem agenturyzując i korumpując część elit Zachodu, obserwując ich nieudolność, Putin najwyraźniej uznał, iż szybko podbijając słabą Ukrainę, znowu uzyska przyzwolenie elit UE i NATO na swoje agresywne posunięcia. Dziś wiemy, że pomylił się.

Jak to możliwe, iż demokracje – te najlepsze, bo liberalne – podobnie głęboko błądziły co autorytarny demon?

Czy potrafimy jednak wyjaśnić, dlaczego wolny, pluralistyczny, bogaty, wysoko wyedukowany Zachód nie potrafił zapobiec wojnie u swoich bram? Przecież gdyby nie dzielność i upór Ukraińców, to Putin po raz kolejny dostałby, co chce. Przecież demokracja liberalna – system gwarantujący, iż głos żadnej mniejszości nie będzie zduszony przez większość – miała być wolna od poważnych błędów poznawczych. To właśnie rozwiązania ustrojowe ufundowane na wolności słowa, na praworządności, na ciągłym triumfalnym postępie kolejnych generacji praw człowieka, na instytucjach gwarantujących pluralizm miały gwarantować myślenie w kategoriach prawdy, a nie jakichś ideologicznych iluzji czy propagandowych mistyfikacji.

A jednak – ze strategicznego punktu widzenia – stolice „starego" Zachodu okazały się podobnie ciężko pomylone, co Moskwa. Jak to możliwe, iż demokracje, te najlepsze, bo liberalne, podobnie głęboko błądziły, co autorytarny demon? Dlaczego demokracja nie uchroniła od ogłupienia, jakie przynosi dyktatura?

Może dlatego, iż padła ofiarą zalewu bzdur. W 2005 r. amerykański filozof Harry G. Frankfurt wydał książkę (oryginalny tytuł „On Bullshit") wskazującą, iż bzdury są groźniejsze niż kłamstwa. Wspólną cechą kłamcy oraz głosiciela bzdur jest chęć przekonania innych, że mówiący ma rację. O ile jednak kłamca stan faktyczny ukrywa, ale wie, gdzie prawda się znajduje, to dla głosiciela bzdur prawda jest bez znaczenia. Kłamca zachowuje się nieetycznie, ale nie jest poznawczo zdezorientowany. Tymczasem głosiciel bzdur może być prawdą w ogóle niezainteresowany. Zależy mu jedynie na przekonaniu kogoś, że to on ma rację. Relacja jego „racji" do rzeczywistości jest dla niego bez znaczenia. Bzdury rozsiewane na masową skalę są bardziej niebezpieczne od kłamstw. Po zdemaskowaniu kłamcy docieram do prawdy. Po ewentualnym zdemaskowaniu głosiciela bzdur dalej nie wiemy, gdzie prawda się znajduje.

Ponieważ spora części elit Unii Europejskiej nadal w świat bzdur jest zanurzona, w przyszłym tygodniu zastanowimy się, skąd wzięła się bezradność demokracji liberalnej wobec zalewu bzdur.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl b54370957a

Poznaj najlepszych **polskich sportowców**

w dyscyplinach bardziej i mniej znanych:

- najważniejsze wydarzenia w karierze
- sukcesy na światowych arenach
- medale, puchary, nagrody
- pasje nie tylko sportowe

Czytaj na:

wPolityce.pl/sport

PARTNER CYKLU:

ORLEN

eprasa.pl b54370957a

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

wSIECI HISTORII

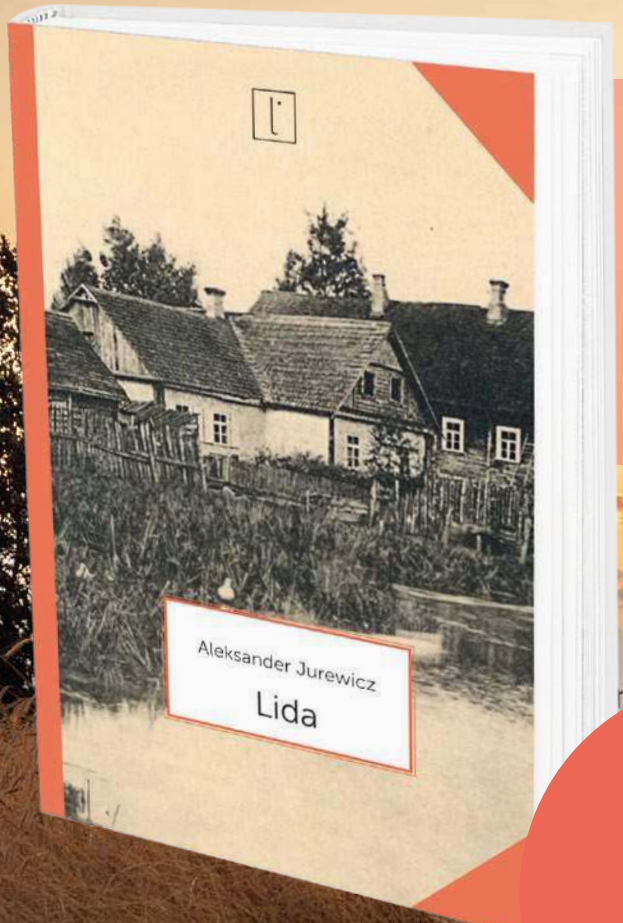

„Lida” Aleksandra Jurewicza to poetycka i pełna melancholii opowieść o „raju utraconym”, miejscu w którym autor urodził się i mieszkał jako dziecko. Całe jego życie zostało potem naznaczone tęsknotą za Lidą, w której zostawił serce i bliskich.

POETYCKA PROZA | NAGRODA CZESŁAWA MIŁOSZA

100 książek w prezencie

Książkę **„Lida”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl b54370957a